

M A R C I N

WOJŚKI



POST  POLONIA

WYDAWNICTWO 

Marcin Wolski

Post-Polonia

ISBN 978-83-7595-456-2

Osoby zdecydowanie fikcyjne:

Emilia Fajans – potencjalna dziewczyna bohatera

Michałko Księżów – syn ludu i mistrz hakerstwa

Janosik Glizda Kościeliski – góral i zbójnik

Kordian Chamiak – porucznik BOR-u

Jego matka Salomea Łęcka – wizjonerka

Ksiądz Marek Wądołowicz – kaznodzieja Radia Gloryja

Patrycja Osierdzie – dziecko płci żeńskiej

A także ich bliscy, współpracownicy, zakonnicy, funkcjonariusze polscy i szwedzcy wszystkich szczebli, górale, przedstawiciele marginesu, osoby spotkane w podróży oraz doradcy – intelektualisci..

Jeśli zaś chodzi o resztę osób, ich podobieństwo do postaci realnych jest zamierzone, złośliwe, jednak ich działania i motywy – całkowicie wymyślone.

PROLOG

Rok 2020 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały, że nadchodzą czasy niepojęte a straszne. Dowodziła tego mnogość zjawisk niezwykłych, a i pomiędzy zwykłymi zdarzały się takie, które w swym nagromadzeniu dawały powody do niepokoju, aż przesądni mówili, że niechybnie idą na naszą planetę rzeczy ostateczne, a gniew Boży jest blisko.

Po raz siódmy w ciągu dekady nawiedziło Japonię niszczycielskie tsunami i tylko niezwykłej organizacji robotnych żółtków można było zawdzięczać, iż liczba ofiar szła w dziesiątki tysięcy a nie miliony. To znów w Rio objawił się wirus dziwny, wielce mordercza który w miastach Iberoameryki szerzyć się począł, a jeśli dopadł dziecięcą poniżej trzynastego roku życia, kosił ją bezlitośnie, na podobieństwo żniwiarza, osobliwie oszczędzając ludzi dojrzałych, a także poprodukcyjnych starców. Powiadano, że bakcyl uciekł z jakiegoś tajnego laboratorium, w którym próbowano znaleźć truczkę na bezdomne bachory ze slumsów, jednakowoż kiedy się rozhasał, nie patrzył już na status społeczny, rasowy czy kulturalny, niosąc śmierć gwałtowną a bolesną.

Z końcem lutego jakowyś obiekt kosmiczny, całkowicie niewidoczny, skosił pięć satelitów telekomunikacyjnych i zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. W marcu w Grecji urodził

się dzieciak, który miast stóp miał raciczki, a w Alabamie nasiliły się plotki, że Elvis zmartwychwstał.

Jeśli idzie o okolicę nam bliższą, zima przyszła nadzwyczajnie sroga i długa, aż Bałtyk zamarznął, co zdarzało się od co najmniej pięciu lat, tym razem jednak lód skuł go już w listopadzie, a puszczać począł dopiero z początkiem maja. Przez ten czas ludzie, korzystając z grubej powłoki, nie tylko szlaki przez Bałtyk wytyczyli, ale też postawili tam dziesiątki tymczasowych fast foodów, przy czym McDonaldy upodobały sobie szczególnie szlak ze Świnoujścia do Kopenhagi, a Pizze Hut – z Gdańska do Sztokholmu. Sprzyjało to wzmocnieniu kontaktów polsko-szwedzkich, które nigdy nie były lepsze. Mnóstwo Szwedów, zbrzydźwiwszy sobie mroczne zimy, nabywało w Polsce wille i włości; dziesiątki firm, paraliżowanych przez śnieg i mróz, przenosiły się za Bałtyk. W ślad za drobnym biznesem podążały banki, koncerny medialne i telekomunikacyjne... Nawet w garkuchniach dla bezrobotnych coraz popularniejszy był szwedzki stół.

Wróćmy jednak do meteorologicznych niespodzianek. Ledwie mrozy ustąpiły i zazieleniła się ruń, a sady okryły kwieciami, z południa nadciągnęła szarańcza i zeżarła wszystko, tak że gdyby nie dostawy z Chin i Indii, Bangladeszu i Etiopii, połowa populacji Europy Wschodniej pewnikiem z głodu by pomarła, gdyż na pomoc z Brukseli liczyć nie było można. Wycofanie się Niemiec ze wspólnej waluty i zdominowanie przez muzułmanów rządów Francji i Włoch sprawiły, że zwierzchność Komisji Europejskiej ograniczała się

jedynie do zabudowań europarlamentu, jako że samo miasto pozostawało naprzemiennie we władzy kolorowych mafii, to czarnych, to żółtych, a najlepszym symbolem owych zmian było to, że nawet tamtejszy Manneken Pis musiał sikać przez galabiję.

Na tym tle dobre samopoczucie Polaków i ich niezmienna wiara w „zieloną wyspę”, którą oficjalnie ogłoszono III Rzeczpospolitą, mogły uchodzić za europejski ewenement. Rząd Ronalda Ducka panował już trzynaście lat, ciesząc się poparciem około dziewięćdziesięciu siedmiu procent społeczeństwa i ustępując jedynie poziomowi zaufania do prezydenta Wronisława Gomorrowskiego, który osiągał zazwyczaj dziewięćdziesiąt osiem procent. Miałby i dziewięćdziesiąt dziewięć, ale na taki wynik, jako kłóący się ze standardami demokracji, nie zgadzała się Unia Europejska, której członkiem, przynajmniej formalnie, nadal byliśmy. W związku ze zbliżającym się końcem drugiej kadencji jego prezydentury rozważano w kręgach władzy rozmaite warianty, iżby tę znamienitą prezydenturę przedłużyć – poprzez zwiększenie liczby dozwolonych kadencji do trzech lub wprowadzenie monarchii konstytucyjnej. W tym celu dyplomowani heraldycy wywiedli ród Gomorrowskich od Piasta, znajdując liczne afiliacje z Rurykowiczami, Habsburgami, a także Burbonami. Oczywiście ustanowienie króla wymagałoby zmiany konstytucji. Ale w parlamencie, w którym opozycja łącznie miała zaledwie piętnaście procent, nie przedstawiało to najmniejszych trudności, tym bardziej że aktualny marszałek Janusz Moczypies po dokonaniu kolejnej politycznej wolty został przywódcą Partii

Monarchistów, a zarządzone przezeń badania opinii publicznej wskazywały, że naród łaknie króla jak kania dżdżu, byleby był to król postępowy, tolerancyjny, hojny i dobrze wypadający w mediach. (Inna sprawa, że pan marszałek pragnął tej korony dla siebie, a nie dla kogoś, kogo w prywatnych rozmowach nazywał „świecznikiem”, bo błyszczał słabo, bał się byle podmuchu i łatwo się wypalał). Jeśli więc ciągle powstrzymywano się przed tym krokiem, to dlatego że wielu innych liderów Partii Obiecaneek oskoma na ten urząd brała okrutna. Aspirował Radwan Wróbelski, pełen światowej ogłady spraw zagranicznych minister, i Hanna Tango-Winiary, stołecznego miasta prezydent, także sam premier – Ronald Duck, ulubieniec mediów i ludu prostego obrońca.

Po prawdzie niektórzy mawiali, że sięganie dziś po władzę to interes niepewny, bo prędzej czy później Rzeczpospolita pierdyknie. Co gorsza, najlepiej poinformowani twierdzili nawet, że już pierdyknęła, tyle że nikt o tym nie poinformował społeczeństwa, bo po co?

Deficyt budżetowy dawno przekroczył produkt krajowy brutto, a bardak w Unii sprawiał, że choćby i chciano udzielić pomocy, to nie było z czego.

Ostateczne bankructwo Grecji zakończyło się wyprzedają tamtejszych wysp. Zrazu myślano, że skorzystają na tym Niemcy, ale ponieważ doszło do licytacji, przebili wszystkich Chińczycy, Arabowie i Amerykanie. W ten prosty sposób Kreta stała się Nową Kolumbią, Rodos – Wspólnotą im. Teng Siao-pinga, a budząca

podejrzane skojarzenia Lesbos – Al Dżazirą.

Jeszcze gorzej działo się w Hiszpanii, która w zamian za spłatę długów musiała zgodzić się na restytucję emiratu Grenady. I tak nad południowym skrajem kontynentu po pięciuset dwudziestu pięciu latach załopotał ponownie zielony sztandar proroka, wbity w szczyt góry o znamiennej nazwie Almanzor.

Jednak większość tych informacji nie przebiła się do polskiego społeczeństwa, no bo jak? Z ogólnie dostępnych kanałów zniknęły wiadomości, a jeśli nawet tu i ówdzie się pojawiały, dotyczyły katastrof żywiołowych, zdarzeń niezwykłych oraz celebrytów.

Dlatego kiedy nastął historyczny dzień 4 czerwca 2020 roku, nikt z głównych bohaterów naszej opowieści nie miał pojęcia ani o szczególnej wadze tej daty, ani o roli, jaką przyjdzie im rychło odegrać w okrutnych terminach, które na Rzeczpospolitą nadejdą. Ignorancja owa wy pływała z różnych powodów. Janosik Glizda Kościeliski, młody woźnica z Zakopanego, był kompletnie nietrzeźwy, tak że jego koń zdążył zrobić już trzy kursy z Łysej Polany pod Wodogrzmoty Mickiewicza, nim jego pan otworzył oko i poprosił chabętę, aby skombinowała mu jakieś piwo. Michałko Księdzów znajdował się akurat na zwolnieniu warunkowym i za cholere nie zamierzał z niego wracać, Emilia Fajans, jak co dzień (z wyjątkiem świąt i niedziel), udała się na drogę między Augustowem a Suwałkami, żeby proponować swe usługi kierowcom tirów, a ksiądz Marek Wądołowicz postanowił nieodwołalnie przeprowadzić rozmowę z Ojcem Dyrektorem Radia Gloryja na temat

ostatecznego porzucenia przez niego służby duchownej i zdjęcia sutanny, utracił bowiem wiarę nie tyle w Boga, ile w sens dotychczasowej działalności. Wreszcie porucznik Kordian Chamiak nie miał okazji zastanawiać się głębiej nad niczym. Podjął właśnie swoją codzienną pracę w ramach Brygad Obrony Rzeczypospolitej, polegającą na patrolowaniu placyku z tyłu sejmu, ze słabą nadzieją że kiedykolwiek przyjdzie mu jeszcze wykorzystać swoje niezwykle umiejętności, nabyte w trakcie szkoleń i paroletniej służby na misjach pokojowych. Wyglądało na to, że każdy zaprzątnięty jest własnymi sprawami i nigdy nie odegra jakiejś szczególnej roli dziejowej.

Wszelako Geniusz Historii postanowił inaczej.

I

4 CZERWCA 2020 ROKU, CZWARTEK, KOŁO POŁUDNIA

Było parno. Po nocnym deszczyku nie pozostało nawet śladu, jeśli nie liczyć wilgotności znacznej, osobliwie dusznej, bardziej lasom tropikalnym właściwej niż Puszczy Augustowskiej, dziś – po intensywnych wyrębach poprzednich dekad – w większej części zamienionej w młodniak samosiejek, którego nikt już nie zamierzał eksploatować. Turyści nazywali dawną puszcę sawanną i faktycznie dzięki wysiłkom ekologów i obrońców praw zwierząt, którzy rozwiązali i rozbili kilka ostatnich cyrków i ogrodów zoologicznych, ów park narodowy roił się od zwierzyny niewystępującej w naszej szerokości geograficznej od plejstocenu. Zebry, antylopy i żyrafy rozmnożyły się bujnie, mimo że stan równowagi utrzymywały lwy i tygrysy, a także zaskakująco dobrze klimatyzujące się w tym regionie białe niedźwiedzie.

Jak ów zwierzostan przeżywał srogie zimy, pozostawało jego słodką tajemnicą, choć dobrze poinformowani twierdzili, że było to skutkiem zmodyfikowanej karmy, którą od lat podrzucali im działacze ekologiczni.

W każdym razie wychodząca na drogę Emilia Fajans oprócz

fosforyzujących majtek i mikroskopijnego stanika miała ze sobą komplet sprayów – na bandziorów, na komary, na niedźwiedzie i na krokodyle. Całość uzupełniał osobisty dezodorant intymny, a główny problem, jakim zaprzętała sobie głowę młoda tirówka, polegał na tym, aby pojemników nie pomylić. Dwudziestodwuletnia dziewczyna na szczęście innych rozterek nie miała, a biorąc pod uwagę szalejące w gminie bezrobocie (w rodzinie poza nią wszyscy byli na zasiłku) i systematycznie płaconą dziesięcinę na Kościół, miała na swą działalność zarówno koncesję od wójta, jak i rozgrzeszenie od plebana. Inna sprawa, że o klientów wcale nie było łatwo. Po wejściu Pribałtyki do Związku Nordyckiego, czyli de facto po inkorporacji Litwy i Estonii przez ekspansywną Szwecję, większość ruchu tranzytowego przeniosła się na promy i mało kto z tirowców po dziurawych, krętych drogach chciał podążać. Działacze ekologiczni i owszem, zawsze mieli ochotę na seks, nawet gdy byli protestacyjnie przykuci do drzewa, ale honorarium prędzej można było doczekać się od niedźwiedzia, polarnego.

Dlatego do południa Emilia zdołała jedynie wejść w niewielką relację z listonoszem (za pakiet druków reklamowych i bułkę z serem), wypchnęła też z dobroci serca posiadacza przedhistorycznego malucha, który wpadł do rowu, i uraczyła go pakietem usług zniżkowych (jeden numer normalny, dwa ulgowe i jeszcze jeden gratis) oraz całkowicie za friko uświadomiła seksualnie patrol czterech harcerzy, zdobywających akurat sprawność sobieradka.

Była dwunasta zero osiem, kiedy obok jej stanowiska z furkotem chorągiewek, ozdobionych wielkim żółtym krzyżem, przeleciała – poprzedzana przez motocyklistów – karawana pojazdów na numerach dyplomatycznych, okazałych limuzyn o szybach przydymionych tak, że najwprawniejsze oko nie mogło zobaczyć, co dzieje się we wnętrzu. Emilia miała dotąd doświadczenie z jednym tylko dyplomata, szoferem z ambasady Białorusi. Jakies dwa lata temu zagotowała mu się woda w chłodnicy i błagał Fajansównę o pożyczenie wielofunkcyjnego wiaderka, które było jej niezbędne do uprawiania zawodu.

– Użycz mi tej cieczy, użycz mi, dziewczyno! – zawołał śpiewnie.

– Trudno do chłodnicy wlać wodę z mydliną – odparła mu w tej samej konwencji.

– Tedy pójdź nad ruczaj wraz, ślicznotko ruda...

– Chcesz, by się w rozpusztę zmieniła Rospuda?

Ale poszli, i faktycznie po wizycie nad ruczajem dobrosąsiedzkie stosunki pobratymczych nacji uległy mocnemu zadzierzgnięciu na tylnym siedzeniu limuzyny. I umacniały się tam aż do zmierzchu, gromadząc wokół kołyszącego się pojazdu tłumy gapiów z okolicznych przysiółków.

– Nie sromaj się, dziewczyno! – uspokajał ją szofer Sasza. – Przez te szyby nie sposób do środka zajrzeć.

– Ja się nie sromam, tylko się zastanawiam, czy nie opuścić szyb i nie brać od widzów za bilety.

Po Saszy pozostało jej uczulenie na białoruska, tapicerkę i dziecina

maleńka imieniem Aleksandra, którą wychowywały w Łapach tamtejsze zakonnice.

Szwedzka kawalkada się nie zatrzymała, ale nie minęło pół godziny, a dziwna wibracja poczęła poruszać popękaną, pełną kolein nawierzchnią szosy.

– Tiry dwa, nie, pięć? – zgadywała, przybierając zalotną pozycję numer trzy. – Na pięć przynajmniej jeden musi się zatrzymać. – Popatrzyła na wiszący na krzaku baner z napisem: „Sezonowa obniżka cen” i czekała w napięciu, wsłuchana w narastający ryk silników.

Pomyliła się, żaden się nie zatrzymał; mimo że pojazdów było nie pięć, lecz co najmniej dwadzieścia, sunęły wolno z jakąś niezwykłą energią. Nie знаła tej marki; dopiero kiedy minęły mostek koło kapliczki, zorientowała się, że są to samochody pancerne.

*

– Kurwa – zaklął porucznik Kordian, widząc czarnego kota przebiegającego drogę limuzynie wicemarszałka Klawisza. – Tylko tego brakowało!

Kot jakby go usłyszał, albowiem stanął słupka na środku sejmowego podjazdu i po chwili rozległo się głuchoe plaśnięcie pod oponami czerwonej lancii.

– Kurwa! – zawołał powtórnie Chamiak, lekceważąc regulamin BOR-u, który dopuszczał wprawdzie w uzasadnionych sytuacjach przeklinanie, ale jedynie w głównych językach europejskich. Wszelako ani soczyste bloody bastard, ani wykwintne merde, ani

sąsiedzkie donnerwetter, czy job twoju mać nie przyszło mu w owym dramatycznym momencie do głowy.

Wiedział, że gorzej być nie może; krążyły legendy, że wicemarszałek przy wszystkich swoich zaletach był od pewnego czasu człowiekiem diabła przesądnym. Myśli rozmaite kłębiły się w głowie młodego BOR-owca, jednak najgorsza była jedna, natrętna: skąd w Warszawie na przednówku mógł się znaleźć kot? Nawet szczury zniknęły, utylizowane w coraz liczniejszych tanich restauracjach należących do przedsiębiorczych Azjatów. Jeszcze przed paru laty można było łatwo oskarżyć o nielegalną hodowlę kotów posła Jarosława Indykiewicza, byłego prezesa Brawa i Spolegliwości, ale od czasu kiedy poddano go przymusowej kuracji psychiatrycznej w Zakładzie Schizofrenii Bezobjawowej, zlokalizowanym na środku jeziora Wiagry, ta kandydatura nie wchodziła w grę.

Stanął więc Kordian, pokornie oczekując reprimendy, ale mecenas Klawisz tylko okno opuścił i krzyknął:

– Posprzątaj to, a żywo, chłopcze, zaraz tu się zjawią Ich Królewskie Wysokości! – zawołał, spluwając na wszelki wypadek przez lewe ramię, zapomniawszy, że z tyłu siedzą dwie urodziwe asystentki bliźniaczki. Auto odjechało. Kordian już chciał się rozejrzeć za szufelką, kiedy czarny kocur wstał, otrzepał się, puścił oko i oddalił się w kierunku nowego hotelu poselskiego. Kordian mógłby przysiąc, że na jego łapkach dostrzega niewielkie, srebrzyste pantofelki...

– Chyba mam halucynacje – mruknął do siebie, zastanawiając się,

co też takiego pił przedwczoraj, i dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że przecież jest abstynentem.

Jak na funkcjonariusza BOR-u Chamiak był osobą o dość skomplikowanej psychice, choć dużo wysiłku wkładał, aby nie dać tego po sobie poznać. Na pierwszy rzut oka mięśniak, wysoki, barczysty, jasnowłosy, miał duszę tak subtelną, że sam nie mógł się temu nadziwić.

Imię i nazwisko – obu nienawidził w równym stopniu – zawdzięczał swojej matce. Dość wcześnie zauważył, że osobnik wpisany do metryki jako ojciec – Olgierd Chamiak – nigdy nie istniał. Matka zwyczajnie okłamywała syna, twierdząc, że jej pełen rozmaitych talentów narzeczony popełnił samobójstwo, używając niezmiennie poetyckiej formuły: „zabił się młody”. „W takim razie powinienem nazywać się Szpicnagel” – kombinował odcytany w klasyce chłopak.

Przy pomocy pewnego dziennikarza śledczego, który w młodości kolegował się z jego rodzicielką, udało mu się ustalić, że był owocem krótkiego stażu, jaki zaraz po studiach jego matka Salomea Łęcka odbyła w redakcji „Dziennika Wyborczego”, i najprawdopodobniej został poczęty podczas igraszek na biurku z którymś z prasowych asów (niewykluczone, że z samym naczelnym). Mocnym potwierdzeniem tej teorii mogła być głęboka niechęć, z jaką pani Salomea wymawiała słowo „biurko”, nie mówiąc już o wszystkim, co łączyło się z „Dziennikiem”. Przychodziło jej to tym łatwiej, że była od lat warszawską korespondentką Radia Gloryja z Turonia, owej

ostoi ciemnogrodu i zacofania. Odkrycie tego prenatalnego fałszerstwa zmieniło gorącą miłość do matki w równie żarliwą niechęć i podyktowało dalsze wybory życiowe. Mimo rozlicznych talentów – jako dziecko grał na pianinie, malował i pisał wiersze – Kordian postanowił zostać zawodowym wojskowym i ku rozpaczy Salomei swój zamysł doprowadził do końca.

Nie zdążył jeszcze na dobre zapomnieć o kocie w butach, kiedy zadzwoniła jego prywatna wideokomórka. Kolejna wtopa! Prywatne rozmowy na służbie były surowo zabronione. Błyskawicznie wyłączył aparat; zdążył zauważyć, że wyświetlił się Sebastian, ale postanowił go zignorować.

Tymczasem bliżej godziny trzeciej poczęły nadjeżdżać kolejne wozy szwedzkich służb, w liczbie – jak na normalną wizytę – zastanawiającej, chociaż ostatnio Skandynawowie mieli hopla na punkcie bezpieczeństwa. Tamtejszy król wprawdzie nadal jeździł do pracy rowerem, ale pancernym. Tym eufemizmem określano jednośląd z pełną osłoną elektroniczną, a także małym polem siłowym, uniemożliwiającym atak z zewnątrz.

Najgorsze, że Sebastian, z wrodzonym sobie uporem, nie zrezygnował z nawiązania kontaktu. Po dwóch próbach przysłał rozpaczliwy SMS: „Dżesika z Izaurą zabraniają mi wstępu do kibla”. Kordian westchnął; jego mamusia od początku podejrzewała, że to musi się tak skończyć. Kiedy ostatni dostojny gość dojechał na miejsce, puścił krótki VMS: „To lej w kuchni, do zlewu!”.

*

– Ostańcie z Bogiem!

Ozwał się dżingiel, będący twórczą wariacją na temat pieśni My chcemy Boga. Ksiądz Marek zebrał papiery i wyszedł ze studia. Odczuwał ogromne znużenie. Zastanawiał się, jak długo jeszcze da radę ciągnąć ten program, w którego sens nie wierzył.

„Polska debata” – śmiechu warte! Dyskutantami byli wszak od dość dawna wyłącznie pracownicy Kompleksu Religijnego Radia Gloryja, dzwoniący przez wewnętrzną centralkę i dość nieudolnie zmieniający głosy za pomocą ściskania nosa, wkładania do ust kamyków czy ucisku na struny głosowe. Niestety, łącza ze światem odcięto im parę lat temu na polecenie wojewody turońskiego, ze względu na raport sanepidu. Podobno telefonia komórkowa w tym miejscu zagrażała życiu i zdrowiu łabędzi gnieźdzących się na brzegu Wisły. Natomiast tradycyjny kabel przecięto jeszcze podczas budowy obwodnicy i do dziś go nie podłączono. Dzięki Bogu, działała wewnętrzna centralka, i można było błogosławić przezorność ojców redemptorystów, którzy zdecydowali się w ostatnich latach na gruntowną przebudowę ośrodka i przeniesienie wszystkich studiów na ulicę Świętego Jozefata, gdzie na okolonej murem przestrzeni budynki klasztoru, radia, telewizji i Akademii Kultury Społecznej mogły na razie funkcjonować, sprawiając wszelako wrażenie oblężonej twierdzy. Nie zmieniało to faktu dla Wądołowicza najboleśniejszego – praktycznie gadał w próżnię. Możliwość naziemnego nadawania

audycji skończyła się wraz z utratą częstotliwości. „Radio Gloryja nie spełnia europejskich standardów!” – orzekł Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu na wniosek obywatelki Delicji Milion, której matka na skutek ingerencji klechów i wspomnianego radia przed osiemnastu laty powstrzymała się przed jej wyskrobanie, skazując nieszczęsną dziewczynę na niechciane życie na tym padole łez.

Oczywiście teoretycznie pozostawała jeszcze sieć internetowa, w której każdy (podobno!) mógł wieszać, co chciał, a ostatnio dobili się tego prawa nawet bezdusznie dyskryminowani przez wieki całe pedofile. Niestety, w III Rzeczypospolitej nie znalazł się żaden operator gotowy wpuścić na swój serwer obrzydliwe i zacofane treści propagowane przez turońską rozgłośnię. Toteż jedynym ratunkiem było nagrywanie audycji na dyski CD i DVD i rozsyłanie ich kurczącej się grupce moherowych słuchaczy przy pomocy kurierów parafialnych. Dzisiejsza rozmowa, która tak zbulwersowała księdza Marka, dotyczyła perspektyw otwierających się przed polską grupą landów wchodzących – przynajmniej teoretycznie – w skład rozsypującej się Mumii Europejskiej.

Rozmówca pierwszy, posługujący się pseudonimem Docent, przekonywał, że rząd planuje zwrócić się o protektorat do Republiki Federalnej Niemiec. Miały trwać na ten temat zakulisowe rozmowy z kanclerzem Mahmudem Abdullachim. Zastawem do czasu spłacenia polskich długów miał być Szczecin, worek żytawski i enklawa gliwicka na Górnym Śląsku. Inna sprawa, że od czasu gdy kanclerzem został Turek, Niemcy mieli dość własnych kłopotów, aby brać na

głowę jeszcze polski bardak.

Partner Docenta, tytułowany Profesorem, nie zgadzał się, twierdząc, że pod stołem podpisano już adres do przywódców Rosji w sprawie wejścia Polczy do Układu o Współpracy i Pomocy Wzajemnej.

– Jest to – podkreślał – jedyne wyjście, gdyż inaczej grozi nam agresja ze strony Białorusi i Ukrainy, które, choć suwerennością dorównują Osetii i Abchazji, wojska mają dość, by je pchnąć na Białystok i Rzeszów, do których pretensje okrutne roszczą.

Z obydwoma opiniami nie zgodził się trzeci dyskutant, tytułowany Eminencją.

– W aktualnym stanie Rosji branie sobie na głowę zbankrutowanej Polski byłoby czystym szaleństwem – twierdził. – Tym bardziej że podczas ostatnich wyborów samorządowych władzę w większości miast wschodniej Syberii objęła mniejszość (a de facto już większość) chińska. Państwo rosyjskie w zrównoważonym kształcie euroazjatyckim należy już do przeszłości.

– Zatem, zdaniem Waszej Eminencji, jaką opcję dla Polski wybierze aktualna antynarodowa administracja? – pytał ksiądz Marek, marząc, aby dyskusja wreszcie dobiegła końca.

– Mówiąc elegancko: kondominium, a bardziej szczerze: rodzaj aksamitnego rozbioru... Niemcy do Wisły, Ruscy od Wisły...

– Szkoda, że Słowacy nie chcą brać Galicji – westchnął Wądołowicz.

– Ale Szwedzi Pomorze chapną z przyjemnością.

– Tylko co wobec tego może przedsięwziąć nasze społeczeństwo?

– Modlić się i pokładać ufność w Panu. Nie była to rada bliska księdzu Markowi.

W młodości był naiwnym idealistą – wierzył, że Bóg pomaga tym, którzy sami chcą sobie pomóc, że każdy jest kowalem swego losu, ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek, a Polacy są nacją, która może być inspiracją dla reszty świata.

Kiedy to było? Co się z tym stało?

W aktualnym stanie psychicznym każdy dzień wydawał mu się koszmarem, a świadomość bezowocności wszelkich działań wzmagala się nieustannie.

Ale jak długo można iść pod prąd? Nigdy nie odczuwał swego osamotnienia bardziej niż obecnie. Kościoły pustoszały, młodzież odwracała się kompletnie od spraw religii albo szukała pocieszenia w sektach, New Age'ach czy flirtach z różnymi formami satanizmu. A Ten, dla którego wyrzekł się świata...?

Kiedy Marek był młodym chłopcem, a nawet młodym księdzem, wydawało mu się, że słyszy i rozpoznaje Jego głos – w kroplach rosy, w śpiewie ptaka o świcie, w patetycznych dźwiękach organów. Teraz utracił ów duch. Od dłuższego czasu w jego mózgu dzień i noc, jak dokuczliwy kołatek, stukała i pukała fraza jedna – krótka a straszna i „Boga nie ma, Boga nie ma, Boga nie ma”.

*

W ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin swej wolności Michałko Księdzów popełnił więcej przestępstw niż niejeden kryminalista w całej swej karierze i gdyby jakiś skrupulatny sąd usiłował ukarać go za wszystkie winy, życia by mu nie starczyło, żeby to wszystko odsiedzieć. Po pierwsze, pogwałcił wszelkie zasady zwolnienia warunkowego. Nie wrócił do miejsca zameldowania, nie zgłosił się do kuratora, a co najgorsze, pozbył się elektronicznego chipa umożliwiającego namierzanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W dodatku, wydłubawszy go, nie poprzestał, jak zrobiłby to inny przestępca, na wrzuceniu go do sedesu, ale wszczepił bezpańskiemu psu rasy kundel, którego wrzucił na platformę pociągu udającego się w kierunku obwodu kaliningradzkiego. Mogą go tam szukać długo i namiętnie!

Czas spędzony w mamrze przestępcy wykorzystują zazwyczaj na doskonalenie zawodowe. Michałko również nie zmarnował tych trzech lat, które zawdzięczał wyłącznie niewytłumaczalnemu na zdrowy rozum afektowi, jaki ostatniej wiosny swej wolności poczuł do długonogiej Beatki. Ów pociąg uspił jego czujność, pozbawił zwykłej ostrożności i zawiódł dotąd niepokonanego hakera na ławę oskarżonych, albowiem jego wybranka, którą poznał w kawiarence internetowej, okazała się kutą na cztery kończyny funkcjonariuszką Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, polującą na takich rozbójników internetowych jak on.

W więzieniu od samego początku był garownikiem przykładowym, wzorowym obiektem resocjalizacji, dzięki czemu otrzymał pracę

w bibliotece. Stworzyło mu to niezrównane możliwości. Teoretycznie komputer w bibliotece nie miał połączenia z Internetem, ale wystarczyło jedynie zdobyć zdezelowaną komórkę i wykonać kilka prostych zabiegów, aby otworem stanął przed nim nie tylko cały świat, lecz również serwery Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nie mówiąc już o prywatnym komputerze naczelnika więzienia. Toteż Księdzów wychodził z mamra nie tylko jako człowiek ogromnej wiedzy – przez te trzy lata świat cybernetyki nie stał w miejscu, a Michałko poruszał się co najmniej równie prędko jak on – ale przede wszystkim jako prawdziwy krezus. Podobno pierwszy milion należy ukraść. Michałko w krótkim okresie intensywnej hakerki na wolności zgromadził całkiem ładny grosz, pięć milionów franków szwajcarskich (marki niemieckiej nie lubił, a w chińskiego juana nie wierzył), i przezornie jeszcze przed wpadką zdołał znaczną część tego ukryć na tajnych kontach na karaibskich wysepkach. W trakcie garowania udało mu się jeszcze pomnożyć kapitał. I to wielokrotnie. Teraz wystarczyło tylko dotrzeć na Kajmany albo przynajmniej na wyspę Man i pobrać pieniążki, zgromadzone tamże na paru przemyślnie założonych kontach. Posiadane kwoty pozwoliłyby mu żyć uczciwie do końca życia, a nawet przeznaczyć część odsetek na cele charytatywne.

Nadto w ciągu wspomnianych trzech lat zimna krew, pieniądze i inteligencja pozwoliły mu nie tylko uniknąć losu dymanego przez git-ludzi cwela (była to jedyna rzecz, której, idąc do pudła, naprawdę się obawiał), ale jeszcze zdobyć znaczny mir u współtowarzyszy

niedoli. Czyż można było nie cenić współwięźnia hakera, dla którego żadnej trudności nie przedstawiało przekazanie wiadomości poza mury, wynajęcie detektywa sprawdzającego lojalność współników, a nawet uzyskanie wyników testów DNA świeżo urodzonej dzieciny skazańca o groźnej ksywie Hannibal?

– Niestety, syn nie jest twój – powiedział ze smutkiem.

– Wiedziałem – odparł Hannibal. – W końcu siedzę tu już trzy lata, a Baśka nie przychodzi na widzenia.

– To po co chciałeś sprawdzać?

– Na wszelki wypadek, żeby przypadkiem, kiedy ją wreszcie zabiję, nie popełnić pomyłki! Aha, czy mógłbyś jeszcze ustalić dla mnie personalia jego biologicznego ojca?

Oczywiście żaden z więźniów korzystających z rozmaitych usług Michałka nie domyślał się wszystkich jego umiejętności. Te zaś były ogromne – zanim wszczepiono mu chip, wiedział już, jak można go na moment zablokować, przeprogramować, a następnie uszczęśliwić nim kogo innego.

Również jego urwanie się z systemu kontroli postpenitencjarnej nie było skokiem w nieznane. Sporo czasu zajęło mu zaprzyjaźnienie się z pewnym ćpunem o pospolitym nazwisku Marek Zając, odsiadującym krótkoterminowy wyrok za kradzieże w aptekach, co od czasu legalizacji narkotyków było więcej niż głupotą.

Marek Zając, o krótkiej szyi i twarzy przypominającej księżyc w pełni (przynajmniej tak prezentował się na zdjęciu w dokumentach; aktualnie jego oblicze bardziej upodobniło się do miesiąca w trzeciej

kwadrze), był nawet odrobinę do niego podobny. Reszta wymagała małej charakteryzacji. Wycyganienie dowodu osobistego nie okazało się szczególnie trudne. Za kasę, którą dał mu Michałko, Zając sprzedałby nie tylko rodzoną matkę, ale też ojca, siostrę, dzieci i kogo jeszcze by chciano, tym łatwiej że był całkowitym sierotą.

Ćpun wyszedł z mamra parę dni przed hakerem i teraz prawdopodobnie już nie żył z przedawkowania lub wykonywał właśnie złoty strzał, zostawiając na tym padole ciało bez dokumentów, a także bez dawnej tożsamości, którą udało się Michałkowi usunąć z systemu.

Opodal zakładu karnego nad malowniczym jeziorem znajdował się luksusowy hotel Ósmy Cud Świata, o którym zawczasu zebrał wszelkie niezbędne informacje. Znał nie tylko jego systemy komputerowe i cały personel, ale także aktualne rezerwacje. Szczególnie upatrzył sobie niejakiego Mariusza Kowalskiego – biznesmena z Warszawy, lokatora pokoju 222 – i zdobył wszystkie potrzebne informacje na jego temat, od rozmiaru kołnierzyka po PIN do karty kredytowej. Dodatkowo upewnił się, czy poranna zmiana recepcjonistów mogłaby kojarzyć biznesmena z twarzy – nie powinna. Teraz pozostawało tylko zrobić użytek z tych informacji. Zauważywszy, że pan Mariusz opuścił pokój i niedbale wrzuciwszy klucz do dziury w recepcyjnym kontuarze, udał się na basen, spokojnie odczekał kwadrans, po czym uśmiechnął się do recepcjonistki i rzucił niedbale: „222!”. Już po chwili znalazł się w apartamencie Kowalskiego, z którego wyszedł bogatszy o komplet

dokumentów i kart kredytowych. Jednak nie zamierzał odgrywać roli młodego biznesmena dłużej, niż to było potrzebne – ot, tyle, żeby skorzystać z jego laptopa, zdobyć gotówkę, wykonać parę operacji w Internecie, a następnie skonstruować nową tożsamość. Zresztą zachował się wyjątkowo uczciwie – wykorzystane pieniądze Kowalskiego jeszcze tego wieczora ponownie przelał na jego konto, a zanim opuścił teren hotelu, portfel z dokumentami wrzucił przez uchylone okno do pokoju (zachował jedynie platynową kartę). Uważał się bowiem, niezależnie od tego, co myślał sobie wymiar sprawiedliwości, za hakera z zasadami, a nie za złodzieja!

Taksówką przemieścił się do Suwałk – zastanawiając się, ile czasu zabierze władzy zorientowanie się, że obiekt jej specjalnej troski rozplynął się we mgle. Dobę? Dwie? Do tego momentu zamierzał być daleko, a przynajmniej w Warszawie. W niewielkim autokomisie nabył ładny wóz, prawie nowiuteńkie volvo pochodzące, jeśli wierzyć tablicy rejestracyjnej, z Malmö w Skanii. Był to ostatni raz, kiedy posłużył się platynową kartą Mariusza Kowalskiego. Nie dopytywał się szczególnie o pochodzenie bryki, choć zdziwił się trochę, gdy sprzedawca dorzucił w cenie również nowiutkiego laptopa, który leżał na tylnym siedzeniu. Jednak mniej więcej po półgodzinie transakcja wydała mu się podejrzana. Dlatego jeszcze przed Augustowem koło kapliczki, przy której gibała się jakaś półnaga dziewczyna, z pewnością niebędąca sprzedawczynią runa leśnego, zjechał w boczną dróżkę i zatrzymawszy się w zagajniku, odpalił laptopa. Komputer był na hasło, ale Michałko nie takie zabezpieczenia łamał.

Szybko wszedł na strony policyjne i przeszukał bazę danych. Gablota figurowała wśród pojazdów skradzionych przed dwoma dniami jakiemuś szwedzkiemu dyplomacie.

– Kurde mol! – Oczywiście nie mógł wracać do komisju i reklamować zakupu, ale nie mógł również jechać dalej. Tymczasem w komputerze zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Najpierw wysiadła wyszukiwarka Google, potem padła cała sieć. Nie wyglądało na to, że awaria ogranicza się tylko do laptopa Szweda. Internet był niedostępny również w komórce i w samochodowym GPS-ie. O cyberatakach na wielką skalę wiedział jedynie ze słyszenia. Czyżby akurat zdarzyło się coś takiego? Jeszcze chwila i również komórka straciła zasięg.

Cholera jasna, co to mogło oznaczać? Czyżby cały jego misterny i plan miał legnąć w gruzach przez jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności?

*

Chabeta stanowiąca własność Janosika Glizdy Kościeliskiego była z usposobienia najspokojniejszą kłaczą na świecie, jednak kiedy młody Niemiec, który zajechał konkurencyjną furką od strony Morskiego Oka, urzeczony zapewne malowniczymi widokami, cisnął jej między nogi petardę, nie zdzierzyła i poniosła.

Naturalnie gdyby jej młody pan nie znajdował się w stanie półuśpienia, z pewnością, jako wytrawny woźnica, opanowałby

sytuację. Jednak nim się ocknął, było za późno – furka po zderzeniu z inną bryką wypadła z dotychczasowej trajektorii. Bezwładne ciało górala wyleciało z kozła, jakimś cudem minęło rozłożysty świerczek i poleciało hen, w dolinę przepaścistą. Świat wirował mu jak oszalały. Chyba jednak Anioł Stróż czuwał nad Glizdą Kościeliskim, ciało jego bowiem obijało się głównie o mchy, paprocie i krzaki, precyzyjnie wymijając głązy ostre, korzenie twarde i inne, zabójcze w tej sytuacji, elementy naturalnego środowiska. Toteż nim padł w głęboki wykrot, powstały po ostatniej trąbie powietrznej, nie stracił niczego krom kapelusika z muszelkami, guńki, ciupagi, lewego buta, manierki z okowitą i przytomności.

II

4 CZERWCA 2020, CZWARTEK, PO POŁUDNIU

Czwarty czerwca w najnowszych dziejach Polski zajmuje miejsce szczególne. Czwartego czerwca 1989 roku odbyły się wybory wynikające z decyzji kółka graniastego czworokanciastego, które dały początek III Rzeczypospolitej. Czwartego czerwca 1992 roku upadł „rząd przełomu” mecenasa Olszy i skończyły się ambitne plany oczyszczenia sfery publicznej z agentów, tajnych współpracowników i innej nomenklaturowej swołoczy. W nowszych czasach tego dnia Republika Federalna wyszła ze strefy euro, rok później rozbił się pod Jekaterynburgiem samolot prezydenta Rosji, a w 2019 doszło do objawień w favelach pod Rio de Janeiro, gdzie grupie dzieci ulicy ukazała się Matka Boska mówiąca takie rzeczy – że jeśliby miały się spełnić w podanym terminie, świat powinien zabrać się za moralną odnowę, i to szybko.

W czwartek 4 czerwca 2020 roku w sejmie przy ulicy Wiejskiej panowało znaczne poruszenie, choć dla najgłupszego nawet dziennikarza było jasne, że najważniejsze sprawy państwa załatwiane są gdzie indziej, a tu można co najwyżej spodziewać się urzędowego klepnięcia. Rządząca samodzielnie Partia Obiecanek była w stanie przegłosować każdą ustawę. Jeśli więc tego dnia w gmachu przy

Wiejskiej pojawiło się więcej krajowych dziennikarzy niż zwykle, wynikało to trochę z sensacji, jaką miała być wizyta w Wysokiej Izbie królewskiej pary ze Sztokholmu. Od pewnego czasu nasz kraj odwiedzali najwyżej trzeci zastępcy sekretarzy stanu czy pozbawieni znaczenia wiceministrowie państw Mitteleuropy. Prezydenci USA latali do Rumunii, czołowi Europejczycy do Czech, Rosjanie na Słowację. Do Polski nie latał nikt, bo po co? Nawet złoża łupków sprzedano bez targów za psią cenę jakiejś firmie z Cypru należącej do ruskich Chińczyków, czy raczej chińskich Rosjan z Irkucka. Inna sprawa, że odpowiedzialny za transakcję minister skarbu kupił sobie potem jakąś wysepkę w Polinezji, na którą uciekł z grupką znajomych urzędników przekręciarzy i dopiero stamtąd przysłał kolegom z rządu pocztówkę z palmą i podpisem: „Łeb w łupki, głupki!”.

Rzecz znamienna, że na uroczystość przybyli wyłącznie dziennikarze krajowi, wszyscy zagraniczni znajdowali się w tym czasie koło Czerska, gdzie ubiegłej nocy pojawiło się UFO i porwało cztery aktywistki miejscowego koła gospodyń wiejskich. Niestety, skończyło się na rozczarowaniu; po dotarciu na miejsce znaleziono jedynie pięć kręgów w zbożu układających się w znany symbol olimpijski oraz cztery gołe gospodynie na szczycie zamkowej wieży, na którą bez sprzętu trudno byłoby się wdrapać nawet zawodowemu alpinistom.

– Jacy byli ci kosmici? – dopytywali się dziennikarze najładniejszej z gospodyń.

– Zieloni, nie za duzi, ale każdy z takim...

Tak czy owak, kiedy Jego Królewska Wysokość Karol Gustaw z małżonką przybył do gmachu sejmu, oczekiwała go jedynie (oprócz polskich mediów) telewizja szwedzka. Nikt nie spodziewał się niczego nadzwyczajnego. W programie, który trafił do skrytek poselskich, znajdowały się zaledwie trzy punkty porządku dziennego: przywitanie dostojnych gości, podjęcie uchwały, a następnie wystąpienie Jego Królewskiej Mości Karola Gustawa XV.

Program wyglądał co najmniej enigmatycznie, a co do uchwały, nie próbowano nawet zgadywać, czego konkretnie może dotyczyć, jako że nie słyszano, aby pracowała nad nią jakakolwiek komisja sejmowa. Najprawdopodobniej miała być czysto protokolarna i mówić na przykład o odznaczeniu króla Szwecji Orderem Orła Białego albo poparciu szwedzkiej inicjatywy bezwarunkowej ochrony lemingów. Jak wiadomo, od pradziejów owe urocze północne stworzonka z rodziny nornikowatych co jakiś czas w samobójczym odruchu rzucały się w odmęty wód, nie zwracając uwagi na to, czy mogą przepłynąć dany akwen, czy nie. Nowa koncepcja Szwedów polegała na tym, że każdy gryzoń miał mieć wszczepiony czujnik praktyczne uniemożliwiający popełnienie samobójstwa. Każde zetknięcie z wodą morską wywoływało bowiem alarm skandynawskiej straży przybrzeżnej, która błyskawicznie śpieszyła gryzoniowi na ratunek.

Ale czy mogło chodzić akurat o lemingi? Prędzej o jakieś kontrakty gospodarcze, w końcu przez trzy miesiące w kancelarii premiera odbywały się tajne narady z udziałem szwedzkich ministrów transportu, spraw wewnętrznych i sprawiedliwości tak intensywne, że

– jak mówiono – odpowiedzialny za nie minister, pracowity jak kuc Michał Pony wręcz nie wychodził z ministerstwa. A jeśli wychodził, to wsiadał do gulfstreama i pędził do Sztokholmu, aby spotkać się tam ze swym ministerialnym odpowiednikiem, a czasem z samą panią kanclerz Gabriellą Oxienstierną. Dla wyjątkowo ciekawskich dziennikarzy, na przykład pracujących dla wychodzącej na powielaczu „Gazety Annopolskiej”, skonstruowano nawet legendę o przebogatych złożach uranu, surowca bądź co bądź strategicznego, odkrytych pod dnem Bałtyku, które oba kraje miały wspólnie eksploatować... Tylko kogo interesowały sprawy gospodarcze, gdy świat pogrążał się w recesji?

Dżesika Wrotek, przebojowa dziennikarka Polskiego Radia, wpadła do łoży prasowej dosłownie w ostatniej chwili. Kłótnie z Sebastianem omal nie udaremniły jej opuszczenia domu. Owszem, blokowała łazienkę przez pół godziny, ale tyle czasu kosztowało ją zrobienie choćby pobieżnego makijażu. Zresztą dla niej praca reporterki zaczynała się dopiero po oficjalnych wystąpieniach, i tak transmitowanych bezpośrednio – wtedy przychodził czas na wywiady, rozmowy, komentarze, ewentualnie celne pytania na konferencji prasowej. Dzięki doskonałym kontaktom z rzecznikami zawsze miała okazję zadać choćby jedno pytanie.

– Skąd ta cudowna opalenizna, panie premierze, z Peru czy z Dolomitów?

– Z solarium, panno Dżesiko, z solarium!

Kątem oka zarejestrowała obecność w łoży prezydenta Wronisława

Gomorrowskiego, który ku zaskoczeniu wszystkich zgolił swe sarmackie wąsy. Obok zasiadło wiele prominentnych postaci, a ponieważ dla wszystkich nie starczyło miejsc, jeden z doradców, niejaki Litwiński, drobniutki i chudziutki jak dziecina, skorzystał z gościnnych kolan pierwszej damy. Cokolwiek zastanawiający był brak dyplomatów przybywających przy podobnych okazjach do parlamentu, ale dla nich zapowiedziano pod wieczór wielki bal na Zamku Królewskim.

Z osób, które dostrzegła Dżesika, w oczy rzucał się szef połączonych służb specjalnych, młody Książek Bogusław, przystojny jak młodzieńcy z obrazów Rafaela i niebezpieczny jak żmija zygzakowata. Jednak zwyczajem gadów na salę plenarną nie wchodził, tylko po kuluarach się kręcił, dwie słuchawki w uchu miał, a do trzeciej gadał, zachowując się, jakby co najmniej oczekiwał ataku Al Kaidy.

Wszyscy się spodziewali, że przywitania pary królewskiej dokona marszałek izby, tymczasem o głos w trybie pilnym poprosił prezes Rady i Ministrów.

– Premierowi się nie odmawia! – skomentował prowadzący obrady Janusz Moczypies i zastukał w podłogę laską zakończoną na jego wniosek frywolnym króliczkiem.

Ronald Duck – charyzmatyczny przywódca Partii i Narodu, znany z tego, że z dziecinną łatwością wygrywa wszelkie wybory i, jak żartowano po latach, wygrałby nawet konkurs piękności na wystawie psów rasowych – nie wyglądał tego dnia najlepiej, a z pewnością

różnił się od swoich licznych portretów wiszących po szkołach i urzędach. Chudy jakiś, przygarbiony i wyłysiały, stał dziwnie pochylony, z ręką opartą mocno o pulpit, bo trzęsła mu się dziwnie, tak jakby miał futbolu całe życie przeokołkował w koszykówkę. Z dawnego Ronka Trampkarza pozostały jedynie oczy, które, acz podkrążone z bezsenności, nadal płonęły wilczo.

– Korekcja! – syknął przewodniczący Krajowej Rady Poprawności Politycznej Lokajczyk, który osobiście nadzorował transmisję. Błyskawicznie włączył się program automatycznej naprawy wizerunku medialnego, który sylwetkę wyprostował, włosy zageścił, usta rozchylił w uśmiechu szczerym i dobrodusznym, rękę zaś wsunął do kieszeni w luzackiej pozie. I teraz już nikt nie uwierzyłby żadnym złośliwym plotkom, że pan premier nie rządzi, zdając się głównie na swych ministrów – defensywy Tomasza Limoniaka, spraw zagranicznych Radwana Wróbelkiego i spraw krajowych, którymi zawiadywał Michał Pony – sam zaś otoczył się gronem szamanów, haruspików, wróżów i jasnowidzów, strategie z nimi wymyśla i w mały bilard z grzybkiem pogrywa...

Zrazu wyglądało to jedynie na uroczyste przywitanie, wszelako Ronald nie poprzestał na komplementach wobec królewskiej pary; wyraźnie przypominał sobie o swym historycznym wykształceniu, gdyż w wystąpieniu cofnął się aż do zamierzchłych czasów pierwszego tysiąclecia, odwołując się do kulturotwórczej roli Gotów w Polsce centralnej i Waregów na kresach, wspominał o skandynawskim rodowodzie Mieszka I, w istocie wikinga

Dagoberta, słaWił unię kalmarską i wspaniałość domu Wazów. Dżesika, która o historii miała mgliste pojęcie, a wojny siedmioletniej nie pomyliłaby z siedmiodniową tylko dlatego, że o żadnej nigdy nie słyszała, rzuciła okiem na obrotnego żurnalistę z „Dziennika Wyborczego”, pragnąc skapować, ku czemu to wszystko zmierza, ale ten tylko głową kiwał, jakby wszystko to skądś wiedział. Tylko skąd? W szkołach przecież historii od ładnych paru lat nie nauczano.

– Zaliż kiedykolwiek byliśmy większą potęgą niż wówczas, gdy dla szwedzko-polsko-litewskiej dynastii Bałtyk był morzem wewnętrznym? – głos premiera przybrał wręcz ton patetyczny. – Kiedy polskie chorągwie z woli postępowego odłamu społeczeństwa moskiewskiego powiewały na murach Kremla, a wojska Gustawa Adolfa w imię obrony tolerancji religijnej przecinały Niemcy jak masło?

Ozwały się spontaniczne brawa, ale Duck zgasił je ruchem ręki.

– Dlatego, Wysoka. Izbo, Wasze Królewskie Moście, panie prezydencie, nie powinien dziwić was okrzyk, który wzniosę, okrzyk, który ucieleśnia nasze nadzieje, plany i aspiracje, który, wierzę, podziela z nami miliony rodaków i wszystkich tych, którzy życzą sobie w środkowej Europie porządku pokoju i dobrobytu: Wiwat Carolus Gustavus Rex, od dziś dnia miłościwie nam panujący!

– Wiwat! – podchwycił marszałek, sekretarze i paru liderów Partii Obiecanek z pierwszych ław poselskich...

Jednak pośród reszty izby zaległo milczenie tak głucho, że słychać było tylko cichy szum komputera służącego do zliczania głosów.

– Czy my dobrze słyszym? – zawołał ubrany w galowy mundur strażaka Waldemar Kargul, były wicepremier.

Ronald nie odparł nic, jeno zwrócił wzrok ku górze, na prezydenta Gomorrowskiego, który opuścił swój stolec z niechybnym zamiarem zabrania głosu.

– O szczegóły regulacji prawnych, które wprowadzają natychmiastowe połączenie naszych narodów pod wspólnym berłem w jeden organizm, proszę pana prezydenta Wronisława Gomorrowskiego – gdy już zgodę, da Bóg, jednomyślnie uchwalim – wicekróla naszej wspólnej monarchii.

Braw wiele nie było, gwizdów takóž, ludzie byli zbyt zaskoczeni, zbyt oszołomieni, by zareagować. Nadto obecność szwedzkiego suwerena onieśmiałała nieco i powstrzymywała możliwą pyskówkę. Zresztą po ostatnich wyborach przeważali na sali ludzie odpowiedzialni, nieskorzy do awantur, nauczeni na przykładzie Jarosława Indykiewicza, jak kontestacje mogą się skończyć.

Gomorrowski mówcą wielkim nie był, ale jego doradca Tomasz Obwarzan wystąpienie mu napisał precyzyjne – ergo, odwołując się co rusz do Boga i historii, a także dialektycznej nieuchronności, czytał kolejne punkty traktatu, z których wynikało, że Korona Szwedzka długi polskie przejmuje, najniższe płace gwarantuje, takóž zatrudnienie w sektorach państwowych podejmuje się utrzymać, a nawet zwiększyć. Autostrady miały być dokończone w lat pięć, szybkie pociągi wprowadzone w lat dziesięć, a standardy europejskie obowiązywać już od dziś. I jawiła się transformacja zaniedbanej

krainy w państwo miodem i mlekiem płynące, cudów pełne, w dodatku sprawnie i uczciwie, bo cudzą ręką zarządzane. Przysłuchujący się z ław rządowych Karol Gustaw tylko łaskawie dłonią kiwał i uśmiechem pańskim kolejne punkty porozumienia i aprobował. Potem odegrano oba hymny i szwedzka para oddaliła się wśród braw i wiwatów (przez radio i telewizję nadanych na wszelki wypadek z taśmy).

Zgromadzeni nadal byli tak osłupiali, że nikt głośno nie protestował, każdy przekonany, że w trakcie dyskusji z projektu pozostaną strzępy, a i te na długo ugrzęzną w komisjach.

Tymczasem ledwie prezydent umilkł, już marszałek Moczypies głosowanie zarządził.

– Chwileczkę, a dyskusja?! – zakrzyknęli posłowie z dalszych ław, niezależnie od barw politycznych.

– O czym tu dyskutować? Porozumienie zawarte, a izba może je jedynie przyjąć bądź... – marszałek uśmiechnął się szelmowsko – odrzucić.

– Głosujmy, głosujmy! – zaczęli wołać na wyścigi posłowie Partii Obiecanek, choć w przeważającej liczbie na równi z opozycją zaskoczeni, jednak od dawna do podejmowania podobnych decyzji przygotowani. Jak by nie było, od dekady blisko przemądre media i gazety jednym głosem sławiły ów rząd za europejskość, postęp oraz internacjonalizm, wbijając do otwartych głów, że pojęcia takie jak patriotyzm, ojczyzna czy suwerenność to archaiczne dyrdymały, szkodliwe zabobony, przeszkadzające rodakom stać się rzeczywiście

wolnymi obywatelami świata.

Niestety, nastrój cokolwiek wymuszonej zgody nie trwał długo. Już poderwał się poseł Antoni Macierenko, który jakimś cudem jeszcze się w Wysokiej Izbie uchował, i krzyczeń począł wielkim głosem, że to zdrada oczywista i suwerenności kraju zatrała, poparła go posłanka Anna Przysługa (kiedyś od spraw zagranicznych minister), która rzuciwszy się na próg, suknię rozdarła, pierś wielce nieopaloną ujawniając. Obudzili się i inni, w tym koalicjanci, jak Eugeniusz Sromotek z Partii Kmieciów Polnych i Jarosław Prawin – wielki statysta z Krakowa, a nawet sędziwy Leszek Killer, dziwnie na starość sporządniały. Do protestujących dołączył też, chyba przez pomyłkę, legendarny profesor Stefan Nieśmiałowski, co szczególnie musiało zabołec pana premiera, bo sędziwego entomologa jak własnego ojca szanował.

I słowa „zdrada, zdrada” poczęły zataczać kręgi coraz szersze, nawet posłusznym dotąd deputowanym w głowach mącąc. Tumult się uczynił wielki. Próżno marszałek laską walić zaczął, aż ta w rękach mu pękła, tak pechowo, że palec serdeczny, w który drzazga mu weszła, ssać musiał.

Szczęściem całej tej sromoty nie oglądał ni kraj, ni świat, bo szczególnym trafem, ledwie się Macierenko zerwał, w programach telewizji publicznej pojawiła się plansza: „Przepraszamy za usterki”, a w kanałach prywatnych zrobiono przerwę na reklamy.

Tymczasem aktyw Partii Obiecanek żywy mur wokół mównicy uczynił, przystępu do mikrofonów broniąc. Widząc, że wszelkie

prośby o udzielenie głosu nie skutkują, Macierenko w dramatycznym geście swą legitymację poselską dobył i na stół marszałkowski cisnął. Zaraz uczynili tak inni: i Joachim Czyściński, i Michał Kaufman, i Adam Ochot, niegdysiejszy spin doktor, i Przysługa, i Sromotek, i Killer, i Prawin...

I sypały się owe karty magnetyczne jak deszcz...

A marszałek Moczypies tylko okiem do Ronalda mrugał, jakby chcąc powiedzieć: „Świetnie, sami się immunitetów pozbawiają”.

A w słuchaweczkach, które funkcjonariusze straży marszałkowskiej i BOR-u w uszach mieli, rozkazy poczęły się rozlegać surowe, acz oczywiste, wprost od Książka Bogusława pochodzące, zakończone wezwaniem: „Czyńcie swoją powinność”. Poszedł tedy i Kordian Chamiak, aby porządku i ładu bronić, anarchię tępić, a swobody demokratyczne w ryzach utrzymać. Co się naprawdę stało, nie wiedział, poinformowano go jedynie o burdzie na sali posiedzeń, którą należało co rychlej ukrócić, bo powadze kraju i porządkowi publicznemu zagrażała.

Marszałek zdążył jeszcze przerwę zarządzić i wakacje parlamentarne ogłosić.

Konsternację wywołując powszechną.

– A głosowanie? – wołali pospołu nieomal wszyscy.

Ów ramionami tylko wzruszył i na tablicę wielką wskazał, która naraz ożyła, przekazując transmisję za TKN 24. Wdać było na niej, podobnie jak na telewizorach w kraju i na świecie, las rąk poselskich, a dolnym podpaskiem szła informacja, że Sejm Rzeczypospolitej

przyjął przez akłamację traktat z Królestwem Szwecji. Tylko najbardziej czujni widzowie mogli pomiarkować, że jest to obraz z zeszłego roku z uchwalania gratulacji z okazji stulecia urodzin jednego z najbardziej znanych autorytetów moralnych. Jednak Kordian Chamiak miał zbyt wiele kłopotu z posłem Sromotkiem, który w ławie się zaparł tak zdecydowanie, jakby miał odnoży z osiem, a nie cztery, ale w końcu go wyrwał z sejmowej grządki niczym bajkową rzepkę i do klubowego pokoju odniósł.

– Ty pachółku skandynawski, ty gnido nordycka – syczał mu w ucho Sromotek, dbając wszelako, aby tych słów, tak trafnie oddających stan jego ducha, nie usłyszał nikt odpowiedzialny za dyscyplinę poselską.

A ciśnięty na klubowy fotel zaniósł się płaczem, jak to po ojczyzny stracie.

Wracając na punkt zborny, Kordian zauważył, że spokój wrócił na pustą salę i dziwnie wyciszone kuluary. I dobrze!

Tylko pierwsza dama miała minę dosyć kwaśną. Nie dziwota. Trzymany przez nią na kolanach (bo innych miejsc zabrakło) drobny jak ratlerek doradca Jan Litwiński posikał się z wrażenia.

*

Ksiądz Marek ocknął się nagle z popołudniowej drzemki, bez której nie potrafił już normalnie egzystować, z przeświadczeniem że śniło mu się coś niesłychanie ważnego. Tylko co mogło mu się śnić?

Sny, w których spotykał Ojca Świętego, skończyły się na długo przed śmiercią papieża Polaka. O tym, że dzisiejszy sen był dramatyczny, upewniały go przyspieszony puls i serce nieomal gotowe wyskoczyć z klatki piersiowej. Mówi się, że z wiekiem ludzie coraz mniej obawiają się o swoje zdrowie. Wądołowicz obawiał się coraz bardziej. Może dlatego, że utracił pewność, co może napotkać po drugiej stronie? Jeśli w ogóle istniała jakaś druga strona.

Spojrzał na zegarek. Do umówionej rozmowy z Ojcem Dyrektorem, podczas której zamierzał przedstawić powody swego odejścia, dzieliły go nadal dwie godziny. Spał krótko, ale już nie chciało mu się spać.

Wstał i ruszył z przyzwyczajenia do biblioteki, aby przygotować materiały do audycji na temat pierwszych chrześcijan, i dopiero po drodze uświadomił sobie, że jeśli nie starczy mu odwagi, by przeprowadzić śmiałą analogię, okaże się, że pierwsi chrześcijanie ginęli w wielkim cyrku Nerona tylko po to, żeby po dwóch tysiącach lat jeden stary redemptorysta poświęcił im homilię.

Po wyjściu z obiektu zwanego hotelem Świętego Alfonsa (od nazwiska założyciela zakonu, księdza Alfonsa Marii Liguoriego) skierował się do gmachu akademii. Przeszedł przez mały park, nie zatrzymując się nawet przed figurą papieża Polaka. Dawniej stawał tam prawie zawsze na krótką modlitwę. Obecnie wątpił w jej moc. Skądinąd był to jeden z bardziej udanych monumentów Jana Pawła II; wykonany z białego marmuru, hiperrealistyczny, prezentował Ojca Świętego takiego, jaki wkroczył na arenę świata w pamiętny wieczór

październikowy, niespełna sześćdziesięcioletniego, zwycięskiego, niezłomnego. Czas i kurz sprawiały jednak, że zanim dochodziło do okresowego mycia, Karol Wojtyła wydawał się z każdym dniem coraz bardziej zmęczony i zrezygnowany.

Ksiądz Marek tylko głowę skłonił i zanurkował w drzwi prowadzące do lektorium. Idąc korytarzem, napatoczył się na ojca rektora.

– Słyszałeś? – zaświzczał ów tak mocno, jak pozwalała mu uszkodzona krtań, niedawno operowana z powodu nowotworu gardła.

– Polska została sprzedana!

– Komu?

– Heretyckiej Szwecji! Wybacz ten staromodny zwrot, który dziś pewnie nic nie oznacza. Wiedziałem, że tak się skończą te rządy bez Boga. – Stary biblista był kompletnie załamany. Wiadomości z Watykanu i serwisu BBC upewniły go, że to, co krajowe media przedstawiały jako wielki sukces i unię dwóch wolnych narodów, było w istocie poddaniem Polski pod komisaryczny zarząd sąsiada z północy.

Ksiądz Marek słuchał, głową kiwał dziwnie obojętny, bo od dawna żywił przeświadczenie, że prędzej czy później do czegoś takiego dojdzie. A poza tym poddanie się Szwecji było i tak lepsze niż rozbiory...

– Ten świat zmierza ku zagładzie, to jasne – mówił ojciec Bonawentura urwanymi, świszczącymi słowy. – Ale ciągle miałem nadzieję, że nie musi to się stać za naszego życia, że ojczyzna nasza

rozpocznie nową ewangelizację Europy; teraz widać, że wszystko na nic. Wielka jest moc Antychrysta. Bo, jak powiada święty Jan, „Któż jest podobny do Bestii i kto potrafi rozpocząć z nią walkę?”

– I co my możemy na to poradzić? – już miał odpowiedzieć Wądołowicz, ale nie chciał dobijać dychawicznego starca, który mógł być żywym dowodem niesprawiedliwości Pana Zastępów. Odebrać swemu słudze to, co miał najwspanialsze: potęgę głosu...

Nagle odechciało mu się lektorium. Zawrócił do hotelu Świętego i Alfonsa.

Wcześniej stał tam ordynarny barak z wielkiej płyty, który na szczęście zburzono, w jego miejsce zaś wzniesiono obiekt nawiązujący do bryły kościoła, a jeszcze bardziej do neogotyckiej architektury budynków nieodległych Filtrów. Rezygnując z windy, energicznie wspiął się po schodach i skierował się do swego pokoju na piętrze, zamieszkanym przez personel uczelni i rozgłośni.

Budynek był o tej porze prawie opustoszały, a ciemnawy korytarz wydawał się dwa razy dłuższy niż zwykle. Dochodząc do pokoju, poczuł z absolutną pewnością, że ktoś tam jest. Znał tego kogoś. Nazywał go „niewidzialnym kelnerem”, To on sprawiał, że kiedy wracał do celi, na stole czekała butelka, zmrożona, jakby świeżo z lodówki wyciągnięta, i stał kieliszek, a obok szumiał włączony komputer. Marek wiedział, że niezależnie od tego, który klawisz trąci, otworzą się strony pełne oszałamiających dziewcząt, wulgarnych, chętnych, ale pięknych. I wiedział, że się nie oprze. Kiedyś próbował walczyć. Jedyne, do czego doszedł, to stwierdzenie, że jakakolwiek

walka nie ma sensu.

Ale tego dnia walczyć nie musiał. Internet nie działał. Nalał sobie literatkę i uniósł do góry. Jakiś cień przeleciał za oknem niczym skrzydła wielkiego, czarnego ptaka. Coś zabolalo go w mostku, nieprzyjemnie, dojmująco. Poczul nagłe uderzenie strachu.

Niejako wbrew sobie odstawił kieliszek; odczuwając nieznośną duszność, otworzył okno. Zaczerpnął głęboko wiosennego powietrza pełnego woni bzów i w tym momencie zorientował się, że coś w parku uległo zmianie. Co – dotarło do niego po dłuższej chwili. Papieski postument był pusty.

Kradzież, profanacja? Różne myśli przebiegały mu przez głowę. Jednak kilkanaście sekund potem usłyszał lekkie pukanie do drzwi celi.

Otworzył je.

– Co to za maskarada – chciał krzyknąć.

Na progu stał papież. Nie ten stary, zniedołężniały, którego jako świeżo wyświęcony ksiądz widział w Watykanie na kilka miesięcy przed odejściem do domu Ojca, ale ten z pomnika.

– Ojcie... – wydusił, od niedowierzania przechodząc do pewności, że nie jest to żaden znakomicie ucharakteryzowany aktor, tylko sam święty Kościoła Powszechnego. – Ojcie...

Wyglądało na to, że konsternacja księdza rozbawiła nieco Karola Wojtyłę.

Uśmiechnął się delikatnie, ale zaraz potem brwi zmarszczył i powiedział pięć krótkich słów:

– Walcz i się nie poddawaj.

Oślupiały zakonnik chciał coś odpowiedzieć, dziesiątki słów kłębiły mu się w głowie, tym bardziej że nie bardzo wiedział, o jaką walkę może chodzić. Ta w wymiarze globalnym wydawała się przegrana od dłuższego czasu, koniec tej polskiej dopełniał się dziś. A zatem jakakolwiek walka nie miała sensu, bo imperium zła triumfowało na dziesiątki sposobów – Wielki Szatan w obecnej dobie się spluralizował, atakuje od środka, perfidnie, pod hasłami wolności i cywilizacji rozkoszy.

Nie musiał jednak nic mówić. Jan Paweł II najwyraźniej czytał w jego mózgu i doskonale znał jego wątpliwości. Cofnął się o krok i do tknął ręką krzyża wiszącego na piersi.

– Z nim zwyciężysz – rzekł dobitnie.

Ksiądz Marek chciał zawołać, gorąco zaprotestować i wytłumaczyć, że zwracając się właśnie do niego, papież stawia na niewłaściwego człowieka, właściwie najbardziej niewłaściwego z niewłaściwych ale wtedy stało się coś strasznego, tak jakby niewypowiedziana odmowa zaboląła Ojca Świętego. Jego szlachetną twarz przeszył grymas bólu, pochylił się, rękę do brzucha przycisnął, a pomiędzy palców poczęła wyciekać krew.

– Nie! – wrzasnął Wądołowicz. – Nie! – Rzucił się do przodu, aby tak jak sekretarz Dziwisz pamiętnego 13 maja 1981 roku postrzelonego pontifexa w ramiona pochwycić, ale jego ręce przeszły powietrze. Gość w bieli zniknął jak holograficzny obraz...

„Zwariowałem – przemknęło Markowi przez myśl. – Mam

normalne delirium!”

Wrócił do pokoju i wyjrzał przez okno. Pomnik stał na swoim miejscu, rzucając długi, przedwieczorny cień sięgający ulicy. Nie bacząc, iż kręci mu się w głowie, zbiegł na dół i dotknął gładkiej powierzchni twardego marmuru, a potem ucałował z szacunkiem dłonie z pierścieniem rybaka. Nagrzana słońcem wydawała się taka ciepła.

I wtedy wzrok jego padł na trawnik – ziemia była miękka po porannym deszczu i widać było dwa symetryczne wgłębienia, jakby ktoś zszedł z niskiego cokołu i skierował się w stronę chodnika.

– Nie świruj, nie świruj. – powtarzał sobie ksiądz Marek.

W pokoju nic się nie zmieniło, ale kiedy sięgnął po nadal pełny kieliszek i zamierzał go przechylić, dostrzegł na ręce kilka zaschniętych kropli krwi...

III

4 CZERWCA 2020 ROKU, CZWARTEK, WIECZOREM

Noc już była ciemna, kiedy zmordowany Kordian do domu powrócił. Wprawdzie wyłapanie buntowników poszło stosunkowo łatwo, a zrzeczenie się przez nich w porywie szlachetnej głupoty immunitetów – w momencie rzucenia legitymacji stawali się prywatnymi obywatelami – do reszty ułatwiło sprawę, jednak wygarnięcie ostatnich niedobitków zabrało trochę czasu. Niektórzy oponenti chytrze zadekowali się w sejmowych garażach, kilku zabarykadowało się w gabinecie wiceprezesa klubu, a Mariusz Piaseczek, dawno temu szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego, zamknął się od wewnątrz w kasie pancерnej, którą trzeba było szybko rozcinać, gdyż istniała obawa, że się tam udusi. W dodatku każdy incydent należało potraktować indywidualnie. Wielu z tych, którzy rzucili legitymacje, rychło pożałowało swej decyzji – gdy zostawali sam na sam z trójką złożoną z BOR-owca, strażnika marszałkowskiego i oficera ABW, co śpieszniej podpisywali deklaracje lojalności i przyjąwszy zadanie pokutne, jakim były występy w telewizyjnych kanałach informacyjnych, odchodzili wolni.

Najbardziej opornych helikoptery odwoziły w nieznanym

kierunku, co Kordianowi wydało się praktyką nieco zaskakującą, ale żałować ich nie żałował, bo miał do całej tej próżniaczej klasy stosunek obojętny, a poza tym co rozkaz, to rozkaz. Jeśli idzie o ludzi w rodzaju Macierenki czy Piaseczka, pogład miał wyrobiony: przez takich awanturników i pieniaczy, sypiących piasek w tryby organizmu państwowego, ciągle nie można było zorganizować zapowiadanych ambitnych planów, ziścić cudów, które przecież były o krok.

Nie mógł też się nadziwić, że ciągle znajdowały się osoby z wyższym wykształceniem, takie jak jego matka, które dawały się łapać na, dyrdymała biegały w kółko na jakieś msze za ojczyznę, póki nie zakazała ich kuria, koczowały na cmentarzach, zamiast żyć sobie wesoło – jeśli nawet nie w rzeczywistości prawdziwej, to w rzeczywistości wirtualnej. On sam, gdy był nieco młodszy, ledwo tylko do domu przybył, hełm na głowę zakładał, sensory podpinał i wskakiwał w cyberprzestrzeń, w której mógł być królem, wojownikiem lub kochankiem, a w optymalnej sytuacji, zdobywszy odpowiednią liczbę punktów i zapasowych żyć, trzema w jednym. Teraz już na takie zabawy nie miał czasu. Służba i treningi ledwie pozostawiały mu sześć, siedem godzin na sen.

Zatłoczonym metrem dotarł do stacji Wilanowska; awaria tunelu, w którym po wiosennych deszczach osunął się strop, uniemożliwiła dalszą jazdę. Ale nie było już daleko. Mieszkał w starej części Ursynowa, która nie należała do pięknych dzielnic. Budynki były mocno zdekapitalizowane i groziły zawaleniem, niektóre zresztą się zawaliły, ale nadal zamieszkiwane były przez margines społeczny

i nielegalów ze Wschodu. Można tam było kupić tani samogon, a jeszcze łatwiej zarobić w pysk, albo i nożem, ale Kordian nie był ułomkiem. Od czasu kiedy prześladowany przez starszych kolegów w szóstej klasie podstawówki zabrał się za siebie i zaczął zaliczać jeden kurs walki za drogim, spokojnie mógł zapuszczać się w najciemniejsze nawet zakamarki. Nadto między szesnastym a dziewiętnastym rokiem życia urósł o trzydzieści centymetrów, bary miał jak niedźwiedź, a znajomość przeróżnych sztuk walki czyniła go niepokonanym. Czasami wręcz marzył, żeby ktoś zaczepił go w ursynowskim kurwidołku, ale miejscowa żulia zdążyła go poznać, a największe nawet zakapiory cechował instynkt samozachowawczy. Na jego widok przerywali bójki i pozdrawiali go: „Czołem, panie wojak”, co przyjmował ze zrozumiałym zadowoleniem.

Po raz ostatni wykorzystał swoje zawodowe umiejętności przed dwoma laty, w Sopocie. Pora była dość późna, samotna dziewczyna idąca przez park wydała się pięciu opryszkom łatwym celem. Kordian znalazł się tam przypadkowo i wcale nie zamierzał interweniować, ale rozdzierający krzyk dziewczyny sprawił, że musiał. Zresztą specjalnie się nie namęczył. Dwóch opryszków przypląciło napaść złamaniem ręki, trzeci przez rok chodził w kołnierzu ortopedycznym, a pozostali dwaj musieli kurować się w szpitalu.

Działanie Kordiana było spontaniczne i instynktowne, ale nagroda go nie ominęła; uratowana panna o imieniu Dżesika, początkująca dziennikarka Polskiego Radia, już się od niego nie odkleiła. Jeszcze tamtej nocy poszła z nim do łóżka i jak się okazało, była w tej

dziedzinie wyjątkowo pomysłowa. W dodatku zgrywała intelektualistkę, co wielce imponowało Chamiakowi, jako że sam czytywał w tamtym okresie jedynie „Wiadomości Obronne”, „Gazetę Kryminalną” i Serię z Kościotrupem, prezentującą powieści sensacyjne stare i najnowsze. Wprawdzie potem okazało się, że jej intelektualizm ogranicza się do systematycznego przeglądania plotek w Internecie i słuchania w stołówce na Myśliwieckiej, co aktualnie jest modne, topowe i w ogóle cool, ale Kordian nie zamierzał tego weryfikować.

Zamieszkali razem i początkowo było im dobrze, chociaż Dzesika nie chciała nawet słyszeć o sformalizowaniu związku, a tym bardziej o jakimś dziecku.

Bezustannie narzekała też na brak ambicji swego partnera.

– Dlaczego się marnujesz w zaplutej komendzie? Idź do elitarnej jednostki, w której się na tobie poznają.

– Ale jak tam się dostanę bez znajomości, z moherową matką...? – mówił. – Toż nawet do plutonów egzekucyjnych w Trzecim Świecie trudno się bez protekcji załapać.

Rozwiązanie podsunęło prawo, które przy naborze do sił specjalnych promowało przedstawicieli mniejszości seksualnych.

Propozycja Wrotkówny, żeby wstąpił do klubu gejów mundurowych, w pierwszej chwili wywołała w nim gniew straszny.

– Nawet nie próbuj sugerować mi czegoś takiego!

– A czy ja cię namawiam do seksu z facetami? Chodzi o czystą formalność – śmiała się Dzesika. Zaraz potem zapoznała go

z Sebastianem. Ów starszy od Kordiana o pięć lat były wojak utracił męskie klejnoty podczas pokojowej służby w Afganistanie – utrzymywał, że urwała mu je mina, ale złośliwe plotki twierdziły, że był to efekt romansu z ognistą talibabką, która z racji zgryzu w całej okolicy nosiła ksywę Pirania. Sebastian odbył z Chamiakiem kilka rozmów i w końcu przekonał go do stanięcia na ślubnym kobiercu.

– Ja, rozumiem, jestem na musiku, ale tobie, emerytowi, po co cos takiego? – pytał cokolwiek oszołomiony Kordian.

– Lepiej uchodzić przed kolegami za homisia niż za eunucha! – padła zdecydowana odpowiedź.

Fikcyjne małżeństwo z Sebastianem nie tylko pozwalało im wspólnie się rozliczać z fiskusem, ale też znakomicie ułatwiło awans. Deklarując się jako gej, miał pierwszeństwo przy naborze do elitarnej jednostki. Choć oczywiście koledzy wytykali go palcami.

Zresztą następne miesiące dowiodły, że ślub udzielony przez księdza samiczkę z Kościoła Nowopolskiego nie niósł w sobie żadnego erotycznego ryzyka. Współmałżonkowie sypiali w osobnych łóżkach, a ponieważ sąsiedni pokój zajmowała Dzesika z koleżanką, właśnie w nim Kordian spędzał większość nocy, tym łatwiej że koleżanka o imieniu Izaura jako młoda lekarka często brała nocne dyżury w szpitalu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a jeśli nawet była w domu, nigdy nie przełaziła na drugą stronę łóżka.

Dzesika, dziewczyna wyzwolona, wielokrotnie proponowała, aby poszerzyć erotyczne igraszki o zabawę z Izaurą. Kordian jednak ochoty na to nie miał, a do reszty ją stracił, kiedy któregoś popołudnia

zdybał obie panny na ostrych figielkach w ich podwójnym łóżku.

Kiedy zalił się po tym odkryciu swemu oficjalnemu mężowi, Sebastian tylko kiwał głową i wreszcie rzekł:

– A co, ty nie wiedziałeś, że Izaura jest zdeklarowaną lesbą?

Wszelako tego wieczora sfera erotyczna nie interesowała go żadną miarą: chciał wyłącznie spać, był tak wymęczony, że nie tylko żul w pojedynkę dałby mu radę, ale pokonałaby go nawet zakonnica staruszka, uzbrojona jedynie w książeczkę do nabożeństwa. Mieszkanie świeciło pustkami. Odnotował jedynie obecność Sebastiana, zatopionego w grach wojennych – komercyjny agregat cicho warczał na balkonie, zapewniając, że nie trzeba się obawiać okresowego wyłączenia prądu. Za to w pokoju pań nie było nikogo; Izaura, jak zwykle, musiała mieć dyżur, a Dżesika nie wróciła jeszcze z redakcji.

Jak stał, tak runął na łóżko i natychmiast zasnął.

*

Dla Emilii Fajans dzień też był wyjątkowo ciężki, ale nie ze względu na nadmiar roboty – tej było jak na lekarstwo – a raczej przez upał. Zdołowało ją zresztą co innego. Krótco po siedemnastej przy jej stanowisku nieopodal kapliczki przyhamował z piskiem opon radiowóz z Augustowa.

Westchnęła ciężko; dzień marny, a mogą jeszcze kazać haracz płacić, ale... jeśli policjanci okażą się seksistami, może zadowolili ich

daniną w naturze? Wyprężyła się, podając pierś do przodu i wydymając pełne, kapryśne usta, zapytała ponętnie: „Czego?”. Wszelako tęgi, wąsaty sierżant, który wygramolił się z pojazdu, nie wyglądał na zainteresowanego jej wdziękami.

– Obywatelko – rzekł, przybierając maksymalnie urzędowy wyraz twarzy – muszę wam udzielić pierwszego poważnego ostrzeżenia.

– Mnie? Mam aktualne badania i opłacone podatki...

– Właśnie otrzymaliśmy faksem wiadomość, że wraz z wejściem w życie traktatu inkorporacyjnego prostytutka staje się nielegalna i podlega karze według prawa obowiązującego w Królestwie Szwecji.

– Zawsze było karane czerpanie zysków z nierządu, ale jak ktoś chciał sobie pociupnąć w terenie, to była jego sprawa...

– Teraz może narazić się na wysoką grzywnę, a także karę więzienia do lat trzech – powiedział funkcjonariusz. – Nie mówiąc już o konfiskacie narzędzi przestępstwa.

– Dupę mi zarekwirują czy jak?

– Myślę, że jedynie strój roboczy i wiadro.

Rozpłakała się:

– To co ja mam zrobić? Z czego utrzymam siebie i moje dziecię maleńkie?

– Zarejestrujcie się w pośredniaku, jak wszyscy, ewentualnie udajcie się na jakieś kursy.

– Kursy?

– Mają być bezpłatne w każdej gminie, pod warunkiem biegłego władania językiem...

– O to się nie martw!

– Szwedzkim! Więc dzisiaj kończy się na pouczeniu, ale od jutra nie radzę wychodzić na tę drogę, obywatelko. – Sierżant zsalutował i zakończył z regulaminowym uśmiechem; – Miłego dnia!

Nie odpowiedziała. Dusił ją wściekłość. W jednym momencie cały jej pomysł na życie legł w gruzach.

Że jest piękna, zdała sobie sprawę, kiedy osiągnęła szesnaście lat i wyrosła już z grupki dziewczynek w bieli sypiących kwiatki w procesji Bożego Ciała. Rok później wygrała regionalne wybory Miss Mokrego Podkoszulka i zakwalifikowała się do wojewódzkich eliminacji konkursu Miss Polonia. Tam też miała wielkie szanse wygrać. Niestety, w przeddzień finału przewodniczący jury, obleśny aktor starszego pokolenia, uświadomił ją, jaka jest cena sukcesu. Propozycję odrzuciła z obrzydzeniem. Może gdyby juror był młodszy i użył bardziej zawoalowanej formuły...? W efekcie przegrała sromotnie, a w dodatku zawistne koleżanki wyrobiły jej opinię puszczalskiej. I wtedy podjęła decyzję. „Będę kurwą! Oczywiście przez ściśle określony czas!”

Nieoczekiwana ciąża ten okres wydłużyła, ale nie spowodowała rezygnacji z planów i nie pozbawiła konsekwencji w działaniu. Emilia w tajemnicy przed koleżankami zapisała się na zaoczne studium pielęgniarstwa i uzyskiwała tam doskonałe noty. Oczywiście nie miała zamiaru zostać jedną z wielu niskopłatnych polskich pielęgniarek, umilających lekarzom nudne nocne dyżury. Pragnęła przy pierwszej nadarzającej się okazji wyjechać w świat, zająć się profesjonalną

opieką nad dzianymi staruszkami, najlepiej samotnymi milionerami, usidlić jednego, wyjść za mąż...

Cholera, a teraz jakieś pieprzone Szwedy mogły jej to wszystko wykopyrtnąć!

*

Człowiek w stanie nieświadomości zdolny jest podobno do robienia rozmaitych rzeczy, których potem nie pamięta, a często żałuje. Nie da się powiedzieć, dlaczego Janosik Glizda Kościeliski po upadku na dno wykrotu, zamiast kierować się ku światłu, półprzytomny lub zgoła nieprzytomny, udał się w stronę przeciwną, wbrew zdrowemu rozsądkowi precyzyjnie się między korzeniami, szczelinę skalną odnalazł, pokonał ją i dalej na czworakach podążał korytarzem idącym do wnętrza góry. W każdym razie kiedy się ocknął ze stanu nieświadomości mrok panował dookoła niego nieco zatęchły, i cisza była ogromna, jeśli nie liczyć walenia jego serca.

„Jezus Maria! Jestem w grobie!” – pomyślał.

Mimo odgrywania dla turystów prostego górala Janosik miał dość niezłe wykształcenie, w tym ukończone dwa lata etnografii na uniwersytecie w Heidelbergu, a także oglądał niejedną film o zombi czy innych osobnikach żywcem pogrzebanych.

– Ratunku! – krzyknął gromko, a odpowiedziało mu echo w korytarzach rozlicznych, dowodzące, że w jaskini się znalazł, nie w grobie – unku, unku, unku!

Jak tu trafił? Z jakiej przyczyny? I gdzie podział się koń, który był jego nieodłącznym towarzyszem, tak że nawet gdy figlował z Jadźką w sypialni, z podwórka nosem w szybę stukał, tak jakby podglądać ich chciał? Nic nie pamiętał. Film urwał mu się nad ranem w trakcie popijawy z kolegami, z którymi wspólnie zgłębiał zagadkę transcendencji. Wszystko, co zdarzyło się potem, łącznie z powożeniem furką, odbywało się „na autopilocie”. Rozważał rozmaite opcje, poczynając od wersji, że sam po pijaku w jakąś norę wlaź, a skończywszy na tej, że go konkurenta do pieczary wrzuciła, jak syna Jakubowego do studni.

Byłby to prawdziwy pech, smutne ukoronowanie pechowego życia.

Ale co się dziwić? Pechowcem, można powiedzieć, był dziedzicznym. Jego ojciec, który dyplom inżyniera cukrownika zrobił na krótko przed tym, jak masowo zaczęto zamykać w Polsce cukrownie, szukał życiowych szans na emigracji. Nie wyjechał do USA, bo nie dostał wizy (z przyczyn znanych tylko Wujowi Samowi rodzina Kościeliskich miała za Wielką Wodą przechlapane), ale zaczepił się w RFN-ie. Już wtedy powziął plan, że zarobi trochę grosza, wróci do Polski i stworzy tu imperium turystyczne. W tym celu zgłębiał tajniki zawodu i wprowadzał w niego syna – zajmował się marketingiem i sprawdzał metody uatrakcyjniania pobytu turystów – udawał, gdy trzeba było, nimfę Lorelei na skałach Renu, pracował przy organizowaniu nocy Walpurgii w górach Harzu, a także odgrywał ducha Adolfa podczas wieczorów wspominkowych

w Berchtesgaden... I ciułał grosz do grosza. Prawie się udało.

Ostatnim etapem miało być sprawdzenie, jakie możliwości kryją się w działalności kasyn gry. Niestety w Baden-Baden żyłka badawcza zdecydowanie go poniosła. W jedną noc przegrał całą uzbieraną fortunę, po czym wybrał jedyny sposób uniknięcia wstydu przed bliskimi. Powiesił się w hotelowym pokoju.

Janosik nie wiedział, co robić dalej, ale podczas pogrzebu ojca w obcej ziemi wiatr przywiał nie wiadomo skąd znajomy refren: Góralu, wracaj do hal.

Więc wrócił. Rzucił Heidelberg, został zakopiańskim furmanem i od dnia powrotu rzadko kiedy trzeźwiał. Do dziś.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał w mroku, ale w końcu poruszył jedną kończyną, potem drugą... Dotarło do niego, że chociaż jest ogólnie obolały, wszystkie członki ma całe. Czując twardy ucisk na udzie, pomacał ręką i wyłowił z kieszeni komórkę. Szkło miała pęknięte, ale wyświetlacz działał, a i bateria był prawie pełna.

– Nie jest źle! Wezwę pomoc!

Aż tak dobrze nie było, w podziemnym świecie sieć najwyraźniej nie miała zasięgu. Oświetlił za to przestrzeń dokoła siebie – znajdował się na skrzyżowaniu dwóch niskich korytarzy, a wytężając słuch, ustalił, że w jednym słychać odgłos kapiących kropel.

Woda! To na kaca było mu najbardziej potrzebne. Podniósł się więc i pochylony, żeby łbem w strop nie przywalić, ruszył w głąb korytarza.

*

Michałko był coraz bardziej zdenerwowany. Próba połączenia się z Internetem nie powiodła się, a kiedy wspiął się na pagórek i popatrzył na drogę, dostrzegł tę samą kolumnę wozów wojskowych, która zaniepokoiła Emilię.

Co tam się wyrabiało?

Nie miał wątpliwości, że działania te nie wiążą się bezpośrednio z pościgiem za skradzionym wozem. Niemniej posługiwanie się pięknym volvo przy widocznym stanie podwyższonej gotowości było zbyt wielkim kuszeniem losu. Z drugiej strony poruszanie się na piechotę wcale mu się nie uśmiechało.

A gdyby bocznymi drogami dotrzeć do jakiejś wsi, a tam zamienić wóz choćby na motor, mniej uzależniony od głównych dróg? Koncepcja wyglądała obiecująco, jednak wiązała się z pewnym ryzykiem. Nie znał okolicy, był tu obcy, gołym okiem widać, że z miasta... Gdyby znalazł jakiegoś przewodnika... Pomyślał o sprzedajnej pannie, która powinna jeszcze tkwić przy drodze koło kapliczki. Chyba ze złapała jakiegoś klienta.

Zjechał z pagórka, zostawił wóz w krzakach i ruszył w kierunku drogi.

Nigdy dotąd nie korzystał z usług prostytutek. Choć nie za wysoki, był silny, bystry, z ujmującym (jeśli tego chciał) uśmiechem, toteż nie miał większych kłopotów z podrywaniem przyzwoitych dziewcząt. No, powiedzmy: przyzwoitszych, takie zupełnie przyzwoite jakiś czas

temu całkiem wymarły.

Wychyliwszy się z krzaków, powitał kuso ubraną pannę krótkim: „Cześć”.

Odwróciła się do niego. Zastanawiał się, jak by wyglądała, gdyby zdrapać z niej kilogram tapety.

– Usługa oralna: pięćdziesiąt marek – powiedziała beznamiętnie jak infolinia – usługa analna: siedemdziesiąt...

– O interesach pogadamy za chwilę – przerwał tę wyliczankę Michałko. – Nie wiesz przypadkiem, co tu się wyrabia? – To mówiąc, wskazał na drogę, nad którą unosiła się jeszcze smuga spalin.

Przytoczyła w miarę zwięźle to, czego dowiedziała się od policjanta.

– Skurwysyny, przehandlowały naszą biedną ojczyznę! – syknął haker.

– Pan patriota? – zdziwiła się.

– Bez przesady, ale nie lubię kurewstwa... – w tym momencie połapał się, że nie jest to sformułowanie w tym towarzystwie zbyt grzeczne, toteż szybko się poprawił: – Naturalnie, amatorskiego kurewstwa!

– W takim razie czym mogę służyć? – zapytała uprzejmie.

– Muszę dostać się do Warszawy, możliwie bocznymi drogami, przydałby się jakiś motor. Zapłacę jak za nowy... Tyle że na tym pustkowiu nie bardzo wiem, do kogo mogę się zwrócić.

Wahanie Emilii trwało tylko chwilę. Oczywiście nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia i co przeskrobał ten atrakcyjny facet, który

najpierw wjechał do lasu elegancką gablotą, a teraz wrócił pieszo i poszukiwał środka transportu... Może w bagażniku volvo znajdowały się czyjeś zwłoki? Z drugiej strony, dobrze mu z oczu patrzyło.

– Mam we wsi kuzyna, coś znajdzie – powiedziała i uniosła na niego oczy, jakby zachęcając: twój ruch!

– A daleko jest ta wieś? – zapytał Michałko.

– Półtora kilometra... z hakiem. Tyle że muszę tu stać do siódmej. Ktoś ma po mnie przyjechać.

– Alfons? – zapytał pro forma.

– Nie, Zenek.

– Zapłacę za ten stracony czas! – wyciągnął trzy nowiutkie banknoty, pochodzące z bankomatu zubożonego nieco dzięki karcie pana Kowalskiego.

– Pan płaci, pan wymaga – miauknęła, zadowolona ze swego kłamstwa. Od czasu kiedy wspólnie z grupą koleżanek założyły dwunastoosobowy kartel feministyczny, udawało się jakoś żyć bez opiekunów.

*

Kordian miał wspaniałą zdolność regeneracji, wystarczała godzina snu i gotów był do działania. Tego wieczora przespał równo dwie, zanim zbudziło go wejście Dżesiki. Nie starała się być specjalnie cicho, przeciwnie – weszła do kuchni i nerwowo przesuwała szklanki. Słyszał, jak klnie pod nosem. Wstał.

– Co się stało, kochanie?

Musiał powtórzyć pytanie, żeby powstrzymała bluzg.

– Byłeś tam, prawda, byłeś? – powtarzała w przerwach pomiędzy wyrazami powszechnie uważanymi za wulgarne.

– Oczywiście, że byłem.

– Więc wiesz, co się działo. Zrobiłam z tego fantastyczny materiał. Cała akcja, krzyki tych frustratów. Nagrałam też kilka wypowiedzi tych, którzy potem wycofali się z protestów – Prawina i Sromotka – a nawet parę zdań marszałka Moczypsa, kiedy zdejmował krzyż, żeby zrobić miejsce dla szwedzkiego snopka i koron. Zmontowałam to wszystko, wysłałam do redakcji. Czekam, kiedy pójdzie na antenie, słucham kolejnych wiadomości, próbuję w Internecie, ale się zawiesił. I ani śladu mojej roboty. Nadają jakieś mdłe gotowce od rzecznika Partii Obiecanek, wywiady ze Szwedami inwestującymi w Polsce, głosy entuzjastycznego poparcia ze strony społeczeństwa dla uchwały sejmowej, której przecież nie było. Zadzwoniłam do szefowej. Kazała mi przyjechać. Więc jadę. Od razu widzę, że stara wściekła, jakby jej kto osę za koszulę wpuścił, obok niej jakiś smutas w cywilu. Wydziera mi magnetofon, chce kasować... Wołam: nie, mam tam unikalne nagrania! On kasuje dalej. No, to zmieniam ton, grzecznie pytam: dlaczego? On: względy bezpieczeństwa państwa. Próbowałam jeszcze protestować, a ta jęcza do mnie słodziutko: oczywiście nikt cię do niczego nie zmusza, Dżesiko. Nikt nie musi pracować w Polskim Radio.

– A ty co na to?

– Co miałam zrobić, milczałam, a potem poszłam montować doniesienia o UFO w Czersku.

– Mądra dziewczyna!

Przytulił ją do siebie. Czuł, jak błyskawicznie stwardniały jej sutki. Dobrze! Izaura nie wróci wcześniej niż za trzy godziny... Nawet nie zauważył, jak błyskawicznie znaleźli się w łóżku.

– Jak myślisz, co teraz będzie? – zapytała, kiedy po wszystkim weszli pod prysznic.

– Nic nie będzie! Żyjemy w czasach postpolitycznych.

– W redakcji mówili, że jakiś poeta chciał się podpalić na placu Trzech Krzyży, ale go ugasili. Podobno poeci teraz mniej piją niż dawniej i dlatego są mniej łatwopalni...

– I co z tego, że się podpalił, fakt, którego nie podadzą media, nie istnieje. Widziałaś, jaki był bardak w sejmie, a w świat poszedł przekaz, że unię polsko-szwedzką przyjęto przez aklamację...

– Ale mojej roboty szkoda!

Nie dane im było pospać tej nocy. Około pierwszej zabręczął dzwonek. Pewnie Izaura jak zwykle zapomniała kluczy. Ziewając, doszedł do drzwi.

– Mama? Skąd mama o tej porze? Tutaj?! – wykrztusił zdumiony.

– Wyższa konieczność! – odpowiedziała. Pani Salomea Łęcka nigdy nie odwiedzała go w tym mieszkaniu. A od ślubu z Sebastianem, który nazwała parodią i hańbą, w ogóle się nie odzywała do syna.

Może tak było lepiej. Już wcześniej każde ich spotkanie kończyło

się kłótnią.

Tego wieczora wyglądała staro i bardzo krucho, a kiedy zrobiła krok i objął ją krąg światła, zobaczył krwawą bruzdę na jej czole.

– Co się stało? Gdzie się mama tak urządziła?

– Byłam pod kościołem Świętego Aleksandra. Myślałam, że otworzą, coś powiedzą na temat sytuacji, zebrało się całkiem sporo ludzi, ale podobno zakaz arcybiskupa... Zaraz też pojawili się twoi koledzy i rozpoczęli z nami dialog. Paralizatorami i gazem.

– Po co się mama w to pakuje? – jęknął. – To przecież nie ma żadnego sensu!

– Nie będziemy dyskutować o sensie mego postępowania – warknęła gniewnie. – Zresztą nie ma czasu. Jeśli idzie o ciebie, masz dwa wyjścia. Albo natychmiast wydasz mnie glinom, albo pożyczysz mi swój samochód.

– Ale dokąd chce mama...?

– Lepiej, żebyś nie wiedział. Więc która opcja?

– Jeśli mama musi... – postanowił ustąpić, przynajmniej taktycznie.
– Zaraz poszukam kluczyków. Nie rozumiem tylko, jak można być tak upartym. Na co mama jeszcze liczy, uczestnicząc w tych protestach? Już jest pozamiatane.

– Polska została sprzedana, a ty mówisz o zamiataniu.

– Zależy, od której strony na to spojrzeć. Wedle najświetlejszych umysłów Polska otrzymała nową dziejową szansę. W warunkach wielostronnych zagrożeń kierownictwo kraju wybrało najlepsze z możliwych wyjść. – Złapał się na tym, że mówi jak jego major na

szkoleniu, ale ciągnął dalej, udając, że nie widzi drwiącego uśmiešku na ustach swej rodzicielki. – Mama posługuje się kategoriami sprzed dziesięcioleci. Zresztą nawet gdyby mama miała rację, to nikogo już takie racje nie obchodzą. Tym bardziej że nic w tej sprawie zrobić się nie da.

*

Z drzemki wyrwał Wądołowicza jękliwy sygnał przejeżdżającej w pobliżu karetki pogotowia. Ksiądz Marek poderwał głowę i oprzytomniał. A więc znowu przysnął i wszystko, co widział, było jedynie majakiem. Kieliszek na kredensie stał pusty. Wypił zawartość? A może sam wysechł? Popatrzył na zegarek. Dochodziła dziewiąta!

Zerwał się na równe nogi. Ojciec Dyrektor przy wszystkich swych przymiotach był w dodatku fanatykiem punktualności. Spóźnialskich, niezależnie od tego, kim byli, odsyłał z kwitkiem.

Sięgnął po wydrukowane wcześniej pismo z prośbą o dymisję. Wolał, żeby wszystko było na piśmie. A i tak nie wiedział, jak spojrzeć zwierzchnikowi w oczy, jak przyzna się do utraty wiary, do zwątpienia... To co innego niż spowiedź u ojca Onufrego, tęgiego jak antałek kwatermistrza zakonu, skądinąd grzesznika równie wielkiego jak on. Chociaż, trzeba przyznać, ostatnio Onufry spowiadał go coraz niechętniej, karmił za recydywę i groził, że następnym razem nie udzieli mu rozgrzeszenia.

O zmierzchu w parku było cicho i spokojnie. Przebiegł cały dystans w dwie minuty, przeskoczył parę stopni i zapukał do sekretariatu Ojca Dyrektora.

Nie było odpowiedzi. Walnął mocniej, potem otworzył drzwi. Dopiero wtedy wybiegła siostra Dolores. Jej twarz była kredowobiała..

– Ksiądz już wie? – zawołała. – To straszne.

– Nie wiem, co powinienem wiedzieć, jestem umówiony z Ojcem Dyrektorem i on...

– Ojciec Dyrektor miał wylew. Przed chwilą zabrało go pogotowie. Z gabinetu wyszło kilka osób – zdenerwowanych, przerażonych.

Rektor ojciec Bonawentura, kwatermistrz Onufry, Polikarp z biblioteki i młody Izydor – sekretarz osobisty charyzmatycznego redemptorysty. Ich twarze wystarczały za jakikolwiek komentarz. W obliczu gwałtownych zmian w kraju sytuacja klasztornej wspólnoty wyglądała dramatycznie, a teraz spotykał ją cios najgorszy. Owczarnia, zewsząd otoczona przez wilki, pozostawała bez pasterza.

Czterej duchowni patrzyli na księdza Marka, tak jakby właśnie on mógł im udzielić pomocy.

– I co teraz mamy zrobić? – pytali.

Miał ogromną ochotę powiedzieć, że nie ma pojęcia, jest tylko zwykłym księdzem, radiowym konferansjerem i, co więcej, nie bardzo go to wszystko obchodzi, ale za uchylonymi drzwiami dostrzegł wiszący na ścianie portret Karola Wojtyły. Niektórzy twierdzili, że to obraz cudowny, a stali bywalcy utrzymywali, że w zależności od

sytuacji zmienia się wyraz twarzy świętego. Wądołowicz pokpiwał z tych pogłosek, jednała musiał przyznać, że dziś w oczach Jana Pawła II widać było tyle zdecydowania, a w zaciśniętych ustach malowała się taka potęga woli, że aż zadrżał.

– Bić w dzwony! – zawołał niejako wbrew sobie. – Bić w dzwony! Spotkamy się o dziesiątej na mszy.

IV

4 CZERWCA 2020 ROKU, CZWARTEK, WIECZÓR I NOC

Droga do wsi okazała się znacznie dłuższa, niż Emilia obiecywała, a może tylko Michałko odwykł od długich marszów. Bo ile można łązić po ciasnym spacerniaku? Zazdrościł dziewczynie, która zasuwiała mimo wysokich szpilek niczym mały samochodzik. W dodatku gęba się jej nie zamykała. Przez pół godziny dowiedział się więcej o życiu polskiej prowincji niż z niejednego telewizyjnego tasiemca. W swej gadatliwości przypominała fryzjerkę, toteż zadawał sobie pytanie, czy w trakcie pracy równie wiele papele. Dobrą stroną tej gadaniny było to, że on sam nie musiał się odzywać. Ale i tak nie uniknął kłopotliwych pytań.

Na pytanie o imię rzucił: „Michał”, co jednak jej nie wystarczyło; indagowała dalej:

- A czym się zajmujesz?
- Programami komputerowymi.

Tak doszli do wsi, pełnej drewnianych domów i gospodarstw reklamujących się jako agroturystyczne. Wcześniej nad strumykiem dziewczyna zmyła tapetę z twarzy, związała włosy, wyciągnęła z siatki dzinsy i cienką kurtkę.

– Rodzina nie wie, czym się zajmujesz? – zapytał haker.

– Wiedzieć wie. Ale po co mam to zbyt nachalnie manifestować? Wiedziała, co mówi. Jej brat stryjeczny, Wacek, był miejscowym sołtysem, a kuzyn księdzem. Kiedy stanęli przed domem pana Wacława, ten nic nie powiedział, tylko dłuższą chwilę patrzył na Michałka podejrzliwie.

– To nie jest mój klient, tylko twój! – przerwała niezręczną sytuację panna Fajans, najwyraźniej pragnąc uniknąć posądzenia, że przyniosła robotę do domu.

Z motorem rzecz okazała się wcale nie taka prosta. Sołtys miał starą yamahę i gotów był nawet ją sprzedać, zwłaszcza gdy skapował, iż potencjalny nabywca słabo orientuje się w bieżących cenach. Jednak do transakcji mogło dojść dopiero rano. Na razie wybierał się bowiem do miasteczka, gdzie miejscowe władze wielki festyn wydawały, z darmową wódką, szwedzkim stołem i sztucznymi ogniami. Wraz z nim śpieszyła tam cała wieś, pełna zapału, lepsze jutro fetować. Z dzienników telewizyjnych wszyscy wiedzieli już o szczęśliwym wydarzeniu, jakie cudownym sposobem pozbawiało kraj, a razem z nim jego mieszkańców wszelkich problemów, zadłużeń, inflacji, stagnacji i bałaganu. Decyzje władzy przyjmowane były z pełnym zrozumieniem, jeśli nie zapałem. W dodatku lepsze jutro właśnie się zaczęło – dzień następny ogłoszono wolnym od pracy, potem była sobota, niedziela... Szykowała się więc czterodniowa fiesta na koszt Skandynawów.

Opóźnienie z motorem kolidowało, ma się rozumieć,

z zamierzeniami Michałka, ale co miał zrobić? Innej opcji ani widu, ani słychu. Księdzów, lubo ze wsi pochodził, jeździć konno nie potrafił, a kupno roweru też niespecjalnie go interesowało.

– Coś taki markotny? Nie możesz poczekać do jutra? – pocieszała go Emilia.– Przecież jak ruszysz nad ranem, to nikt cię nie zatrzyma, bo w całej okolicy nie będzie jednej trzeźwej osoby.

– Jeśli dotrzymasz mi towarzystwa i się ładnie postarasz, zostanę – rzucił frywolnie, klepiąc się po sercu, czy raczej po portfelu.

Stężała.

– Wykluczone – wycedziła,

– Zapłacę. Podwójnie.

Ku jego zaskoczeniu spłonęła żywym rumieńcem.

– Nie tutaj. Nigdy nie mieszam pracy z życiem prywatnym. Jestem ladaczną, ale z zasadami!

Kusiło go, aby wyciągnąć większą harmonię pieniędzy, olśnić perspektywami dalszej znajomości, zaproponować wspólny lot na Kajmany, jednak instynkt samozachowawczy odwiódł go od takiego projektu.

Nie był kretynem, żeby zmieniać ustalone plany i ryzykować wpadkę dla przelotnej, ulotnej satysfakcji. Chociaż sztuka była niezła.

Obserwował ją przez całą drogę; po zmyciu makijażu i przysłonięciu nadmiernie eksponowanych wdzięków wydała mu się ładna, nawet bardzo ładna. Jak ta aktorka z *Pretty Woman*, którą nakleił sobie na ścianie kolega z celi. Zastanawiał się, kiedy po raz ostatni miał kobietę. Ponad trzy lata temu. W dodatku nie była to

kobieta, tylko policjantka. Co gorsza, w trakcie ich upojnej nocy, wskutek wkroczenia funkcjonariuszy, doszło do zjawiska zwanego coitus interruptus.

Z braku innych zajęć Michałko i Emilia obejrżeli na kanale informacyjnym skrót ważniejszych wydarzeń mijającego dnia, a wśród nich przyjęcie traktatu przez aklamację w sejmie, wysłuchali wypowiedzi licznych autorytetów moralnych, używających z upodobaniem określenia „stan przyjemny” w odniesieniu do aktualnej sytuacji. Były także migawki z wielkiego koncertu na świeżym powietrzu, zorganizowanego dla młodzieży na krakowskich Błoniach przez podstarzałego didżeja nazwiskiem Owsik. O wiele ciekawsze mogło być przyjęcie dla dostojnych gości i zagranicznej prasy, które odbyło się na Zamku Królewskim, ale tam kamery pozostały za drzwiami.

„Jak oni dali radę tak szybko to wszystko zorganizować?” – zastanawiał się młody haker. Ani chybi odpowiedzialni za logistykę, catering i rozrywkę musieli wiedzieć dużo wcześniej... Brak głosów opozycji nie dziwił, bo ta od dawna odzywała się rzadko. W wiadomościach puszczone jedynie wypowiedź posłanki Przysługi, która ubranie na sobie darła, więc nikt nie słuchał, co gadała, jeno śmiał się jak głupi do sera. Przyszłość zatem powinna rysować się w różowych barwach.

Dlaczego zatem Fajansówna siedziała smutna? Niewątpliwie dumiała o rozporządzeniach mogących uniemożliwić jej dotychczasową działalność. Również Księdzów frasował się, myśląc

o szwedzkim prawodawstwie, okrutnie dla hakerów srogim, i systemie policyjnym, który – jeśli miałby się przyjąć, jak w telewizji zapowiadali – groził szybką likwidacją kryminalnego marginesu. A przecież, czego by nie powiedzieć, ten margines był od zawsze jego naturalnym środowiskiem, w nim się urodził, dorósł, przyjął wszelkie królujące w nim reguły i nauczył się je wykorzystywać. A teraz co? „Dobrze chociaż, że ręk już kryminalnym nie ucinają – pocieszał się w duchu. – Zresztą i tak wybywam na Kajmany!”

Tymczasem noc nastąpiła księżycowa, cicha, po chałupach pozostały jedynie dziady i baby oglądające na okrągło telewizję... Wprawdzie przywrócono już Internet i łączność satelitarną, ale nie znalazł w sieci nic ciekawego. Nawet opinie internautów nie odbiegały od ogólnego nastroju, co było o tyle zrozumiałe, że w wypadku użycia wulgaryzmów policja internetowa automatycznie ściągała grzywnę z konta.

Emila zrobiła kolację, wydobyla też ze spiżarki prawie pełną butelkę samogonu. Według Michałka nie był to dobry pomysł. Z każdym kieliszkiem dziewczyna bardziej mu się podobała, na niej natomiast alkohol zdawał się nie robić najmniejszego wrażenia.

*

– I dokąd mama chce się szwendać po nocy? – pytał Kordian, idąc w stronę blaszaków, wśród których mieściły się tymczasowe garaże, postawiono je przed trzema laty na terenach przeznaczonych na

rekreację, w oczekiwaniu że powstanie wielopoziomowy garaż dla mieszkańców. Ten jednak jakoś nigdy nie powstał, bo konsorcjum zbankrutowało, prezes spółdzielni uciekł, a władze dzielnicy stwierdziły, że nie jest to ich sprawa.

– Dokąd? Lepiej, jak nie będziesz wiedział! – odparła pani Salomea Łęcka.

– Mam nadzieję, że nie będzie to jakiś czyn prawem zabroniony – niepokoił się jej syn.

– Jeśli swobodne poruszanie się po kraju jest ciągle dozwolone, to nie.

Nieco uspokojony, otworzył nieskomplikowany zamek i znieruchomiał. Wyczulony węch poinformował go, że w garażu ktoś jest; drzwi jego wozu były niedomknięte. Jedną ręką wydobyl służbową broń, z którą nigdy się nie rozstawał, drugą sięgnął po leżącą na półce latarkę. Zaświecił...

– O mój Boże! – szepnęła jego matka.

Na tylnym siedzeniu samochodu spał aniołek. To słowo pasowało chyba najlepiej na określenie ośmio-, może dziewięcioletniej dziewczynki, blondyneczki o uroczej buzi okolonej burzą falujących włosów. Dziecko ubrane było w przybrudzoną pidżamkę i kontrastujące z nią eleganckie buciki.

– A ona skąd tu się wzięła? – mruknął Kordian. Jego matka wpatrywała się w dziecko z coraz większą uwagą. Usłyszał jej szept: „Tylko nie to”.

Tymczasem aniołeczek, jakby czując na sobie ich wzrok, a może

tylko światło latarki, zamrugnął powiekami i otworzył wielkie, piękne ślepki. Widoczny w nich przez moment przestraszony ustąpił, kiedy twarz pani Salomei znalazła się w kręgu światła.

– Ciocia Salcia...

– Co to za dziecko? Mama je zna? – pytał coraz bardziej zdziwiony Kordian.

Zignorowała go i pogłaskała dziecko.

– Jak się tutaj znalazłaś, Pati? – zapytała łagodnie.

– Coś się stało – powiedziało dziecko. – Mamusia obudziła mnie w nocy i wybiegłyśmy z domu... Przez kuchnię.

– Dlaczego? – tym razem pytającym był Kordian; w odróżnieniu od swojej półpartnerki Dżesiki, która nawet nie chciała słyszeć o potomstwie, on dzieci po prostu uwielbiał.

– Żli faceci. Zatrzymali tatusia i teraz przyszli po mamę... – wspomnienie było, widać, świeże i bolesne, bo zaczęła płakać.

– Bądź dzielna, jesteś taką dużą dziewczynką – uspokajała ją Salomea. – Powiedz lepiej, co było dalej.

– Mieliliśmy rower, mama wzięła mnie na bagażnik – mała Patrycja odpowiadała nad wyraz rzeczowo. – Gonili nas samochody, ale mama skręciła w wąską ścieżkę między domami i tam ich zgubiliśmy. Dojechałyśmy aż tutaj i...

– I co?

– W rowerze pękł łańcuch. I zaraz pojawił się taki duży samochód. Wbiegłyśmy między garaże. Mama zobaczyła to wybite okienko – wskazała świetlik pod dachem – wepchnęła mnie tutaj...

– A sama...?

– Kazała czekać, aż wróci. A jak nie wróci, poszukać cioci Sviety.

– Kto to taki?

– Pani, która u nas sprząta, bardzo mnie lubi, a mieszka za kościołem na Stegnach. Z Sikorskiego w Świętego Bonifacego, potem w Kaspijską...

– Tak doskonale pamiętasz wszystkie adresy? – zdziwił się Kordian.

– W ogóle ich nie pamiętam, ale potrafię sobie wyobrazić mapę Warszawy.

– Nie powiesz chyba, że umiesz na pamięć całą mapę Warszawy?!
– zawołał.

– A co to za sztuka? Niech mnie pan o coś zapyta. Pomyślał o ciotce Dżesiki, zamieszkałej na Gocławku, i rzucił:

– Przecznicą ulicy Tytoniowej na Gocławku?! Mała zastanawiała się tylko chwilę:

– Chodzi panu o Morgową czy Naddnieprzańską?

– Cholera, szkrab ma w głowie GPS – mruknął zaskoczony Chamiak. – Jak się nazywasz, dziecko?

– Patrycja. Patrycja Osierdzie! – powiedziała i nie sposób było nie usłyszeć dumy, z jaką wymawiała swoje nazwisko. Wstała i wysunęła się z samochodu, a złociste włosy rozsypały się jej na ramionach.

– Cholera! – zaklął cicho Kordian, oglądał na mocno zakłopotanego. – I co ja mam z tym zrobić?

– Zamelduj, gdzie trzeba, pewnie dostaniesz pochwałę – szydziła

matka. – Wrogów ludu trzeba likwidować razem z całymi rodzinami. A jaka satysfakcja... Ojciec internowany, matka pewnie złapana, teraz małą wyśle się na reedukację do domu dziecka prowadzonego przez lesbijki.

– Niech mama da spokój. Ja nie służę dla przyjemności.

– A dla czego? Dla ojczyzny, którą właśnie sprzedano, dla narzuconych nam zasad przypominających pijany sen wariata w wesołym miasteczku, dla judaszowych srebrników?

Chciał coś powiedzieć, ale gdzieś bardzo blisko rozległo się ujadanie psa.

Jeszcze chwila i dorodny wilczur zaatakował bagażnik samochodu. Tuż za nim zjawili się dwaj rośli funkcjonariusze straży miejskiej.

– A kogo my tu mamy?! – zawołał pierwszy i wymierzył w Kordiana lufę automatu.

– Jest ten bachor! – ucieszył się drugi, widząc rozbudzoną Patrycję.

– Spóźniliście się, koledzy. Ja ją pierwszy znalazłem – powiedział Chamiak, nie okazując najmniejszego zdenerwowania. – Brygada Obrony Rzeczypospolitej – dorzucił i blachą machnął. Opuścili broń.

– No, to nagroda przeszła nam koło nosa – zmartwił się pierwszy i sięgnął po telefon. – Tak czy siak, muszę o tym zameldować...

– Ależ panowie, to tylko dziecko – wtrąciła się pani Salomea.

– A zrewidowaliście gówniarę? – zapytał drugi, ignorując starą kobietę. – Ma podobno przy sobie jakąś niezwykle ważną kostkę pamięci. – I już łapę do macania wyciągnął.

– Przestańcie, nie macie prawa! – usiłowała mu przeszkodzić Łęcka. Uderzył ją w twarz, aż poleciała w kąt garażu.

Chamiak tresowany był do działań w różnych okolicznościach, ale w pewnych sytuacjach, jak twierdził profesor Pawłow, od odruchów warunkowych silniejsze są te pierwotne, bezwarunkowe. Nikt na całym świecie nie miał prawa podnieść ręki na jego matkę.

Agresor padł jak rażony gromem, a jego kompan nawet nie zdołał się zdziwić, kiedy stracił przytomność. Pies próbował skoczyć Kordianowi do gardła, ale na swoje nieszczęście był w kagańcu i wystarczyły dwa ruchy BOR-owca, by padł z przetrąconym karkiem. Kordian bardzo lubił zwierzęta, ale tym razem nie miał wyboru. Przerazona Patrycja wtuliła się w panią Salomeę, która nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

*

Ciężko było księdzu Markowi przemawiać w trakcie wieczornego nabożeństwa, które w intencji powrotu Ojca Dyrektora postanowiono odprawić w kościele Świętego Jozefata. Kazania mówił dawno i choć w rozgłośni był doskonałym moderatorem podczas dyskusji, nie czuł w sobie ani tej siły, jaką w dawnych latach wykazywał Ojciec Dyrektor, ani jasności, co właściwie ma powiedzieć.

Ze szpitala nie było żadnych nowych wieści. Ani złych, ani dobrych. Stan stabilny, ale pacjent nie odzyskiwać przytomności.

Narada ze starszymi zgromadzenia wykazała ich pełną bezradność.

Ani rektor, ani kwestor, ani kierownicy sekcji radiowej i telewizyjnej nie byli przygotowani do podejmowania decyzji.

– Jesteś naszą twarzą i głosem – powiedział przerażającym szeptem ojciec Bonawentura. – Wszyscy cię lubią i mają do ciebie zaufanie. – Prosimy cię, zastępuj Ojca Dyrektora, póki mu się nie poprawi.

Dwie rozmowy odbyte z prowincjałem i lokalnym biskupem dawały tylko jedną, doraźną wskazówkę: nie zadrażniać. O czym więc miał mówić? Nawet wspominać Ojca Dyrektora nie za bardzo mógł, bo ten jeszcze żył, chociaż jakby nie żył. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy czekają na jego głos. Przebierając się w zakrystii, gorączkowo próbował wymyślić koncepcję kazania, ale szybciej przychodziło mu do głowy wszystko to, o czym mówić nie chciał: o nadciągającej ze Skandynawii supertolerancji, która nakazywała dawać śluby homoseksualistom i wyświecać kobiety, co czynili już przedstawiciele rozmaitych zrzezeń katolików narodowych. I o pozostałych następstwach traktatu. Dla nikogo obeznanego z problemami Kościoła w świecie współczesnym nie było wątpliwości, że wraz z tysiącem nowych regulacji prawnych przyjdzie instrukcja o koedukacyjnych klasztorach, zacznie obowiązywać prawo domniemanej pedofilii, czego pierwszą konsekwencją będzie zakaz katechezy w szkołach podstawowych i przyjmowania nieletnich na ministrantów, że wejdzie w życie obowiązujące w większości krajów Europy prawo o ograniczeniu zewnętrznych symboli religijnych, którymi były: sam znak krzyża, strój duchowny, dzwony,

pielgrzymka, procesja Bożego Ciała, nie wspominając już o przydrożnych kapliczkach. Inna sprawa, że mimo bicia w dzwony słuchaczy miał tej nocy niewielu, nawet tu większość studentów i pracowników akademii pobiegła do centrum miasta na darmowy festyn. Miał więc przed sobą trochę zakonników i zakonnice, paru starych pracowników, pamiętających jeszcze czasy komuny, i niewiele więcej wiekowych parafianek z małych parterowych domków, których dzielnica zaczynała się za zachodnim skrajem muru – wszystkich wyraźnie zgaszonych, przestraszonych.

Wszedł na kazalnicę. W głowie czuł pustkę, ale przypomniały mu się słowa tak chętnie przytaczane przez Jana Pawła II: „Nie lękajcie się”. I stanął mu przed oczami obraz Ojca Dyrektora leżącego bez ducha na łóżku szpitalnym... Zaczął więc mówić o samotności. O ogromnej samotności Pana na krzyżu i beznadziei w sercach garstki tych, których zostawiał; bo kogóż właściwie tam zostawiał: jednego ucznia, kilka zrozpaczonych kobiet, w tym matkę, która do końca go nie rozumiała? Z apostołów jeden zdradził, inni uciekli, a ten, który miał być opoką, po trzykroć się zaparł... I był jeszcze dobry łotr, wiszący na krzyżu obok, któremu obiecał spotkanie w raj, choć drugi nadal miotał złorzeczenia, A inni? Rzymianie, którzy wykonywali rozkazy, rodacy Żydzi...? Czyż w owej strasznej godzinie nie powracały do niego słowa, którymi dudnił plac przed świątynią: „Ukrzyżuj go, ukrzyżuj”?

– I była taka chwila – mówił głosem mocnym, choć drżącym nieco ze wzruszenia – że nawet on sam, Syn Człowieczy, Syn Boży; zwątpił

i mówił: „Boże mój, czemuś mnie opuścił”. A przecież owo opuszczenie było tylko złudzeniem. Najwyższą ostateczną próbą. Bóg Wszechmogący nigdy nas nie opuszcza, trwa z nami, ze swą matką, ze swymi aniołami i świętymi, w tym ze świętym Janem Pawłem. To my niekiedy go opuszczamy. On nas nigdy. – Sam dziwiąc się sobie, podniósł głos i nie widział już tylko tej garstki ludzi, tego kościoła, ale wielką przestrzeń, prawdziwe morze głów ludzkich aż po kres Ziemi. – Dlatego, powiadam wam, nie lękajcie się. Albowiem On jest z nami. A jeśli On jest z nami, to któż przeciw nam? Amen.

Zakończył. Cisza uczyniła się w pustawym kościele, tylko z pobliskiego miasta dobiegały pijackie śpiewy i grzmot wybuchających fajerwerków.

*

Po uczcie, kiedy już Ich Królewskie Moście pojechały na spoczynek do Wilanowa, premier spotkał się jeszcze z ministrem defensywy, któremu ostatnimi czasy podlegały również sprawy wewnętrzne i służby specjalne.

Z raportu przedstawionego przez Tomasza Limoniaka wynikało, że przygotowywana od paru miesięcy operacja pod kryptonimem „Stan przyjemny” zakończyła się pełnym sukcesem. Społeczeństwo, jeśli nie liczyć kilku przypadkowych burd, przyjęło traktat z aprobatą i zadowoleniem. W wypadku etatowych opozycjonistów wyrzucenie legitymacji poselskich tylko ułatwiło sprawę.

– Mamy wszystkich pod kluczem – meldował minister. – Naturalnie, większość jutro zwolnimy, tyle że po rezygnacji z mandatów to obecnie prywatni obywatele, pozbawieni możliwości działania. Tym bardziej że na najbardziej zatwardziały przeciwników czekają dawno przygotowane procesy.

– Polityczne? – zaniepokoił się Ronald Duck.

– Skądże znowu! Jesteśmy przecież państwem prawa – Limoniak otworzył pękatą teczkę z komputerowymi wydrukami. – Oskarżenia będą dotyczyć błędów w zeznaniach podatkowych, wykroczeń drogowych, czy też pozwów prywatnych obywateli o zniesławienie... A taki Zbigniew Osierdzie... – wyciągnął stosowną kartkę – podczas szamotaniny na sali plenarnej urwał zębami guzik funkcjonariuszowi straży marszałkowskiej, a następnie go połknął. Dostanie mu się za czynną napaść na mundurowego, a także zabór mienia znacznej wartości...

– Nie przesadzajcie, za guzik?

– Był z dukatowego złota.

– Chyba że tak. A te wszystkie materiały, które na nas zbierał i straszył, że opublikuje?

– Znajdziemy. Profilaktycznie zaopiekowaliśmy się jego żoną, a obecnie szukamy córeczki.

– Tylko delikatnie.

– Moja w tym głowa, szefie. Nasze służby znane są z delikatności. Zresztą wspierające nas kontyngenty szwedzkie są już w drodze.

– I mówisz, że w całym kraju nie doszło do żadnych incydentów?

- Żadnych, chociaż pan prezydent zaliczył kolejną wpadkę.
- Mów! Pocałował króla szwedzkiego w rękę?
- Gorzej, wdał się w pogaduszki o mitach i legendach i postanowił pokazać Carolusowi złotą kaczkę.
- Co takiego?
- Jest, jak wiadomo, tunel prowadzący z placu Zamkowego aż do Zamku Ostrogskich. Tam pod ziemią został odtworzony mały stawik, gdzie wedle legendy...
- Wiem, pływała złota kaczką. I co z tego?
- Pan prezydent wziął flintę, obiecując solennie, że ją dla naszego króla osobiście ustrzeli.
- Jak można ustrzelić legendę?
- Rzecz byk wcześniej ukartowana, a kaczką kupioną. Służby machnęły ją złotem. Jednak po przybyciu na miejsce okazało się, że przesadzono z tym złotem i kaczką utonęła pod jego ciężarem.
- Nie mów! – Ronald zaczął w ręce klaskać i po kolanach się bić. – Dobrze, że nie poszli oglądać bazyliżka. Co było dalej?
- Już nic. Tylko profesor Obwarzan chodził osobliwie markotny, marudząc, że to zły znak.
- Może dla Wronka. Dla nas, Tomaszku, otwierają się naprawdę wspaniałe perspektywy! Nie miałem przekonania do tej unii polsko-szwedzkiej, ale teraz dziękuję, że mnie do niej przekonaliście.

*

Janosik Glizda Kościeliski postanowił oszczędzać wyświetlacz. Baterie komórki, chociaż dosyć mocne, nie były niewyczerpane, a powinny starczyć na jak najdłużej. W głowie mu szumiało, odczuwał mdłości, ale szmer wody prowadził go jak po sznurku. Natrafił w końcu na wąską strugę ściekającą ze skał, umoczył usta, posmakował, przypominając sobie wszystkie najlepsze reklamy wód mineralnych. Pił i pił. Na koniec oprzytomniał do reszty, znów zapalił komórkę – woda przed nim opadała małą kaskadą, potem łączyła się z drugim strumyczkiem. Serce zabiło mu nadzieją. Jeśli będzie miał szczęście, dojdzie do jakiegoś wywierzyska i być może wydostanie się na powierzchnię. Nadzieja trwała krótko, zbyt dobrze znał Dolinę Roztoki, żeby spodziewać się szerokiego ujścia podziemnej rzeki. I rzeczywiście, po kilkudziesięciu metrach potoczek znikł w otworze zbyt wąskim, żeby mógł przeczołgać się przez niego człowiek.

– Ale skoro się tu dostałem, to musi być jakieś wyjście – pocieszał się góral, ruszając w przeciwnym kierunku.

Dotarł do znajomego rozwidlenia i skręcił w prawo. Delikatny ruch powietrza wskazywał, że musi istnieć jakiś przewiew; korytarz zrobił się w miarę szeroki i wysoki, tak że nie musiał się już czołgać. Oczywiście co pewien czas włączał komórkę i oświetlał przestrzeń dookoła.

W jednym z takich rozbłysków, w perspektywie korytarza dojrzał człowieka.

– Hop, hop! – zawołał. Ale odpowiedział mu jedynie pogłos. Podeszedł bliżej.

A niech to! Wcale nie uległ złudzeniu. Na kamieniu pod ścianą rzeczywiście siedział człowiek, tyle że musiał umrzeć dobre paręset lat temu. Pozólkły szkielet okryty był długim, świetnie zachowanym płaszczem, a nad czołem widać było wysoką zbójnicką czapę.

Czyżby trafił na strażnika skarbów, jednego z tych, o których często opowiadały góralskie legendy? A może był to osobnik, który – podobnie jak on – zgubił się w skalnym labiryncie?

I uderzyła go myśl straszna, że być może i on będzie tu musiał pozostać na zawsze.

5 CZERWCA 2020 ROKU, PIĄTEK, NOC

Po wypiciu zaledwie ćwiartki domowego alkoholu Michałko, którego organizm w mamrze od silnych trunków odwykł bardzo, momentalnie przysnął, ale na krótko, obudził go bowiem szmer rozmowy. Okazało się, że do chałupy kuzyna Wacka wpadła sąsiadka, zielarka, przez wszystkich w okolicy zwana Starą Katuszą.

Przezwisko było wspomnieniem bogatej, żeby nie powiedzieć: bujnej młodości, kiedy pani Katarzyna należała do elitarnego korpusu hostess, czy może należałoby powiedzieć: dupess z rządowego ośrodka w Białowieży, do którego z okazji polowań ściągala elita władzy lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych (w osiemdziesiątych władza wołała polowania na ludzi). Luminarze przybywali tu wyjątkowo bez małżonek, które w tym czasie zwiedzały muzea i wizytowały koła gospodyń wiejskich. Nie dziw więc, że potrzebowali rozrywki na wysokim poziomie. Do swego pokotu Katusza mogła zaliczyć kilkunastu pierwszych sekretarzy, przewodniczących rady państwa i premierów, a nawet jednego szefa związków zawodowych. Czasami dumala, że gdyby sama była myśliwym, mógłby ją cieszyć wypchany łeb Leonida, Fidela czy Ericha na ścianie obok kominka...

Ale było, minęło. Jak zetknęła się z magią, nigdy mówić nie chciała, aliści w ekipach marksistowskich przywódców nie brakło nigdy magów, szamanów, wróżbitów i parapsychologów, przeważnie mężczyzn. Utało się też, że po szefach delegacji hostessy były zaliczane przez ich osobistych sekretarzy, potem przez szefów ochrony... Na koniec mógł je chędożyć, kto tylko chciał. Już bez oglądania się na rozdzielnik. No i pewnego razu... Nie wchodząc w szczegóły, romans z szamanem okazał się nad wyraz korzystny i dość długotrwały, a Katusza wiedzę w materii spraw tajemnych zdobyła znaczną, choć trzeba przyznać, że dzieliła się nią niechętnie, a i korzystała z niej rzadko, tym bardziej że na starość, jak to się niejednej dziwce zdarza, popadła w dewocję, a magia, jak wiadomo, to grzech i srom.

Owa epidemia skrupułów ogarnęła ją tym łacniej, że od początku trzeciego tysiąclecia zamieszkiwała w jednej chacie ze swym bratem młodszym, Wenancjuszem, miejscowym organistą.

Aliści po znajomości lub w szczególnej potrzebie potrafiła czasem deszcz wywołać albo urok odczynić, a nawet sprawić, że Jagiellonia Białystok wygrała w pucharach Europy z Realem Madryt, a to z tego powodu, że wszyscy najlepsi gracze hiszpańskiego zespołu kolejno dostali biegunki...

Ale tej nocy, jak docierało do obolałej głowy Michałka, nie o magii była mowa, jeno o konsekwencjach nowego potopu szwedzkiego.

– Przyjdzie zawód zmienić i talent zmarnować – ubolewała Emilia.

– Zawsze możesz pójść do klasztoru – odpowiedziała Katusza –
tyle że Szwedy najpierw zrobią wszystkie konwenty koedukacyjne,
a potem i tak pokasują...

– A nie wyuczyłabyś mnie zielarstwa?

– Zielarstwo też będzie zabronione, podobnie jak gusła i zabobony.
Czy wiesz, że w Szwecji zabronione jest nawet zbieranie grzybów?

– A to dlaczego?

– Na wszelki wypadek.

– Oj, bieda, bieda...

Pomilczały chwilę, po czym czarownica powiedziała:

– Ale poddawać się nie trzeba. Przeżyliśmy komunę, Unię
Europejską, to i ten drugi potop się przeżyje.

– Tedy ja się poddawać nie zamierzam, tylko zupełnie nie wiem,
co czynić – rzekła Emilia. – Rozesłałam do koleżanek SMS-y, wieść
o zakazie już się rozeszła, wszystkie są bardzo zaniepokojone. Ale co
robić, nie wiedzą. Przecież dróg blokować nie będziemy.

– A czemu nie?!

– Bo za mało nas! A na czynną pomoc stałych klientów liczyć nie
można, bo korzystać po cichu lubią, ale pokazać się publicznie
w telewizji i naszych słusznych praw bronić, kiedy żony i teściowe
patrzają, to ani dudu.

– Zatem coś innego trzeba wymyślić.

– Ale co?

– Bo ja wiem? Na początek pokazać siłę. W niedzielę
w Warszawie ma się odbyć love parada. Weźcie w niej udział.

– Przecież my nie lesby, a tym bardziej pedały.

– Ale łączy was umiłowanie stref erogennych. Będą kamery, poparcie władz, mnóstwo gapiów; świetne miejsce, aby upomnieć się o swoje prawa. A i przeciwdziałać będzie trudno.

– Świetny sposób! – zapaliła się Emilia. – Jeszcze jutro do Warszawy pojedę. Na rekonesans. Potem skrzyknjemy się na Facebooku...

– No, nareszcie gadasz jak człowiek. – Na moment umilkła, a potem zmieniła temat. – Apetyczny jest ten twój nowy.

– Ani mój, ani nowy – zaprzeczyła gwałtownie Emilia, zerkając na Michałka. – To przypadkowa znajomość. Pomagam mu jeno transport do Warszawy załatwić i może się razem z nim zabiorę.

– Nie podoba ci się? Gładki okrutnie, a że nie za duży, to bardziej poręczny!

– Daj spokój! Wkrótce trzeci rok minie, jak rozpatrywałam mężczyzn w tych kategoriach.

– Fakt, trudno rzeźnikowi być miłośnikiem zwierzątek. A w ogóle kto zacz, biznesmen?

– Technik komputerowy.

– Nie najgorzej. Żonaty?

– Nie wkurzaj mnie, Katusza, sama mnie uczyłaś, że póki skóra jędrna i szparka ciasna, trzeba myśleć w kategoriach zysku, potem można pokombinować o mężu i dzieciach...

– Tylko żeby nie przegapić właściwego momentu. Jak ja! – westchnęła Katusza, a Emilia aż się zdziwiła. – Kiedyś kochał się we

mnie jeden taki ruski młodzik ze służb i choć byłam odeń grubo starsza, żenić się chciał. Ja się wzbraniałam, certoliłam, a dziś – caryca bym była. A przepowiadałam mu, że wysoko zajdzie.

– Z ręki?

– Z ręki to nie, bo nagana nigdy nie wypuszczał. Ale z oczu, z gwiazd... Oczy też miał jak gwiazdy. Wyłupiaste trochę, ale jak popatrzył na człowieka, to mu się od razu robiło zimno i gorąco.

– Niby jak?

– Chłopom zimno, a babom gorąco.

– Chyba że tak. Zresztą... – Michałko poczuł na sobie spojrzenie Emilii, więc zachrapał – on nigdy by... Wie przecież, kim jestem. I jak na chleb zarabiam.

– Jak chłop się zakocha, to wszystko wybaczy.

– Gadanie.

– Nie prowokuj mnie. Miłka. Przysięgłam sobie magii poniechać, ale jak mnie sprowokujesz, to nie zdzierzę i czar rzucę...

– Czarów nie ma.

– I krasnoludków też, a sama widziałam pod Hajnówką u pewnego gościa kurdupelka, który miał najwyżej sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a zmyślny był i chutliwy. Powiedz słówko, a będzie twój.

– Kurdupelek?

– Technik komputerowy.

– Niby jak?

– Mam wywar tajemny, krople trzy podane spowodują, że pokocha

całym sercem nawet garbatą żebraczkę, a po czterech ze szczętem rozum straci. Recepta jeszcze z KGB...

– Co to takiego?

– Podawali to w tamtejszych służbach, żeby wywołać w funkcjonariuszach dozgonną miłość do Związku Radzieckiego. Wiesz, jak tam rozszyfrowywano skrót „lubczyk”?

– Nie wiem.

– „Lubow do Czeka”.

– Po skutkach widać, że preparat kiepski. Kochali, kochali, a imperium im się rozlazło jak stare gacie.

– Bo na importowanych komponentach oszczędzali, a do namiastek organizm się przyzwyczał... A ja mam oryginał, nie podróbkę. Oto flakonik.

– Daj spokój...

– Bierz, bierz, najwyżej nie wykorzystasz. Pamiętaj, najlepiej zadać lubczyk przed snem. I trwać przy chłopie. Bo gdy się zbudzi, ważne będzie, którą twarz pierwszą zobaczy, bo w tej akurat się zakocha... Masz jeszcze co pić?

– Skończyło się.

– Tedy sobie pójdę, ale jak będziesz potrzebowała pomocy, wiesz, gdzie mnie szukać.

To mówiąc, Katusza cmoknęła Emilię w policzek, a dziewczyna podeszła do Michałka. Spał twardo i zdecydowanie, nie symulował. Przyjrzała mu się jeszcze raz uważniej. Niczego facet. Życzyłaby takiego swoim koleżankom... I grzeczny, i bogaty. Zaledwie zasnął,

od razu zajrzała do teczki, a tam paczki forsy – i dolary, i franki... Potem przypomniała sobie luksusowy wóz, który beztriosko porzucił. „Nawet jeśli złodziej, to sporego formatu!” A na pewno bardziej atrakcyjny niż jakiś zachodni krezus, który zamiast o seksie, myśli o dializie... Zważyła w ręku flakon z lubczykiem. Właściwie co ryzykowała? Delikatnie rozchyliła mu usta i wlała trzy krople rubinowej mikstury.

– Pić – zamruczał przez sen haker.

Podawała mu kubek z wodą; pociągnął dwa łyki i obrócił się na drugi bok jak mąż po udanym numerku. Delikatnie zdjęła mu buty, ułożyła się obok niego i natychmiast zasnęła.

*

Kiedy do Kordiana dotarło, co właściwie zrobił, pierwszą myślą było spluwę wydobyć, w gębę sobie wrazić i za spust pociągnąć; szczęściem jego matka, odgadnąwszy zamiar, chwyciła go za rękę.

– Bądź rozsądny, synu!

– Teraz mi mama mówi! – jęknął i łbem w ścianę blaszaka tryknął.

– Zgubionym, zgubionym na wieki. Element antypaństwowy wspieram, funkcjonariuszy pobitem...

– Aleś chyba ich nie zabił.

– Jeszcze nie, ale chyba będę musiał, bo jak puszcze ich wolno, doniesienie złożą.

– Bój się Boga!

– Ale i to nie pomoże, bo jak ciała odnajdą, ślady zbadają, to na mnie trafią.

– Zatem zostaw ich tutaj i uciekaj z nami.

– Uciekaj. Łatwo mówić! A służba?

– Czuj się zwolniony.

– Nie może być. Ślubowałem.

– Ślubowałeś Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, a nie szwedzkiej konkubinie.

– Niech pan jedzie z nami. Z panem będziemy bezpieczni – nieoczekiwanie miętka łapka Patrycji znalazła się w jego dłoni. I ogarnęły go dziwna słodycz i rozczulenie.

– A dokąd mam jechać? Wszędzie nas znajdą.

– Bóg nas ochroni Bóg i Matka Przenajświętsza – powiedziało nadzwyczaj poważnie dziecko.

– Oto i cała prawda! – dorzuciła Salomea.

Nie lubił takich moherowych dyrdymałów, ale co mógł im przeciwstawić? Jeśli mieli wiać, to prędko. Nie było czasu wracać do domu, Dżesiki i Sebastiana informować, zresztą dla mej lepiej, żeby pozostała w nieświadomości.

– U-23, zgłoś się. U-23, zgłoś się – zachrypiało radio strażnika. Rozdeptał je nogą, potem samochód wyprowadził, drzwi garażu zatrzasnął, po czym przez chodniki, trawniki i boczne dróżki osiedle opuścił.

– Dokąd mama chce jechać? – zapytał, gdy wyjechali na Dolinkę Służewiecką.

– Do Turonia – padła odpowiedź.

– Do Wisłostrady i w lewo – ziewnęła dziewczynka.

– Absurd! – zachnął się. – Chce mnie mama zwabić do tego katolickiego zaścianka!? To pierwsze miejsce, w którym będą nas szukać.

– A niech szukają. Panna Przenajświętsza nas obroni. Słyszałeś. Nawet maleństwo to wie.

– Jak miałyby obronić? Jaką siłą dysponują twoi fundamentaliści?

– Był już taki, który pytał, ile dywizji ma papież.

Nie odpowiedział, albowiem właśnie przemknął obok nich jakiś radiowóz. Jednak pędził w przeciwnym kierunku, nikt nie zwrócił na nich uwagi. Pojawiły się znaki: „Na autostradę – w budowie, ale przejezdną”.

– A nie lepiej – powiedział, zwalniając – gdybyśmy zamiast do Turonia ruszyli na Poznań? Może udałoby się dojechać do Szwajcarii, tam przecież mama ma brata, bratową. Dzieckiem się zajmą...

– Sen miałam – powiedziała pani Salomea. – Sen srebrny wróżebny. A sny mnie nie mylą. Najświętszą Pannę widziałam.

– Znowu! Mówiła coś?

– Nic. Stała nad wodą i kaczki puszczała.

– Rozkoszne!

– A wokół nich kręgi rozchodziły się wielkie, tyle że odwrotnie niż w życiu, gdzie im dalej, tym ślad słabszy. Tu kręgi rosły, zmieniały się w falę, która nabierała mocy, na brzegi napierała jak tsunami, płoty łamiąc, samochody znosząc...

– To się niezły kataklizm mamie przyśnił!

– Tyle że nie był to wcale kataklizm, woda pospolitym ludziom nie szkodziła, przeciwnie, gdy przechodziła, kwitły sady, domy piękniały...

– Świetna sprawa, przyśniła się mamie ostatnia reklama funduszu inwestycyjnego.

Salomea zacisnęła zęby. Miała dość tej rozmowy. Na tylnym siedzeniu poruszyła się Patrycja. Dziecko musiało być bardzo zmęczone, bo zasnęło, ledwie opuścili osiedle. Teraz zaczęła coś szeptać przez sen. Słowa ciche docierały do wyczulonego ucha Kordiana. „Zdrowaś, Maryjo, łaskiś pełna...”

Dobra chwila minęła, nim do niedoszłego znawcy wymarłych języków dotarło, że ośmioletnia panienka modli się po aramejsku.

*

Noc miała się ku końcowi. Gwiazdy bladły, a w przyuczelnianym gospodarstwie odzywały się już koguty.

Ksiądz Marek nie mógł spać. Stał w oknie i wpatrywał się w pomnik papieża na skwerku.

– Co mam robić, ojcze!?! – pytał. – Daj mi jakiś znak, wskazówkę?
– powtarzał uporczywie.

Ale rzeźba z białego marmuru pozostawała całkowicie nierozmowna. Zadziwiająca sprawa, dopiero po zakończeniu nocnego nabożeństwa uświadomił sobie, że ostał się w Turoniu jedyną

decyzyjną osobą. Wszyscy, choćby znacznie wyżej postawieni w hierarchii, czy to kościelnej, czy uczelnianej, oglądali się na niego. Jedni byli za starzy, by sięgnąć po przywództwo, inni zbyt chorzy, inni jeszcze mieli kiepską orientację w otaczającym ich świecie. Długo mógłby im mówić: jestem tylko spikerem. Nie przyjmowali wymówki. Niestety, kult celebrytów wdarł się nawet w szeregi ojców redemptorystów.

Jego prośba o szybki przyjazd ojca prowincjała zawisła w próżni. Prowincjał bawił w Rzymie i nie kwapił się wracać. Na lokalnego biskupa też nie mógł liczyć. Hierarcha do odważnych nie należał, nawet w kręgach episkopatu nazywano go kameleonem. I coś było na rzeczy – w towarzystwie lewicowego prezydenta miasta czerwieniał, przy wojewodzie ludowcu zieleniał, a podobno przed paru laty w czasie wizyty w Brukseli obudził się rano kompletnie niebieski.

Tymczasem jakiś samochód zajechał pod bramę, którą kazał zamknąć na głucho. Sygnały światłami dawał, najwyraźniej domagając się wpuszczenia.

Furtian nie reagował, zapewne spał wyjątkowo mocno... Jakiś głos wewnętrzny kazał Markowi Wądołowiczowi zejść na dół. Instykt podpowiadał mu, że ktoś przybywający w złych zamiarach nie robiłby takiego rabanu. Zresztą prawie natychmiast zauważył swoją radiową współpracowniczkę, panią Salomeę, stojącą obok auta. To uspokoiło go do reszty. Obudził furtiana i kazał otwierać.

Wjechali. Za kierownicą siedział jakiś blond osiłek o marsowym wyglądzie, który od razu mu się nie spodobał. Jako subtelny

intelektualista, za siłaczami nie przepadał. Zdawał sobie jednak sprawę, że pierwsze wrażenie mogło być mylące.

Kordian, bo tak się przedstawił ów człowiek czynu, otworzył tylne drzwi i delikatnie wyniósł ze środka śpiące dziecko.

– Tb Patrycja Osierdzie – szepnęła zakonnikowi do ucha Salomea Łęcka. – Szukają jej.

– Macie jakiś pokój, gdzie można ją położyć? – zapytał mężczyzna.

Akurat miejsc w pokojach gościnnych nie brakowało. Wądołowicz wziął klucze i zaprowadził ich do obszernego apartamentu, w którym zwykle lokowano biskupów, tam dopełnili procesu prezentacji.

– To mój syn – powiedziała z dumą w głosie Salomea. – Kordian.

Chamiak podał mu lewą rękę, prawą nadal przytulając śpiącą dziewczynkę. Ksiądz Marek uścisnął ją nieufnie.

– Miło mi, panie Kordianie, chociaż pańska matka zawsze ubolewała, że służy pan w siłach specjalnych chroniących aktualną władzę...

– Już nie.

*

Trudno stwierdzić, czy za sprawą wypitego samogonu, czy raczej zadanego lubczyka, w każdym razie Michałko miał tej nocy sny piękne, ale można powiedzieć: osobliwie niedokonane. Śnił, że przebywa w mahometańskim rajku hurys pełnym, a to znów w jakimś

pałacu otwiera sejf w kształcie waginy, a to wreszcie w stroju naczelnika więzienia odwiedza damski zakład karny, w którym umieszczono Beatkę-wpadkę, jak nazywał w myślach swoją wredną policjantkę. Była funkcjonariuszka, kompletnie naga, klęczała w celi w pozie wielce wyuzdanej, a on smagał ją pejczem, doznając dziwnej, a z pewnością nieprzyzwoitej rozkoszy... Wszelako każda z tych scen urywała się, zanim naprawdę zrobiło się przyjemnie, chociaż zaraz ustępowała innej, równie atrakcyjnej. Dopiero nad ranem zapadł w sen głęboki bez zwidów i marzeń, ale za to regenerujący siły.

Obudził go, dobrze koło dziesiątej, ciepły promień słońca, który od okna biegł, muskając jego twarz, ku cudownemu obrazowi Matki Boskiej Turońskiej – przed kilku laty zaledwie Ojciec Dyrektor Radia Gloryja znalazł go na dachu kaplicy, dając tym samym początek legendzie, iż nie uczyniła go ręka ludzka, tylko spadł z kosmosu, gdzie namalowali go anieli, skądinąd udatnie i sugestywnie.

Michałko wprawdzie nigdy dotąd nie wykazywał zainteresowania sztuką sakralną, tego dnia jednak, ledwie wlepił wzrok w łagodną twarz Madonny poczuł dziwnie dojmujące drzenie i słodycz jakąś, rozchodzącą mu się w mięśniach. I pierzchły senność, kac, a nawet parcie na pęcherz, za to wezbrał bukiet uczuć pięknych i szlachetnych.

Był tym tak zdziwiony, że aż się przeżegnał.

Jego ruch nie uszedł uwagi Emilii, która naga spała z nim pod wspólną kołdrą.

– Spójrz na mnie. – szepnęła namiętnie.

Obrócił ku niej twarz opuchniętą, ale dziwnie uduchowioną.

– Co widzisz? – pytała, nachylając wargi ku jego ustom.

– Tusz na rzęsach ci się rozmazał...

Poderwała się, aż opadły koc ujawnił jej piersi, idealne w kształcie, a zadziorne w wymowie, które – chyba z racji młodości właścicielki – oparły się niezliczonym miętoszeniom i nadal wyglądały na prawie nieużywane.

– Podobam ci się? – w głosie jej pojawił się zadziwiający nacisk.

– Z estetycznego punktu widzenia bardzo...

– No, to może byśmy... – Sprawną dłonią dotknęła jego uda, usiłując pochwycić męskość dorodną, jak to z rańca, ale się jej usunął.

– Nie godzi się, grzech! – powiedział, sam dziwiąc się własnym słowom. Od kiedy przejmował się jakimiś bzdurnymi grzechami, mając przed sobą tak doskonałą ofertę?

Emilia rozumiała jeszcze mniej. Nie spotkała chłopca, który nie skorzystałby z takiej sytuacji. Raz nawet wykorzystała pederastę...

Rozglądając się dookoła, spojrzała na obraz Madonny, nadał otoczony słoneczną aureolą, i coś jej zaczęło świtać.

– Dawno się obudziłeś? – kontynuowała przesłuchanie.

– Dopiero co.

– Był tu kto?

– Nikogo.

– A na co popatrzyłeś zaraz po przebudzeniu? – dociskała.

– Na nią – wskazał wzrokiem ikonę. – Na Pannę przeczystą, Królową anielską, wieżę z kości słoniowej, naczynie osobliwego nabożeństwa...

– Daj mi spokój z litanią! – prychnęła. Co rychlej wyskoczyła z łóżka, jakąś koszulę narzuciła i pobiegła szukać pani Katarzyny, by pytać, co w takiej sytuacji robić. Czy jeszcze raz dać lubczyku, czy odczekać, aż pierwszy afekt nieco minie?

Wieś po nocnych uciechach jeszcze spała. Niektórzy mieszkańcy leżeli pokotem na drózkach dojazdowych i werandach. Kuzyn Wacek nawet do domu nie doszedł, tylko padł na progu i teraz kurki pracownicy wydziobywały mu konfetti z włosów.

Wiedźma Katusza zamieszkiwała pierwszą chatę z kraja. Tyle że obecnie jej dom świecił pustkami. Kobiety nie było ani w ogrodzie, ani w stodółce.

Dopiero docierająca do Emilii muzyka zaprowadziła ją do pobliskiego kościółka, w którym stary organista, brat czarownicy, mozolnie ćwiczył gamy i pasaże.

– Dzień dobry, Wenanty – przywitała go grzecznie. – Nie wiecie przypadkiem, gdzie się podziewa wasza siostra?

– A w domu jej nie ma?

– Nie ma.

Organista przerwał palcówki, po głowie się poskrobał i zapytał:

– Nie pamiętasz, Miłka, czy przy drzwiach do sieni stała miotła?

– Nie zauważyłam.

– Znaczy, ani chybi na Diable Uroczysko się udała. Czasami goni ją tak po alkoholu.

– Rozumiem. Na sabat poleciała?

– W piątek? W dodatku za dnia? Chybaby głupia była – zarechotał.

– Ziola zbierać poszła. Poza tym ona teraz dobra katoliczka, czarnej magii ze szczeniem poniechała.

– Ale na miotle lata?

– W życiu!

– No, to po co ją wzięła?

– Jak to po co? Żeby się od węzów odganiać.

Wróciwszy do chałupy, zobaczyła końcówkę negocjacji Michałka z Wackiem.

Ponoć Księdzów bez targowania grubą kupkę pieniędzy na stół położył, a mocno wczorajszy sołtys oponował, że to za dużo.

– Nie ma ceny dla dobrego serca. I niech ci Matka Boska wynagrodzi – upierał się haker.

Usłyszawszy o dobrym sercu, Emilia postanowiła skorzystać z dobroci Michałka i zabrać się razem z nim.

– Wziąłbyś mnie do Warszawy?

– Nie mogę – odparł.

– A to czemu?

– Bo ja już do Warszawy nie jadę.

Na moment zaniemówiła, jakby piorun w nią strzelił.

– Jak to? A dokąd się wybierasz?

– Do Turonia. Panna przeczysta wzywa mnie do siebie. Na ratunek przed heretykami.

– Miałaś objawienie jakieś?

– Skąd, ja, grzeszny chudopachołek? Ale z samego siebie czuję, że muszę. Stare grzechy odkupić trzeba. A dookoła mrowie nieprzyjaciół

i Szwed sprośny wespół z liberałem sprzedajnym na nasze dusze i prawa nastaje. Niewykluczone też, że rękę świętokradczą na wiarę i Kościół podniesie...

– O, cholera! – Przypomniało jej się, co o samogonie domowej roboty mawiał zaprzyjaźniony ginekolog: „Bywa, iż na potencję się rzuca albo – jeszcze bardziej przedawkowany – rozum odejmuje”. Nie mogła jednak zbyt długo się zastanawiać, bo Michałko już się na motor tarabanił. Desperacko podjęła decyzję. Pojadę z tobą.

– Do Turonia?

– A choćby do Turonia...

Obrzucił ją spojrzeniem uważnym. A potem pąs dziwny wystąpił mu na jagody i rzekł:

– Nigdy nie jest za późno, aby z drogi występku zejść i życie swoje odmienić.

Kuzyn Wacek, który przysłuchiwał się temu dialogowi z rozdziawionymi ustami, nie mógł, żegnając Fajansównę, powstrzymać się od stwierdzenia:

– A mówiłaś, że to technik komputerowy.

– No, bo jest.

– To dlaczego na kacu gada jak ksiądz?

*

W pierwszej chwili widok przedwiecznego truposza bardzo Janosika wystraszył. Na wszelki wypadek krótki pacierz za jego duszę

zmówił, komórką znak krzyża z lewej na prawo wykonał, a potem także po diabelsku z prawa na lewo uczynił i życząc umrzykowi spokojnego snu, poszedł dalej.

Do głowy przychodziły mu rozmaite opowieści zasłyszane w dzieciństwie, głównie o skarbach w górach ukrytych, których rozmaite skrzaty, gnomy czy umrzyki pilnowały. A jeśli i on na takiego strażnika utrafił?

– No, to zawsze mogę się pocieszać, że jeśli nawet w tych czeluściach zginąć mi przyjdzie, to umrę bogaty.

Ta myśl dodała mu animuszu, tym bardziej że przypomniała mu się złota myśl, jaką jeden z jego powinowatych, myśliciel ludowy Janek Glizda wygłosił, córuś do Hollywooda wyprawiając: „Jeśli jest gdzieś wyjście, to i wejście być musiało”. Insza sprawa, że jak mu ta córuś zza oceanu z brzuchem powróciła, Janek ze wstydu głoszenia jakichkolwiek maksym poniechał.

Szedł więc Janosik dalej, w bardziej optymistycznym nastroju niż pierwszej, ale nadal pozostawał czujny. Wnet doszły do niego jakieś nieoczekiwane dźwięki liczne, pogłosem zwiększane, poświsty jakoweś i pomruki, a może nawet pierdy.

„Ani chybi na gawrę niedźwiedzią zem trafił” – pomyślał i tylko mocniej komórkę w rękę ścisnął.

Jednak po chwili w duchu nawymyślał sobie od idiotów. W czerwcu nawet najbardziej leniwe niedźwiedzie opuściły już zimowe leża.

Ale jeśli nie były to niedźwiedzie, to kto?

Ktoś zakasłał w mroku i wnet doszedł go pomieszany zapach poru, bździn, tytoniu i nieprzetrawionego alkoholu...

A potem ukazała się poświata, być może jakąś skalną szczeliną z zewnątrz wpadająca, i ujrzał w dole jaskini przeogromnej, do kościoła w Nowym Targu podobnej, kilkunastu, a może więcej chłopów, śpiących pokotem na kamiennych leżach. I przypomniała mu się inna legenda. O rycerzach zaklętych króla Bolesława, śpiących pod Tatrami i czekających na moment, w którym umiłowanej ojczyźnie przyjść by na pomoc mogli.

Ponoć budzą się co jakiś czas, jednego ze swego grona w świat wyprawiają. I pytają go potem: „Czy już czas?”

Ale on widocznie ciągiem na okresy prosperity natrafia, albowiem za każdym razem pada odpowiedź: „Jeszcze nie.”

Jakby na potwierdzenie tej legendy jeden te śpiących zakasłał mocniej. Zakasłał i splunął. A ktoś zagadał głośno:

– Czy już czas?

I potknął się z wrażenia Janosik Glizda Kościeliski, komórkę z łapy wypuścił, głową ku przodowi poleciał, dupskiem na kamienie padł i poniósł go podziemny piarg w dół, w dół. Hej!

VI

5 CZERWCA 2020 ROKU, PIĄTEK, RANEK

Biedny był ksiądz Marek, oj, biedny! Mszę poranną odprawił jeszcze w miarę spokojnie. Ludzi przyszło nawet więcej niż poprzedniego dnia, w tym trochę z miasta, co go zaskoczyło, choć niewykluczone, że w grupie starszych szukających oparcia w Kościele znalazły się osoby celowo wysłane na przeszpiegi. Tym bardziej że trudno było nie zauważać lawinowo narastających kłopotów. Wokół Radia Gloryja zacisnął się pierścień, wprawdzie nie bardzo widzialny, ale z pewnością niebezpieczny i dość szczelny. Pojawili się dziwni ludzie, tajemnicze samochody. A koło południa przybyła niejaka pani Arnika Janssen, osoba bez wieku, a jak się okazało, również bez płci, ponieważ kazała się tytułować pastorem.

– Pastor jakiej religii? – zapytał ksiądz rektor, który przyjął ją w gabinecie w towarzystwie księdza Marka, ojca Onufrego, a także – na wszelki wypadek, żeby nikt nie czepiał się parytetu płci – Salomei Łęckiej.

– Ogólnoeuropejskiej! – odparła Arnika. Silnie żydłacząc (jak się okazało, była córką „marcowej” emigrantki ze Sztokholmu), poinformowała, że będzie nowym kuratorem i opiekunem duszpasterskim ośrodka.

– Jeśli się dogadamy, będzie się wam żyło ze mną jak u pani Bozi za piecem – oświadczyła.

– Pani Bozi? – zdziwił się Wądołowicz.

– To pan nie wie? Według najnowszych badań biblistów, co potwierdzają również inne mity bliskowschodnie, Stworzycielka nieba i ziemi, jest kobietą; niestety ten oczywisty fakt skrzętnie zafałszowali w ciągu wieków europejscy seksiści.

– A ja myślałam, że Boga w ogóle nie ma – nie wytrzymała pani Salomea, która dotąd jedynie przysłuchiwała się rozmowie.

Pastorka, czy może pastorałka (nie ma jeszcze ustalonej tytułatury dla tej funkcji), nie dała się zbić z pantałyka. Uśmiechnęła się szeroko:

– Na tym właśnie polega dialektyczny paradoks demokratyczny – powiedziała. – Dla niewierzących absolut nie istnieje, a dla wierzących jak najbardziej. Jak jest naprawdę, w każdej chwili możemy rozstrzygnąć większością głosów... Ale do rzeczy. Proszę przekazać mi bezzwłocznie gabinet i zwołać zespół, który zapoznam z nowymi zasadami funkcjonowania...

– Obawiam się, że to niemożliwe – odpowiedział uprzejmie ojciec Onufry, a rektor tylko skłonił siwą głowę. – Takie działanie wymagałoby zatwierdzenia przez władze zwierzchnie.

– Mam upoważnienie komisarycznego kuratora miasta, nominację ministra spraw wewnętrznych i ustne błogosławieństwo biskupa... – recytowała z prędkością karabinu maszynowego pani Janssen.

Rektor wyglądał na przestraszonego, ale na księdzu Marku ów

ostrzał wywołał mniejsze wrażenie.

– Jako zgromadzenie zakonne podlegamy wyłącznie prowincjałowi, który natenczas bawi w Rzymie – tłumaczył spokojnie.

– Dostaniemy zgodę tego prowincjała.

– Wtedy serdecznie zapraszam. A dziś, niestety, muszę wielebnią panią pastor pożegnać. Z Bogiem.

– Co? – zdumiała się pani Arnika. – Tb niesubordynacja, ja... ja... Nie ruszę się stąd!

Rozparła się w fotelu i pozostałaby tam zapewne na zawsze, atoli pani Salomea dopadła do niej, za tlenione kudły porwała i syknęła, jak na święte miejsce całkiem nieprzystojnie:

– Wychrzaniaj stąd, transwestyto!

Peruka została jej w rękach. Łysa glaca Arniki (a może Arnikiego) zaświeciła jak tysiącwatowa żarówka. Kuratorka ku drzwiom się rzuciła i już go (jej) nie było.

Ci, co zostali, śmiali się dłuższą chwilę, chociaż po prawdzie nie było im do śmiechu. Otrzymali właśnie informację, że żaden z ich kurierów z nagraniami audycji z wieczornym kazaniem księdza Marka nie zdołał opuścić miasta z powodu patroli na rogatkach.

– Akcja musiała być przygotowana od dawna – wyznał jeden z wolontariuszy, który miał kontakty z komendą policji. – Mają w komputerach nasze personalia i rysopisy.

Nie był to jedyny dowód ścisłej kurateli, jakiej poddano ośrodek. Telefony z miastem łączyły się z trudem i sądząc po zakłóceniach,

musiały być na podsłuchu. Wszystkie wejścia do kompleksu zostały obstawione. Niedaleko głównej bramy zadomowił się nigdy tam niewidziany lodziarz o barach zawodowego zapaśnika i, co ciekawe, na jego stoisku widniał napis: „Lodów chwilowo brak”. W bocznej uliczce zaparkował wóz dostawczy z napisem: „Prężenie firan” (dziwne tylko, że z anteną pelengacyjną na dachu), a od strony sztucznego stawu zasiadło czterech rybaków, tyle że prawdziwi rybacy zauważyli w mig, że na wędkach konkurencji brak nie tylko przynęty, ale również haczyków.

Tymczasem ksiądz Marek wespół z ojcami Bonawenturą i Onufrym analizowali sytuację, zastanawiając się, co czynić dalej oraz jaki wariant zastosuje władza wobec niepokornego obiektu: nacisk czy siłę?

Zaproszony na naradę w charakterze eksperta Kordian (razem z matką), słuchając ich dywagacji, tylko za głowę się łapał:

– Wielebni bracia, toż to starczy drużyna antyterrorystów, a klasztor, uczelnia i rozgłośnia zostaną opanowane w pięć minut.

– Nie odważą się użyć siły wobec poświęconego obiektu – powiedział ojciec kwatermistrz. – A głodem nas nie wezmą. Zapasów jedzenia mamy na rok...

– Wystarczy, że wodę, światło i gaz odetną.

– Mogą sobie odcinać – zaśmiał się ojciec Onufry. – Mamy własne ujęcie oligoceńskie, baterie słoneczne są na dachach, a wody geotermalne dostarczają tyle energii, że grzejemy jeszcze połowę miasta, i to my możemy odciąć im dostawę energii, a nie oni nam.

– Poza tym z nami jest moc wielka, choć niewidzialna... – zauważyła pani Salomea.

– Niech mama da spokój z tą mocą! – syknął Kordian, ale nie ustąpiła, tylko dorzuciła:

– Wkrótce jeszcze silniejsze wsparcie dostaniemy.

– Znowu mama miała jakiś sen?

– Jakbyś zgadł: krótka drzemka, a sen ważny; prorocza Oto przybędzie rycerz na szalonym koniu... A z nim dziewczica jak lwica.

Ojcowie zgodnie popatrzyli na Łęcką, jak na jednostkę chorobową, a Kordian jedynie westchnął.

– Oj, mamusiu, mamusiu!

Jednak w tym momencie od strony ulicy dał się słyszeć ryk motoru. Podbiegli do okna. W perspektywie uliczki zobaczyli rozpędzoną yamahe z dwojgiem pasażerów.

– Rozwali nam bramę – sapnął ojciec Onufry. – Jak Bóg miły, rozwali!

Jednak aby rozwalić, najpierw trzeba było do tej bramy dotrzeć.

A tu już łodziarz swój wózek na drogę dojazdową wytoczył. Beznogi dziad proshalny poderwał się gracko i paralizator spod łachmanów dobył, zaś sakwojaży parki spacerujących turystów otworzył się, przemieniając w sieć gotową do zarzucenia.

Nie powstrzymało to zmotoryzowanej pielgrzyma; skreślił z obstawionej ścieżki i skierował się na plac zabaw, gdzie tuż pod płotem kampusu stała od dawna nieużywana huśtawka. Motocyklista wjechał na nią, po czym poderwał maszynę i jak koń na wyścigach

przeleciał ponad płotem. Wylądował na niewielkim pagórku po drugiej stronie i wyhamowawszy spokojnie, przy pomniku Jana Pawła II stanął.

– Oto i przybył jeździec na szalonym koniu! – powiedziała spokojnie pani Salomea.

– Tyle że towarzysząca mu kobieta to – wybaczcie, bracia, określenie – żadna dziewica, tylko jakaś okropna kurew – dokończył jej syn.

*

Kiedy już wreszcie dupskiem po kamieniach na samo dno jaskini zjechał, zaraz otoczyła go kupa luda, gniewna i najwyraźniej złych zamiarów pełna. A zbójców było ze czterdziestu. Brody ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia plugawa...

„Zginałem – przemknęło Janosikowi Gliździe Kościeliskiemu. – Już jestem denatem”.

Jako pierwszy z buzdyganem, przerobionym z kija bejsbolowego, przystąpił do niego sam herszt, człek straszny, wielkich rozmiarów i zamiarów chyba nie najprzyjemniejszych.

– Poświećcie mi tu, a bystro! – zakomenderował. Liczne latarnie oświetliły bladą, skacowaną twarz przerażonego górala. I zaraz błysnęły liczne noże, ciupagi i inne śmiercionośne narzędzia, tylko na rozkaz czekające, by egzekucji dokonać.

– Chwileczkę – zamruczał olbrzym. – Ja tego człowieka znam. To

Janosik Furman.

– Jam to, Franuś, jam to – pisnął pojmany, rozpoznając w przewodyrze swego dalekiego kuzyna, Franciszka od Nosala.

– Co tedy robimy? – rozległy się dookoła zdeorientowane głosy. – Ubić swojaka trudno, puścić wolno nie można.

Aleć zdominował wszystkich głos przywódcy:

– Istnieje jedna tylko procedura, bracia, którą kaźden z was kiedyś przechodził. Człek musi zaprzysięgnąć wierność i wieczyste zachowanie tajemnicy, a wtedy stanie się jednym z nas. – Tu zwrócił się do Janosika: – Przysięgniesz?

– Ma się rozumieć, przysięgnę – powiedział skwapliwie, nie próbując nawet wyobraźać sobie konsekwencji odmowy.

– Tedy klęknij. Dwa palce do góry unieś i powtarzaj za nami, świadomy, że nie będzie dla ciebie odwrotu... A właśnie, jesteś tego świadom?

– Jestem świadom. Absolutnie!

– Tedy jazda. Ja, góral wolny i swobodny, przysięgam na krzyż z Giewontu i wszelkie inne świętości lojalności swym braciom w tajemnym rzemiośle dochować, tajemnice chronić, łupem po równo się dzielić, posłuszeństwa wobec starszych przestrzegać i wszelkie tradycyjne wartości chrześcijańskie braci rozbójniczej respektować. Tak mi dopomóż Bóg”.

– ...Tak mi dopomóż Bóg!

– Amen! – huknęła cała kompania, polewając go, niczym przy chrzcie, odrobiną samogonu.

– Teraz jeszcze będziesz musiał juchy młodej kozicy się napić, przyrodzenie smalcem ze świstaka nasmarować i publicznie rytualną owieczkę wychędożyć, a staniesz się pełnoprawnym członkiem zbójniczej braci – tłumaczył herszt.

Nie minął kwadrans, a było po rytuale, choć prawdę powiedziawszy, owieczka zupełnie się Janosikowi nie podobała i w dodatku pierwszy sztych trafił nie tam, gdzie powinien, co wielką uciechę całej hołoty wywołało.

Bardzo chciał się dowiedzieć, na czym współczesne zbójnikowanie polega i co ludzie Franka robią tu pod ziemią, bo przemyt na Słowację, którym jeszcze do niedawna się trudniono, od czasu wejścia do Unii Europejskiej stracił jakikolwiek sens.

Ale w tym momencie rozległ się świst przenikliwy, zda się – z samego jądra ziemi dobiegający.

Zbóje potracili jakiegokolwiek zainteresowanie Janosikiem, jeno biec poczęli ku dziurze w końcu jaskini i z okrzykiem: „Alarm!” kolejno zniknąć w czeluści.

Poszedł za nimi i ujrzał koniuszek słupa, osobliwie gładkiego, jakim w remizach dyżurni strażacy zwykli się posługiwać. Co miał robić, podpatrzył, jak inni to czynią, ucapił go oburącz i obunóż i wzywając imienia Pańskiego na ratunek, pojeeechał!

*

Zaraz po przybyciu na miejsce Michałko do kaplicy z cudownym

obrazem pośpieszył, zamierzając dziękować Najświętszej Pannie za już i prosić o jeszcze. W tym czasie Emilia dała się zaprosić na kawę do księdza Marka i zdać sprawę, kim są i skąd przybywają. Swe „gorące majtki” przysłoniła spódnicą pożyczoną od pani Salomei, na ramiona narzuciła kapotkę jakiegoś ministranta i w oczach bardziej krótkowzrocznych braci mogła uchodzić za skromną nowicjuszkę. Kawę podano w bibliotece obok gabinetu Ojca Dyrektora; z samego gabinetu, mimo usilnych nalegań współpracowników, ksiądz Marek korzystać nie chciał.

Już wcześniej pomieszczenie to bardzo spodobało się małej Patrycji. Kordian, który – przepelniony ojcowskimi uczuciami – nie spuszczał dziewczynki z oka, zauważył, jak bardzo zainteresowały ją regały z zagranicznymi książkami. Przeczytała kawałek Biblii dla dzieci po angielsku, potem po francusku. Kiedy zdumiony podzielił się swoim spostrzeżeniem z matką, pani Łęcka stwierdziła, że wcale jej to nie dziwi. Patrycja, która najmłodsze lata spędziła w przedszkolu przy europarlamencie, przejawiała niewiarygodny talent językowy. Podobno raz w tajemnicy przed rodzicami obejrzała Pasję Mela Gibsona i zaraz zaczęła mówić po aramejsku...

Teraz dziecko siedziało w kącie, zajmując się baśniami braci Grimm w oryginale, a Marek w towarzystwie rektora i pani Salomei przesłuchiwał pannę Fajans.

Ta mówiła nader chętnie, chociaż prawdziwej profesji swej nie ujawniła, twierdząc eufemistycznie, że jest pracownikiem sezonowym, który przy drogach owocami kupczy, na wszelki

wypadek nie wspominając, że są to owoce zakazane.

– A ten akrobata? – zapytała pani Salomea. – Też handlarz?

– To znakomity technik komputerowy, który koniecznie chciałby zaoferować swoje usługi Radiu Gloryja i całej waszej wspólnocie.

– Mamy już paru techników – zaczął powściągliwie ksiądz Marek, co nie znaczy, że i tego nie przyjmujemy...

– Nie pożałujecie! Jego umiejętności są nadzwyczajne – zawołała pani Emilia. – Nie uwierzycie, potrafi w bankomacie z cudzego konta kwotę obojętnej wysokości podjąć i jeszcze sprawić, aby na wydruku salda nie było żadnego śladu po operacji. – Tu urwała, bo zorientowała się, że nie jest to czynność zbyt chwalebna.

– Czcze przechwałki – ocenił Kordian.

– Przechwałki?! To opowiem wam historię, jaka nam się przydarzyła podle Sierpca. Na wysokości rozjazdu obaczyliśmy obalony krzyż przydrożny. Wzburzyło to okrutnie Michałka, zatrzymał motor, od miejscowych się dowiedział, że uczyniła to lokalna grupa lewicowego aktywu, więc postanowił wymierzyć im karę. Ośmiu ich było. W nagrodę za swój czyn otrzymali bony towarowe do miejscowego supermarketu. Poszedł tam za nimi, w męskiej toalecie otworzył swój laptop, włamał się do bazy komputerowej sklepu i tak zadziałał, że aktywistów zatrzymano przy kasach.

– Jak to?

– Według czytników bony pochodziły z kradzieży. Doszło do kłótni i przepychanek. Nie minęła godzina, a przed miejscowy sąd

doraźny ich pognano... Przysięgali na wszystkie świętości, że na talony zasłużyli obywatelską postawą. Zresztą wcale ich nie chcieli, tylko władza im dała. Przysięgali, płakali... Ale co warta przysięga bezbożników.

Zaśmiali się wszyscy i już nikt kwalifikacji Michałka nie podważał. A jego kryminalna przeszłość paradoksalnie czyniła go bardziej wiarygodnym, niż gdyby przedstawiał się jako osobnik bezgrzeszny, pełen cnót wszelakich.

On sam powrócił wkrótce z twarzą osobliwie rozjaśnioną i usiłował księdza Marka pod kolana podejmować, ale ten się wykręcił, twierdząc, iż nie godzi się tak go traktować, bo jest tylko skromnym spikerem, nadto kończyn od dość dawna nie mył. Zaraz też odwróciły się role, bo zamiast spowiadać się ze swych grzechów dawnych, haker począł wypytywać o rozgłoszenie, o systemy zabezpieczenia i zasady nadawania.

Ksiądz Marek objaśnił, że już nie nadają, i żalił się, że dziś nawet płyt z nagraniami rozprowadzać nie mogli

– A Internet?

– Żaden serwer nie chce z nami współpracować. Nadawcy kar się obawiają.

– A mógłbym popatrzeć na to wasze urządzenie, może bym mógł co pomóc?

Wądołowicz się skrzywił, bo uważał to za stratę czasu, ale Salomea Łęcka, bardziej łaskawa, szepnęła:

– Pozwólcie mu.

Ksiądz Marek wazył chwilę swoją decyzję, a stwierdziwszy, że beznadziejnej sytuacji nie sposób już pogorszyć, zezwolił. Wezwał inżyniera i kazał zaprowadzić Michałka do działu techniki. Ten wziął ze sobą laptop i zniknął. Powrócił po godzinie.

– Faktycznie, z której strony nie spojrzeć, jest blokada – rzekł.

– A nie mówiłem? – westchnął ksiądz Marek. – Sytuacja jest bez wyjścia.

– Z tym zdaniem pozwolę sobie się nie zgodzić. Blokady przy przesyłaniu drobnych danych można ominąć, jednak gdy w grę wchodzi wielkie pliki, a tym bardziej nadawanie na żywo, proste kruczki hakerskie nie wystarczą.

– Tyle i my wiemy.

– Chyba żeby... – Michałko podrapał się po głowie.

– Żeby co? – wzrok wszystkich zawisł na jego ustach.

– Dostępna jest sieć chińska; gdyby udało się z niej skorzystać, zyskalibyśmy szerokopasmowy kanał nadawania...

– Jak to?

– Nikt nie ośmielił się zadrzeć ze wschodzącym supermocarstwem.

– Gdyby to było takie proste, ktoś z przeciwników władzy wpadłby na to już dawno – skrzywił się Chamiak.

Jednak nie zmieszało to Michałka.

– Nie wystarczy wpaść. Do surfowania w tej sieci potrzebna jest biegła znajomość języka, a ściślej mówiąc, chińskiego pisma.

– Czyli jest pomysł, a tak jakby go nie było – powiedział smutno ksiądz Marek, a ojciec Bonawentura dorzucił, że jest wprawdzie

w zakonie jeden brat, który siłę czasu spędził na Tajwanie, ale niestety jest niewidomy.

– Może ja bym spróbowała – odezwała się nagle Patrycja, na którą od pewnego czasu nikt nie zwracał uwagi, mimo że porzuciwszy zabawy, przysłuchiwała się rozmowie dorosłych i widać było, że Michałko zrobił na niej wielkie wrażenie.

– Ta dziecina zna chiński?! – zdumiał się Ksiądzów.

– Nie znam. Ale mogłabym się nauczyć – powiedziała Patka, zdejmując z półki audiowizualnej, pełnej podręczników w rodzaju Angielski w tydzień czy Rosyjski w weekend, płytkę opisaną jako Chiński w miesiąc.

Emilia się roześmiała, ale inni zachowali powagę.

– To nadzwyczajnie zdolne dziecko – powiedziała pani Salomea. – Wiem od jej matki, że niemieckiego rzeczywiście nauczyła się w tydzień.

– Obawiam się, że nie mamy nawet tygodnia – ostudził ją Michałko. – Co najwyżej weekend.

– Ale dajcie mi spróbować. – Dzieciątko ręce jak do modlitwy złożyło i poczęło przewracać oczkami w stronę Michałka. – Ja tak bardzo pana proszę.

– No, to niech próbuje – ksiądz Marek zaprowadził dziewczynkę do lektorium na stanowisko, które zajmowali słuchacze intensywnych kursów językowych. Ku jego zdumieniu dziewięciolatka doskonale wiedziała, jak obsługiwać tutejszą aparaturę.

– Rzeczywiście, to bardzo bystre dziecko – stwierdził po powrocie,

postanawiając w duchu po południu nieco swe cielsko dyscypliną poćwiczyć, albowiem małe dziewczynki nie od dziś wzbudzały w nim myśli wielce niezdrowe. Tymczasem przybiegł furtian, twierdząc, że są niepokoje przy głównej bramie. Na ogłoszoną po południu roszę przyszło z miasta całkiem sporo ludzi, a policja broni dostępu.

*

Jazda po słupie zdała się trwać w nieskończoność, a Janosik z trwogą myślał o lądowaniu, tyle że im bardziej uda ścisnąć, tym te zdawały się mieć mniejszą przyczepność. Aliści skończyło się na strachu. Kiedy dno osiągnął, jego nogi wbiły się w piach sypki, a on sam od słupa odpadł.

– To tylko za pierwszym razem straszne – objaśnił go nieduży, krępy zbój o przydomku Pyzdra. – Jak wszystko.

– A jak wracacie?

– Kołowrót linę ciągnie. Ale śpieszmy na gościniec, bo czas już najwyższy.

Gościniec okazał się linią kolejową szerokiego rozstawu, z mroku w mrok biegnącą. Pyzdra, który w cywilu był Janosikowym sąsiadem, choć nigdy wcześniej zbójcekim fachem się nie chwalił, objaśnił go, że jest to kolej zbudowana pół kilometra pod ziemią jeszcze przez Sowieców.

– Podobno, psiawiary, zaczęli drążyć ten tunel jeszcze w latach pięćdziesiątych, kiedy we Wiedniu siedzieli – tłumaczył.

– To aż do Wiednia idzie?
– Ano do Wiednia, a może dalej.
– A skąd to biegnie?
– A kto to wie? Może od samej Moskwy, a może aż spod Uralu. My ledwie na Białorusi byli, kiedy na szaber po antyłukaszenkowej rewolucji chodzili.

– A Ruscy pozwalali?
– A co mieli do gadania? Już w latach dziewięćdziesiątych pospołu z Czeczenami i Gruzinami ruską mafię wytłuklim, a potem wszyscy użytkownicy się dogadali i teraz solidarnie z tunelu korzystają...

– Zaraz, a władze z Kremla?
– A co tu ma jakakolwiek władza do gadania, kiedy oficjalnie tunelu nie ma i być nie może. Dopiero by się krzyk uczynił, że coś takiego przez pół Europy pod ziemią bieży.

– To Zachód o tym nie wie?
– A skąd miałby niby wiedzieć? Przecie my o tym dziobem nie kłapiemy! Zresztą to już nie ten tunel co wprzód, pociąg pancerny nim nie przejedzie, duży transport jednym ciągiem też nie.

– Wygląda solidnie – Janosik wskazał lśniące szyny.
– Bo dbamy o swój odcinek. Ale są kawałki zawałone, że trzeba pieszymi obejściami się przeciskać, miejscami też woda chodnik zalała. Tfu! Partacka robota!

– A po co to zbudowano?
– Jak to po co? Rewolucjonistów i szpiegów wysyłać. A w momencie sposobnym całe dywizje przerzucić, świat wyzwolić,

żagiew rewolucji na burżujski Zapał ponieść. W dodatku takim tunelem można było minąć Europę Środkową, która po uderzeniach nuklearnych miała być jednym wielkim, skażonym pobjowiskiem... – Tu urwał, bo drugi zbój, przezwiskiem Kwiczół, który co rusz ucho do szyny przykładał, zakrzyknął donośnie:

– Jada, goście jada!

Zbóje po dwóch stronach torowiska podjęli okrzyk i chwilę potem z wielkim łoskotem wtoczyły się trzy spalinowe drezyny, którymi podążało koło setki ludzi płci i ras rozmaitych, ku szczęśliwej Europie się wybierających – byli tam i skośnoocy Kitajce, i kurdupliczki z Indochin, w sztukach miłosnych wielce wprawione, i Mongołowie o pałakowatych nogach, i Jakuci o wysmaganych wichrem polarnym twarzach, przypałętał się nawet jeden Murzyn, skądinąd cybernetyk, urodzony w Sankt Petersburgu, nie wiedzieć czemu Puszkinem przezywany...

Każdego zbójnicy sprowadzali z platformy, po czym czarny worek na łeb zakładali i każąc wszystkim trzymać się za ręce, jak ślepców Breughla prowadzili dalej. W następnej kolejności zajęli się towarem, z którego zwyczajowo dziesiąta część miała pozostać na skalnym Podhalu. A były tam bele chińskiego jedwabiu i cenne skóry zwierząt północnych, jak sobole, gronostaje i lisy syberyjskie, piętrzyły się worki z diamentami z Jakucji i złotymi samorodkami znad Kołomy, także ikony bizantyjskie (zapewne podroby zmyślnie postarzone), węzełki z żeńszeniem, tygrysią maścią i kłem mamuta, który sproszkowany jest na potencję tak samo dobry jak róg nosorożca

i najlepsza nawet viagra się z nim nie równa.

– A konopi indyjskich nie ma? – zainteresował się Janosik.

Posłyszał to Franek od Nosala i huknął:

– Ani konopi, ani marychy, ani grzybów tybetańskich. Mimo że przebicie byłoby ogromne, to grzech wielki, a także ryzyko dekonspiracji całego interesu niewspółmierne. Już trzy dziesiątki lat w zgodzie działamy. Interpol, jeśli nawet się domyśla istnienia tego kanału, to nie przeszkadza... No, ale bierz tę belę brokatu i zasuważ, bo darmożjada trzymać nie będziemy.

Usłuchał. Szedł potem paręset metrów krętym chodnikiem, pocąc się strasznie, aż doszedł wespół z innymi nad skraj jeziora podziemnego. Rzekłbyś: drugiego Morskiego Oka, tyle że półtora kilometra pod pierwszym rozpostartego. Krążyły po nim dwie niewielkie tratwy motorowe, przewozowi ludzi (nadal w workach na łbach dla zachowania tajności), a także towarów służące. Przeprawili się na drugi brzeg, gdzie spod wody na ląd wychodziły tory, a dalej czekały trzy drezyny identyczne jak te przed przesiadką.

– Ot, i cała filozofia – tłumaczył Pyzdra. – Dostajemy cynk o transferze, tedy schodzimy się i czekamy. Potem dokonujemy przeładunku i fru!

– A teraz?

– Można do dom, do baby i do prozy dnia codziennego wracać. Tędy!

Odnaleźli szyb, którym chodziła klatka na sznurach. I wnet pojechali w górę. Tam Pyzdra, przepraszając, że taka jest procedura

wobec nowych, którzy jeszcze nie przeszli praktycznego egzaminu, nakazał także Janosikowi worek na głowę wdziać i poprowadził dalej. Już po równym. Natrafili wreszcie na jakieś drzwi rozsuwane, rozległ się cichy brzęk, dziwnie znajomy, potem podłoga się uniosła, jak to w windzie.

Na koniec worek mu zdjęto, drzwi gospodarczego dźwigu się rozsunęły i ujrzał korytarz gospodarczy, pełen zapachów pralni i kuchni.

– Gdzie ja jestem? – wybełkotał.

– A gdzie masz być? – zaśmiał się Pyzdra. – Na zapleczu hotelu Kasprowy!

*

Pod bramą zespołu sakralnego, jak oficjalnie określano klasztor, uczelnię i rozgłośnień ojców redemptorystów w Turoniu, zebrało się kilkadziesiąt osób z miasta, liczba niewidziana tu od dawna, może z wyjątkiem pasterki i rezurekcji, jednak szpaler kilkunastu strażników miejskich wzbraniał im przystępu do ośrodka. Wierni, sami zaskoczeni swą liczebnością, wypełniali całą gardziel ulicy Świętego Jozefata i w dużym stopniu utrudniali ruch na przelotowej Beresteckiej.

– Co tu się dzieje, ludzie? – zapytał ksiądz Marek zza solidnego płotu z żelaznych sztachet.

– Nie puszczają – rzucił ktoś ponad szpalerem straży. – Zali nie ma

już wolności religijnej?

– Od dawna nie ma! – ozwały się liczne głosy.

Jak spod ziemi na ruchomej platformie wyjechała ponad nich pani Janssen.

– Rozejdźcie się, obywatele – zaapelowała przez megafon. – Wolność wiary i niewiary jest jedną z podstawowych wartości, jednakże ten obiekt nie spełnia elementarnych wymogów...

– Jak to nie spełnia?

– Po pierwsze, nie ma aktualnej koncesji na działalność religijną, ani nawet nieaktualnej – stwierdziła. – Po drugie, nie ma legalnie zatwierdzonego przełożonego, po trzecie, odmówiono nam wpuszczenia kuratora, po czwarte, istnieją poważne wątpliwości sanepidu co do poziomu zdrowotności, a po piąte...

– Dobra! – przerwał jej jakiś starszy mężczyzna z tłumu. – Ale my chcemy iść na mszę na własne ryzyko.

– Nie ma mowy! – odpowiedziała pastorka.

– To niech pani uważa, żeby jej grom z jasnego nieba nie strzelił – zawołała jakaś wiekowa babina i kostur ku niebu uniosła.

Arnika wzrokiem we wskazanym kierunku podążyła, a w tym momencie gołąb jakiś przelotny pacnął jej na środek twarzy kupę tak dorodną, jakby był co najmniej orłem.

Tłum ryknął śmiechem. Ksiądz Marek zauważył, że w trakcie tego zabawnego dialogu liczba ludzi na ulicy optycznie wzrosła.

– Otwórzcie bramę – powiedział Kordian do furtiana i wyszedł na zewnątrz, wołając: – Chodźcie tu, ludzie! Ci panowie – wskazał na

strażników – nic wam nie zrobią.

Tłum ruszył, strażnicy chwycili się za ręce, ale Kordian wszedł między nich, złapał dwóch za głowy, o siebie tryknął i odrzucił na boki. Tym sposobem wyrwa się utworzyła, przez którą ludzka struga wdarła się do wnętrza.

– Obywatele – wołała do mikrofonu pani Janssen, otarłszy twarz z ekskrementów – nie idźcie tą drogą, na którą wciąga was reakcyjny kler i garstka wichrzycieli...

Ale stało się coś dziwnego, bo pomimo jej gestykulacji i intensywnego ruszania ustami z głośników, miast jej głosu, popłynął śpiew czysty i piękny: „My chcemy Boga, Panno Święta!”.

„Chyba Michałko wziął się do dzieła – pomyślała Emilia. – Chociaż mógłby się postarać o lepszą synchronizację”.

Już w kościele, a jeszcze przed początkiem nabożeństwa, przemówił do zebranych ksiądz Marek.

– Nie podnosimy buntu – powiedział dobitnie. – Chcemy jedynie wyznawać naszą wiarę, zgodnie z prawami człowieka. I nie zrezygnujemy z naszych praw. – W tym momencie wskazał na zaskoczony Chamiaka. – Kto chciałby wstąpić do naszych sił porządkowych, niech się zgłasza do brata Kordiana, a kto chciałby wspomagać nas w inny sposób, do naszej siostry Salomei.

Strażnicy miejscy gdzieś się ukryli, bo nie widać było ani jednego, zaś ludzie z okolicy, zwabieni plotkami, które lotem błyskawicy obiegły zachodnią część miasta, ciągle przybywali i przybywali...

VII

6 CZERWCA 2020 ROKU, SOBOTA - 7 CZERWCA 2020 ROKU, NIEDZIELA

Sobota okazała się dniem, w którym w całej Polsce, poza Turoniem, nie zdarzyło się nic szczególnego. Naród bawił się w najlepsze, wesoło świętował wejście do nowej struktury państwowej, a szwedzcy urzędnicy przejmowali kolejne urzędy i organizowali szkolenia dla miejscowych, tak aby w poniedziałek kraj mógł obudzić się w naprawdę odmienionej rzeczywistości. Na lotniskach lądowały kolejne samoloty dowożące oddziały policyjne, które wesprzeć miały siły polskie w walce o standardy wolności i demokracji. Za nimi promami kolejowymi i samochodowymi podążały rodziny funkcjonariuszy – żony, dzieci i teściowe.

Swego czasu, kiedy tajne plany były dopiero w opracowaniu, premier zapytał swego ministra budownictwa i infrastruktury, adonisa o twarzy wiecznie skrzywionego gwiazdora:

– A gdzie ci wszyscy Szwedzi będą mieszkali? Nasze stare koszary są kompletnie zdekapitalizowane albo dawno posprzedawane.

– Dokonaliśmy przeglądu wszystkich pustostanów, a także lokali, których lokatorzy nie opłacają czynszów i świadczeń. To trzydzieści procent zasobów. Zmieściłaby się tam cała Skandynawia...

– A dotychczasowi mieszkańcy? Co się z nimi stanie? Wyrzucicie ich na bruk? Pod most?

Minister Starszak popatrzył na premiera swoimi pięknymi oczami.

– Ech, Ronek, Ronek, zawsze masz tyle skrupułów. Nawet pod mostem nic im się nie stanie. Przecież dopiero zaczyna się lato.

Co ciekawe, przez całą długą sobotę nikt nie przeszkadzał w funkcjonowaniu zespołu sakralnego w Turoniu. Może dlatego, że wieści z moherowego zaścianka po prostu utonęły wśród radosnych meldunków z całego kraju. Z drugiej strony Limoniak nie chciał martwić swego pryncypała nieprzyjemnymi informacjami, licząc, że sprawa rozejdzie się po kościach, aliści na wszelki wypadek zwrócił się do generała Książka Bogusława z prośbą o przygotowanie paru wariantów działań na wypadek niekorzystnego rozwoju sytuacji.

Tymczasem w zespole sakralno-akademickim msze za ojczyznę odbywały się cztery razy dziennie i nikt w nich nie przeszkadzał, a pani Janssen, zanim w sobotni wieczór odwołali ją do stolicy „na konsultację”, określiła aktualną strategię władz jako wzięcie na przeczekanie. „Niech oddają się tym swoim zabobonom, w końcu im się znudzi” – miała stwierdzić na odjezdnym.

Nic jednak nie wskazywało na to, aby się miało znudzić. Oprócz ludności miasta, która coraz liczniej przybywała do kościoła, zaglądać tam zaczęli także ludzie z okolicznych wiosek, zrazu jedynie z ciekawości, aby sprawdzić, czy rzeczywiście ostała się ta dziwna enklawa niepoprawności politycznej, gdzie ni władza, ni Szwed nie mają przystępu.

Ciekawsze jednak, że wielu gapiom zapadały głęboko w serca słowa księdza Wądołowicza o wartościach podstawowych i sprawach najprostszych, o których często w gorączce codziennego życia się zapomina, jak prawda, sprawiedliwość, Bóg, honor i ojczyzna. I wracając do swych domów, nieśli dobrą nowinę, że jest takie niezwykle miejsce, prawdziwa oaza, gdzie nie ma ani reklam, ani urzędowej propagandy.

Tymczasem zaledwie w parę godzin udało się Kordianowi zorganizować coś w rodzaju straży obywatelskiej. Dwóch braciszków, którzy zdołali jeszcze odbyć powszechną służbę wojskową, dobrawszy kilku I zaufanych rezerwistów z miasta, poczęło tworzyć oddziały porządkowe, organizować szkolenia... Serce rosło, gdy się patrzyło na ich zapał!

Równocześnie Chamiak zbadał dokładnie cały obiekt. Niestety, broni nie było tu ani na lekarstwo. Oczywiście jeśli nie liczyć gaśnic przeciwpożarowych, bosaków i toporków strażackich, przydatnych ewentualnie do walki wręcz. Odwiedził też mały, zabytkowy arsenał, ale czy uchodziło zbroić lud Boży w halabardy, miecze, szable czy starodawne kusze, kiedy przeciwnik dysponował bronią automatyczną i laserową...? Kilka sztuk armat i nowszego sprzętu z drugiej wojny światowej nie miało niestety amunicji.

Zgłaszali się, naturalnie, ludzie z miasta z własną bronią myśliwską, ale Kordian czuł, że w tej konkretnej sytuacji z cywilną bandą daleko by nie zajechał. Mimo wszystko poprosił matkę o spisywanie nazwisk, adresów i telefonów wszystkich chętnych,

obiecując im, że ich wezwie, jeśli tylko będą potrzebni.

Przyjął natomiast od pewnego magazyniera sporą skrzynkę ładunków wybuchowych, jakich rokrocznie saperzy używali do kruszenia lodowych zatorów na Wiśle. Jak owa skrzynia weszła w posiadanie magazyniera sprzętu sportowego, Chamiak wołał nie wnikać.

Tymczasem ojciec Prokop, niewidomy mnich, który pół życia spędził w Tajpej na Tajwanie, przeegzaminował w sobotni wieczór Patrycję Osierdzie i stwierdził, że dziewczynka robi nadzwyczajne postępy w języku chińskim.

– Jeśli tak dalej pójdzie, już niedługo będzie prawdziwą pociechą dla brata Michałka i jego internetowych planów.

Księdzów zresztą miał na razie sporo innych zadań – oto panna Emilia wcale nie poniechała zamiaru wyprawienia się do Warszawy na love paradę i tylko SMS-y oraz (przy pomocy Michałka) maile do znajomych i nieznajomych rozsyłała, gotując się do drogi.

– Nie możesz tam pojechać sama! – argumentował Kordian, któremu w odróżnieniu od pogrążonego w mistycznych westchnieniach hakera panna Fajans podobała się z każdą chwilą coraz bardziej. – Władze już wiedzą o twojej inicjatywie protestu i, jak twierdzi kolega Księdzów, mają twój rysopis. Nie dojedziesz nawet do Warszawy!

– To pojedź ze mną! – zaproponowała. – Podróżowanie ze mną może być naprawdę bardzo przyjemne.

– Ja? Jestem pierwszy na liście do zatrzymania...

– Listę można zmienić – zauważył znad klawiatury komputera Michałko. – Zresztą nie ogłoszono jeszcze nigdzie, że jesteście poszukiwani.

– Jak to możliwe? – zdumiał się były funkcjonariusz BOR-u. – A pobici funkcjonariusze w moim garażu?

– Sprawdziłem wszelkie informacje dotyczące tego incydentu. Na wasze szczęście funkcjonariusze niczego nie pamiętają, a sam garaż...? To nie była legalna budowla. Na razie nie wiedzą, do kogo należy. A pan, wedle grafiku BOR-u, ma akurat dzień wolny. Nie mylę się?

– Zgadza się!

– Więc nikt was na razie nie szuka. I nie będzie. Pracuję nad tym.

– Nad czym?

– Nad oficjalnym przeniesieniem Kordiana Chamiaka do supertajnej jednostki Gamma.

– Przecież nie ma takiej jednostki! – zawołał BOR-owiec.

– Tylko kto ma wiedzieć, że jej nie ma, skoro jest tajna? – uśmiechnął się haker. – Tutejszy grawer pracuje już nad odznaką wedle mego pomysłu, w którą wtopi się pasek pamięci. Każdy funkcjonariusz w Polsce, jeśli wpadnie na niego i zechce cię sprawdzić, otrzyma informację, że misja jest tajna i należy ci udzielić wszelkiej niezbędnej pomocy.

– Wystarczy, że ktoś z góry się zainteresuje...

– Spokojna głowa, wymyśliłem to tak, że MON będzie przekonany, że to inicjatywa MSW, i na odwrót. Co więcej, Szwedzi

będą myśleli, że to formacja podlegająca wyłącznie Polakom, a Polacy, że Szwedom... Sprawa mogłaby się rypnąć, gdyby zainteresował się nią osobiście premier albo koordynator służb, ale nie sadzę, żeby ci w nawale zajęć mogli zajmować się takimi duperelami.

– Jesteś genialny – zawołała Emilia i w policzek go cmoknęła, po czym zwróciła się do Kordiana: – No, to jedziemy. Do północy będziemy w stolicy, a jutro pokażemy władzy, z jaką siłą zadarła.

– Zadzierając kiecki? – domyślił się Michałko, ale Emilia tego nie skomentowała.

– Zatem niech no tylko grawer dokończy dzieła i wyruszajcie z Bogiem – podsumował ksiądz Marek.

*

Wyjechali około dziesiątej motorem Michałka. Drogi były prawie puste, a patrole zatrzymały ich ledwie trzy razy. Pod Płockiem, na moście w Kozuniu i na samych rogatkach miasta, pod Łomiankami. Za pierwszym razem serce podjechało Emilii do gardła, ale Kordian tylko blachę machnął, rzucił: „Tajna misja” i popędził dalej.

Punktem kontaktowym była Balbina – wiekowa bajzelmama mieszkająca w Śródmieściu niedaleko słynnego pigalaka. Namiary na nią Fajansówna miała od Katuszy. Ogromny prestiż zawodowy Balbiny datował się jeszcze z czasów, kiedy była „mewką” w Trójmieście podczas pamiętnego strajku 1980 roku; rzuciła wtedy hasło, podchwyczone przez środowisko: „Patriotom dajemy darmo, od

komuchów ściągamy podwójnie”. Aktualnie posiadała piękne mieszkanie w centrum, do którego nie miała przystępu ani policja, ani żadna inna służba, gdyż o każdym heteroseksualnym mężczyźnie w Warszawie wiedziała dość, by którykolwiek odważył się podnieść na nią rękę.

– Mobilizacja przebiega niezwykle sprawnie – opowiadała. – Jest jeden problem. Władza doskonale wie o naszych zamiarach i zrobi wszystko, aby nie dopuścić nas w rejon love parady.

– Postaramy się sprawiać wrażenie lesbijskich aktywistek.

– To nie wystarczy. Uczestniczki love parady mają otrzymać hasło, którym posługiwać się będą, mijając policyjne kordony. Trzeba się dowiedzieć, jak brzmi. Tylko nie wiem od kogo. Astma nie pozwala mi na zbyt częste wychodzenie na miasto.

– Przypadkowo znam dwie osoby, które mogą je znać – odezwał się Kordian, siedzący do tej pory spokojnie w kącie.

Pół godziny potem znaleźli się na Ursynowie. Motor zaparkował na widoku, mrugnawszy porozumiewawczo do meneli przy śmietniku. (Nie ruszą, choćby pojazd był szczerozłoty!) Obawiając się kotła w mieszkaniu, wysłał przodem Emilię. Po dotarciu bezpiecznie do mieszkania miała trzykrotnie zamrużyć światłem w łazience.

– A jak policja mnie złapie?

– Udasz głupią, która pomyliła adres. Mój lokal ma numer 69, a na kartce, którą ci daję, masz zapisane: numer 96 i nazwisko Pietrzakowie. To spokojni staruszkowie, którzy faktycznie mieszkają na dziewiątym... A w najgorszym razie odbiję cię.

Plan udał się nadspodziewanie. Nikt nie czyhał na Kordiana, a Dżesika i Izaura uwierzyły zarówno w „tajną misję”, jak i w to, że Emilia jest sierżantem jednostki Gamma.

Sebastian miał bystrzejsze oko.

– Jak ta się dzieje, że prostytutki i policjantki są do siebie takie podobne? – powiedział do swego ślubnego, gdy sami znaleźli się w kuchni.

Kordian wzruszył ramionami i poruszył kwestię garażu.

– Owszem, gliny węszyły w tej sprawie po całym osiedlu, były i u mnie, ale byłem przygotowany; powiedziałem, że nie jestem pewien, do kogo należy, jednak wydaje mi się, że trzymał tam swój wóz facio, który jeszcze wiosną prysnął do Ameryki...

– Doskonały pomysł.

– Wydaje mi się, że ostatecznie przyjęta wersja brzmi, że strażnicy miejscy w trakcie rutynowej kontroli natknęli się tam na jakichś rabusiów, którzy pobili ich i obdarli ze sprzętu i odzieży, bo znaleziono ich nagusieńkich...

– A co zeznali sami strażnicy? – spytał zaskoczony Chamiak.

– Nic nie zeznali. Jeden wyzionął ducha, drugi jest w szpitalu i dotychczas nie odzyskał przytomności.

Kordian odetchnął. Najwyraźniej ktoś z okolicznego elementu dokończył robotę za niego.

– A nikt nie pytał o dziewczynkę, takiego blond aniołka?

– I owszem, ale wydaje mi się, że tym zajmuje się zupełnie inna komórka.

Tymczasem piski dochodzące z sypialni wskazywały, że wieczorek robi się tam coraz bardziej zapoznawczy, a zepsute warszawianki zaczęły z nową koleżanką grę wstępną.

Musiał zainterweniować.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zawołał przez zamknięte drzwi – ale możecie umówić się na kiedy indziej, mamy z panią sierżant jeszcze poważne zadania na dzisiejszą noc!

Otworzyły mu z ociąganiem.

– Jutro mam wolne – czarowała Emilia, wymieniając ogniste pocałunki. – I chętnie bym nieoficjalnie wzięła udział w waszej... naszej manifestacji.

– Spotykamy się na placu Konstytucji.

– Zjawię się tam z radością. Tylko jak się dostanę? Nie mam ze sobą dokumentów...

– Dobrze, że pytasz, kochana. Zresztą dokumenty niewiele by pomogły. Trzeba znać hasło. Ale na razie nawet my go nie znamy – paplała Izaura. – Padnie ono w pierwszych słowach piosenki, którą nadadzą w Sygnałach dnia o siódmej.

– A ty kiedy wrócisz do domu? – Dżesika zwróciła się do Kordiana.

– Kiedy moja misja dobiegnie końca – odpowiedział bez entuzjazmu.

Po drodze obmyślili dalszy sposób działania. Kiedy tylko poznają hasło, Emilia roześle dziesięć SMS-ów do zaufanych koleżanek, te przekażą dalej też po dziesięć. Ustalonym już wcześniej punktem zbornym dla kontrdemonstrantek miał być plac Unii Lubelskiej.

U Balbiny czekały na nich gościnne łóżka. Ku zaskoczeniu Kordiana – w osobnych pokojach.

– Nie trwonimy sił przed odpowiedzialną akcją! – oznajmiła bajzelmama.

*

Kiedy Janosik Glizda Kościeliski wychodził z Kasprowego, w pobliskim kościółku brzmiały dzwony na poranną mszę. (W Zakopanem ogólnopolski zakaz religianckiego dzwonienia nie obowiązywał, gdyż stanowiło ono element folkloru, za który zagraniczni turyści płacili takse etnograficzną). Dopiero teraz młody góral się zorientował, że w trakcie penetracji podziemi zgubił

bezpowrotnie dwa dni.

Co śpieszniej pobiegł do domu, gdzie powitano go jak zmartwychwstałego.

Cała rodzina – dziadkowie, matula, brat z żoną, szwagier i szwagierka – oplakująca go już trzeci dzień, była kompletnie pijana; jedynym trzeźwym w obejściu był koń, bo w wypadku psa już takiej pewności mieć nie było można. Co się zaś tyczy narzeczonej, Jadźki, tak mocno przeżyła ewentualną śmierć swego harnasia, że zastał ją w ramionach usilnie pocieszającego ją sąsiada.

– Długość mnie nie oplakiwała! – powiedział, ale większych konsekwencji wobec niej ani jej kochasia nie wyciągnął, bo po pierwsze, był trzeźwy, po drugie, przeżycia ostatnich dni zmieniły jego stosunek do świata, a po trzecie, Jadźka zaczęła brzydnąć i od pewnego czasu sam chętnie by ją rzucił, tylko pretekstu nie miał.

Nie mając do kogo ust otworzyć, zaszedł do starszej siostry, która mieszkała przez płot, samotnie wychowując trójkę dzieci, bo jej ślubny od parunastu lat z Hameryki nie wracał. Tam dowiedział się o niezwykłych wydarzeniach, jakie w kraju zaszła włącznie z poddaniem się Rzeczypospolitej pod berło szwedzkiej rodziny Bernadotte.

Wprawdzie wszyscy naokoło cieszyli się z tego, ale Helka zachowywała dużą rezerwę, bo wypadki z mężem nauczyły ją, że z obcych krajów mogą przyjść wyłącznie kłopoty albo nic. Na przykład z USA nawet dolary przestały przychodzić.

Po czym wspólnie zaczęli oglądać w telewizji przygotowanie do

love parady, która punktualnie o dziewiątej miała ruszyć w Warszawie i pokazać całemu światu, jak nieodwracalnie dawny zaścianek wkroczył na ścieżkę postępu i rozwoju. Z tej okazji zjechało do stolicy około pięćdziesięciu zagranicznych telewizji, a także delegacje mniejszości seksualnych z całego świata. Byli transwestyci ze Szkocji, kanibale z Niemiec (zjadający mniej istotne kawałki swoich ciał), koprofadzy z Danii, zoofile z Bałkanów i pedofile z Niderlandów, gdzie kontakty z nieletnimi były już dozwolone za zgodą lekarza. Zapowiadała się znakomita zabawa.

Jakoż przy dźwiękach muzyki techno ruszyły z placu Konstytucji zmotoryzowane platformy, na których i wokół których płąsali przedstawiciele najbardziej postępowych orientacji – na wpół nadzy lub poprzebierani, głównie za księży, mnichów i zakonnice (tyle że z odkrytymi piersiami), byli też upiorni inkwizytorzy, Święci Mikołajowie, ze czterech papieży, dwie bluźniercze Matki Boskie z prosiątkiem przy piersi, ukrzyżowana prezerwatywa, słoiki z zapuszkowanymi lalkami, prezentujące życia poczęte... I inne podobnie sympatyczne ruchome instalacje.

– Jak można coś takiego pokazywać? Świnie, po prostu świnie! – piekliła się Helka.

– To tylko zabawa – usiłował tonizować jej gniew Janosik.

– Zabawa. Poczekaj, aż w szkole wprowadzą kursy przymusowego pedalstwa.– Nie pozwolę na to moim dzieciom, choćby mi przyszło osobiście je potopić! Czekaj... A co tam się dzieje?

Rzeczywiście działo się coś osobliwego, coś, czego chyba nie było

w ustalonym scenariuszu. Oto, co nie uszło uwagi kamerzystów, z ulicy Bagatela na Aleje, tuż obok pomnika Piłsudskiego, zaczęła wylewać się niezapowiedziana kontrademonstracja.

*

Tego dnia centrum Warszawy zostało praktycznie zamknięte dla ruchu. Także pieszego. Bramki kontrolne rozstawiono już przy Rakowieckiej, placu Politechniki i na Sobieskiego przed ambasadą Rosji. Od północy i zachodu strefa zakazana zaczynała się od placu Zawiszy i Dworca Gdańskiego. Teoretycznie więc nawet heteroseksualna mysz nie powinna się tam prześlizgnąć, wszelako magiczne słowo „fiołek” (ze stareńkiej piosenki Słodkie fiołki, słodsze niż wszystkie róże) wypowiedane przez półnagą, silnie umalowaną kobietę działało jak klucz magnetyczny do drzwi hotelowych.

Na Bagateli nie było praktycznie żadnych odwodów policyjnych, zwłaszcza że tłum zgromadzony na placu Unii zrazu wydawał się jedynie odnogą oficjalnej manifestacji.

Aliści piętnaście po dziewiątej rozległ się dojmujący świst, jak na komendę z kilku tysięcy przebierańców opadły szaty maskujące i wyłoniła się prawdziwa armia ubrana jedynie w białe-czerwone stringi i symboliczne opaski na piersiach lub – gdy kształty były obfitsze – pod nimi. Rzesza ta błyskawicznie uformowała się w szyk, przebiegła truchtem Bagatelę i pod samą kancelarią premiera wylała się na Aleje Ujazdowskie.

Przodem kroczyła kuplerska arystokracja: luksusowe call girls, które zazwyczaj nie opuszczają hotelowych apartamentów, za nimi maszerowała tanecznym krokiem rzesza pracownic agencji towarzyskich, salonów masażu i siłowni erotycznych, a dopiero później dziwki niższego autoramentu, czyli ulicznice, kolejówki, tirówki, pracujące na pół etatu biurwy, cichodajki rozmaitych kategorii. Jeszcze dalej postępował aktyw młodzieżowy z szeroką radosną ciałą galerianek. Pochód zamykały weteranki walki i pracy z kilkoma jeszcze żyjącymi gruzionkami, które świadczyły usługi pierwszej potrzeby na ruinach Miasta Nieujarzmionego. Wśród nich zwracała uwagę wieziona na wózku inwalidzkim pod wyblakłą plakieta „500% normy” wiekowa Balbina.

Na wysokości wejścia do dawnego Urzędu Rady Ministrów na szerokość całych Alej Ujazdowskich rozwinięto transparent pisany historyczną już solidarycą: „Prostytucji tak, kurewstwu nie”. I zaraz ze wszystkich gardeł popłynął śpiew: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”.

Premier, który nieświadom tego, co się dzieje, zamierzał przez otwarte okno pozdrowić postępowe manifestantki, widząc drugi pochód zmierzający z przeciwnego kierunku bez flag tęczy, za to z biało-czerwonymi opaskami, kompletnie zgłupiał, zwłaszcza że jak na komendę parotysięczny tłum pokazał mu najpierw międzynarodowy znak fuck off, potem gest Kozakiewicza, a na koniec zajęczka zwycięstwa.

– Limoniak, do mnie! – ryknął, tak jakby rezydujący kilka ulic dalej minister mógł go usłyszeć.

Oficjalna love parada dotarła tymczasem na plac Na Rozdrożu. Rozbawiona, niepodejrzewająca sabotażu ani kontrdemonstracji. Naraz jakaś niewidzialna ręka ucięła muzykę, a przekupieni zawczasu kierowcy platform wyłączyli silniki.

Nagła cisza spadła na wszystkich jak koc gaśniczy. I było w niej coś strasznego.

Tymczasem prostytutki karnie wyrównały krok. Gdyby nie skąpe stroje, wyglądałoby to na marsz cheerleaderek albo paradę mistrzyń sportu... Struchlałym urzędnikom z kancelarii zdało się, że obserwują jakąś defiladę w Korei Północnej, choć tam nawet pojedyncza golizna była niemożliwa, a co dopiero na masową skalę.

– Gdzie jest policja?! Gdzie armatki wodne?! – wołał premier.

– Na zewnątrz kręgu – mamrotali doradcy.

– Ściągnijcie ich. Niech rozdziela obie demonstracje. Szybko! Zanim będzie za późno.

– Musieliby najpierw przebić się przez gapiów i naszych manifestantów... – jęczała szefowa gabinetu politycznego.

Co się naprawdę dzieje, dotarło do uczestników love parady, dopiero kiedy obraz czoła kontrdemonstracji pojawił się na telebimie zawieszonym na dawnym gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

– Rysią! – krzyknęła przez megafon Balbina. I dziewczyny pomknęły jak burza.

Zaiste, od ataku husarii pod Wiedniem nie było wspanialszej szarży.

Desperacja na twarzach atakujących była oczywista, rozkazy były jasne.

„Dwie dziewczyny dość piersiaste na jednego pederastę...”

Pierwsi podali tyły transwestyci, stanowiący czoło pochodu. Tratując postępujące za nimi lesbijki, usiłowali uciec, ale większość demonstrantów, nieświadoma tego, co się dzieje z przodu, nadal napierała od strony Koszykowej i Alej Ujazdowskich...

Tymczasem z boku rzucono petardy i koktajle zapalające.

Nim jeszcze pierwsze szeregi nierządnic dopadły uciekających zboczków, dwie platformy zajęły się żywym ogniem. Przy okazji podpalono wozy co bardziej znienawidzonych stacji telewizyjnych.

Oszaleli ze strachu geje usiłowali się ratować, przełaząc przez ogrodzenie parku Ujazdowskiego. Nie wszystkim się to udawało. Na palisadzie utknął sam wicemarszałek Klawisz, daremnie próbujący salwować się ucieczką.

– Jestem hetero, jestem hetero! – ryczał bawolim głosem niegdysiejszy mecenas prezydenta Goryczki, ściągany z płotu przez cztery lafiryndy emerytki.

– Nie ma akcji bez kastracji! – wołały wesoło.

Policyjny klin, który w końcu pojawił się na miejscu starcia, jedynie spowodował jeszcze większy chaos. Funkcjonariusze okazali się całkowicie bezradni wobec aktywnych kobiet, które obierały ich z ryzsztunku i ubrania, tak jakby miały do czynienia ze skorupiakami w restauracji specjalizującej się we frutti di mare.

– Make love, not war! – wołały kobiety.

Długo jeszcze międzynarodowe telewizje pokazywały zadziwiające bratanie się policji z ludem, a także masowe konwersje niedawnych aktywistów na swe pierwotne orientacje seksualne. Dopiero koło południa miłosierne niebo ulitowało się nad miastem i lunęło taką ulewą, że w ciągu godziny spłukało cały grzech, zgorzenie, wstyd i sromotę.

I tak się zakończyła wielka bitwa Na Rozdrożu.

Nie był to jednak koniec demonstracji; najbardziej bojowa grupa pod wodzą Emilii Fajans przedarła się pomiędzy płonącymi platformami, kierując się w stronę gmachu sejmu.

– Gdzie jest policja?! – krzyczał zdesperowany marszałek Moczypies, widząc w telewizji zastępy nagiej siły wkraczające na ulicę Piękną.

– Rozebrana – opowiadał drżącymi ustami komendant główny. – Czy mam wezwać regiment szwedzki?

– Tego jeszcze nam brakowało: Szwedzi broniący polskiego parlamentu przed atakiem seksualnego proletariatu...

– Czy wiemy, o co im chodzi? – z marszałkiem połączył się coraz bardziej zdenerwowany pan premier.

– Może wyjdę do nich i się zapytam? – zaproponował szef parlamentu.

– Doskonały pomysł. Tylko uważajcie, to mogą być przebrani faceci – ostrzegł Ronald Duck, który jako były historyk znał kulisy słynnego marszu przekupek na Wersal.

– Przebrani? Z gołymi cyckami?

Marszałek Moczypies znany był ze swej charyzmy i błyskotliwej, choć cynicznej inteligencji. Kiedy w otoczeniu straży marszałkowskiej wyszedł z laską sklejoną skoczem naprzeciw szpicy zrewoltowanych kobiet, sama powaga urzędu ucieleśniającego majestat Rzeczypospolitej sprawiła, że ucichła wrzawa.

– O co wam chodzi, obywatelki? – zapytał.

– O załatwienie naszych postulatów – powiedziała Emilia Fajans.

– Jakich postulatów?

– Po pierwsze, wycofanie zakazu prostytucji...

– To się da załatwić – mruknęła mu do mikrośłuchawki doradczyni premiera, pozostająca w stałym kontakcie z marszałkiem. – Szwedzi specjalnie nie nalegali na ten punkt porozumienia. To myśmy go wprowadzili, chcąc sprawić im przyjemność.

– Przyjemniej im będzie, jak będą mogli pociupciać na wyjeździe.

– zaśmiał się po raz pierwszy tego dnia Ronald i przekazał swej pomagierce: – Niech powie tym demonstrantkom, że to załatwimy.

– Drogie panie, sądzę, że mogę obiecać szybką nowelizację i załatwienie tej sprawy – rzekł Moczypies, uśmiechając się przymilnie. – A teraz zrobimy sobie pamiątkowe zdjęcia i możemy się rozejść

– Wy możecie się rozejść, ale my poczekamy na załatwienie – odpowiedziała Emilia i wyminąwszy marszałka, ruszyła na czele kilkudziesięcioosobowej delegacji w stronę sali plenarnej. – Zresztą to tylko jeden z naszych postulatów.

– A jest ich więcej?

– Dokładnie dwadzieścia jeden!

Moczypies chciał zagrozić im drogę, ale trzy najrośniejsze dziewczyny obaliły go na podłogę, a jedna z wiekowych weteranek poczęła sprawnie obierać go z garnituru.

– Podobno masz plastikowego – rechotała. – Od dwunastu lat obiecywałam sobie, że muszę to sprawdzić!

*

Aby oglądać na ekranach odbiorników akcję rozgrywającą się w Warszawie, bracia z Turonia udzielili sobie nawzajem dyspensy, a ksiądz Marek stwierdził, że topless nie jest żadną obrazą moralności, boć pierś niewieścia jest najszlachetniejszą częścią ciała, co ponoć doceniał już sam święty Łukasz Ewangelista, malarz zawołany.

Oczywiście transmisję bezpośrednią bardzo szybko przerwano, a w powtórkach ograniczano się jedynie do pokazywania pojedynczych aktów chuligaństwa i wandalizmu. Telewizjom zagranicznym też nieszczęśliwie zależało na ukazywaniu klęski pochodu postępu.

Tymczasem po krótkiej dezorientacji szybko ruszyła do boju szpica publicystów, zaprawionych w boju jeszcze za czasów rzecznika Jerzego Turbana. Było jasne, że trzeba nieszczęsne wydarzenie pokryć innymi tematami, zmarginalizować, ośmieszyć, wykpić, a z całą pewnością nie dopuścić, aby ludzie się dowiedzieli, o co w spektakularnym proteście chodziło. Niestety, UFO pod Czerskiem

nie wypaliło, szczególnie że w sieci zaczęły się pojawiać zdjęcia w podczerwieni ukazujące miejscowych chłopów mozolnie w środku nocy wydeptujących kręgi w zbożu.

Zaraz jednak wydane zostało oświadczenie Nierządno i Samoleźnego Związku Prostytutek Męskich, który odciął się od kontrmanifestacji Potem TKN 24 nadal dwa reportaże o rozpaczliwym losie dziwek w slumsach Ameryki Łacińskiej, a także wywiad z ekspertem wenerologiem tłumaczącym, że od samego patrzenia na ladacznicę można dostać HIV, po czym poszła reklama antydziewkolu, leku, który w trybie natychmiastowym miała wprowadzić na rynek jedna z firm marszałka Moczypsa. Minoderyjny zgrywus Jakub Powiatowy zaprosił do swego kultowego talk-show grupę ekspertów w składzie: postępową lesbijka, transwestyta i rekordzistka skrobanek; wystąpili oni jednogłośnie w obronie wartości rodzinnych, dla których nierząd stanowi zagrożenie najwyższe. Monika Mauzut zaś postawiła kreskę na Q, rozważając wspólnie z postępowym biskupem wskazania wynikające ze związku pana Jezusa z Marią Magdaleną, na którym, jak wiadomo, dzięki objawieniom Dana Browna bazuje cała postępową myśl postchrześcijańska.

Oczywiście nie wspomniano ani słowem o obławie na prowodyrki demonstracji ani o śmierci nestorki zawodu Balbiny, której schorowane płuca nie wytrzymały nadmiaru gazu, nie mówiąc już o ciosach pałą...

W odpowiedzi na represje cała rzesza prostytutek ogłosiła strajk antyokupacyjny, to znaczy taki, który miał trwać, dopóki ostatni

okupant kraju nie opuści.

– A na czym będzie polegać taki strajk? – dopytywał się pan prezydent swego głównego doradcy.

– Na niedawaniu – odpowiedział profesor Tomasz Obwarzan, który właśnie wrócił z miasta ze świeżą porcją informacji.

– Przecież i tak dawanie jest zabronione.

– Ale teraz nie będą dawać nawet nielegalnie i może to wstrząsnąć rynkiem.

– Niby dlaczego? – rozumienie procesów ekonomicznych nigdy nie było najmocniejszą stroną Wronisława Gomorrowskiego.

– Choćby dlatego, że ze względu na brak łapówek dla policjantów będziemy musieli podnieść płace w resorcie. Ludzie korzystający dotąd z usług tych pań stracą do reszty motywację do pracy, zbankrutuje kilka sektorów gospodarki – od kosmetyków po bieliznę damską...

– To straszne – jęknął prezydent.

– Też pełen jestem najgorszych obaw – skwapliwie zgodził się Obwarzan. – Tym bardziej że wracam właśnie z kliniki...

– A coś ty tam robił? Badałeś się...

– Odwiedziłem naszego przyjaciela Ryszarda Klawisza; nie wiem, czy pan prezydent wie, ale w zamieszaniu bitewnym został wykorzystany seksualnie przez aktyw wszystkich możliwych orientacji.

– Niewiarygodne. Biedny człowiek.

– Najstraszniejsze przydarzyło mu się na koniec. Kiedy leżał bez

ducha na trawce w parku Ujazdowskim, obsikał go pies.

Pośmiali się chwilę, po czym odprężony nieco Gomorrowski kazał łączyć się z premierem. Ten jednak, jak to często bywało, nie odbierał.

*

Trzeba było godzinnego masażu psychicznego przy pomocy czterech szamanów i dwóch hostess, aby Ronald Duck nieco się pozbierał. W międzyczasie dotarł do kancelarii minister Limoniak, który zapewnił, że sytuacja została opanowana.

– A w Turonii? – zapytał Duck. – Też ją opanowano? „Cholera, on wszystko wie – przemknęło przez głowę ministrowi defensywy. – Ciekawe skąd?”

Ronald nie tylko wiedział, ale też był niezwykle wkurzony:

– Dlaczego nikt mnie nie poinformował, że od trzech dni ten moherowy zaścianek nie poddaje się rygorom stanu przyjemnego? Jak długo ma to jeszcze trwać? No?!

Szczęśliwie się złożyło dla Tomasza Limoniaka, że właśnie zameldowano o przybyciu szwedzkiej pani kanclerz, której towarzyszył feldmarszałek korpusu sojuszniczego o imieniu Arvid; jego nazwiska nie dawało się w Polsce wymówić, toteż wszyscy nazywali go Wittenbergiem.

– Za dwie godziny chcę mieć raport w sprawie Turonia i decyzję o zakończeniu tamtejszego protestu – rzucił premier do Limoniaka i wybiegł na spotkanie chudej Szwedki, która w poniedziałek miała,

jak by nie było, objąć stanowisko nadpremiera.

Wydukał po szwedzku formułę powitalną, ale niespecjalnie udobruchało to panią kanclerz. Na feministce i zdecydowanej lesbijce karesy Polaka nie robiły najmniejszego wrażenia. W dodatku była zmęczona i wściekła. Ledwie przybyła do Warszawy, natychmiast utknęła w gigantycznych korkach, a poza tym, żeby dostać się bezpiecznie do siedziby premiera, musiała wędrować dawnym tunelem prowadzącym z ambasady Rosji. Co gorsza, wjazd do owego korytarza, jeśli nie chciało się wchodzić na teren ambasady, prowadził przez studzienkę kanalizacyjną w pobliżu hotelu Hayatt, co pani kanclerz, w szpilkach i pięknej letniej sukience, dostarczyło nadzwyczajnych wrażeń.

Ronald zaprosił ją do pokoju strategicznego w kancelarii. Skądinąd było to jedyne miejsce, do którego nie docierał gaz łzawiący. A przynajmniej można go było ignorować.

– Wszystko jest pod kontrolą – powitał ją, mocno załzawiony, choć bardziej z wściekłości. – To były jedynie rozruchy na tle seksualnym! Grupki nielicznych oszołomów niesłusznie usiłują przypisać temu znaczenie polityczne. Zresztą ekscesy już zostały stłumione. Rząd panuje nad sytuacją.

– A potrafi zagwarantować, że coś takiego się nie powtórzy? – Szwedzka tryskała uśmiechnęła się zjadliwie.

– Oczywiście! W najbliższym czasie nie będziemy wydawać zezwoleń na żadne demonstracje, nawet poparcia przyjaźni polsko-szwedzkiej. Naturalnie, oprócz kija pojawi się też marchewka. Od

poniedziałku aktywowi młodzieżowemu będziemy rozdzielać darmo prezerwatywy, a popierającym nas emerytom viagrę!

– A te panie? – Szwedka wskazała na półnagie niewiasty, z których kilka bezczelnie wdrapało się na drzewa w alejach; policja daremnie próbowała je stamtąd ściągnąć, a widząc, że to się nie udaje, wezwała w końcu straż pożarną.

– Moi doradcy myślą o zorganizowaniu dla nich wczasów u was.

– U nas?

– Konkretnie w Laponii. Nic tak nie reedukuje jak dużo ruchu na świeżym powietrzu przy temperaturze minus trzydzieści stopni.

– Skłaniałbym się ku innemu rozwiązaniu – włączył się Wittenberg, dotąd siedzący cicho.

– Mianowicie?

– Odstąpieniu na czas przejściowy od stosowania szwedzkiego prawa w tym zakresie. Jak wiecie, poszliśmy wam już na rękę w sprawie oscypka i bigosu, mimo niespełniania przez nie naszych norm sanitarnych, a także ustąpiliśmy w kwestii śmigusa-dyngusa i topienia Marzanny, chociaż w tej sprawie jest akurat negatywna opinia Światowej Organizacji Zdrowia. – Ronek usiłował wpaść mu w słowo, że jego postulat, aby w Polsce poniechać palenia na głowie koron ze świec w dniu świętej Łucji, został przez Szwedów odrzucony, ale nie mógł dorwać się do głosu. – Uznaliśmy też, specjalnie dla was, że kalarepa to owoc, a ogórki i kapustę wolno kisić w latach dzielących się przez dwa. A zatem uznajmy, że przydrożna prostytutka wchodzi w zakres szeroko rozumianej sztuki ludowej, i nie

będzie sprawy.

– Doskonale – ucieszył się Duck. – Sam chciałem to zaproponować! Choć z drugiej strony dusza we mnie się burzy, że miałyby ujść im bezkarnie to zakłócanie porządku...

– Zemsta najlepiej smakuje na zimno – uśmiechnął się Wittenberg, a pani kanclerz, wyraźnie mniej łaskawa od niego, dorzuciła:

– Rzecz jasna, zezwalając na ów niecny proceder, należy objąć go podatkiem dochodowym i obrotowym...

– Mam nawet dobrą nazwę: „podymne”!

– VAT-em, składką zdrowotną, ubezpieczeniem od nieszczęśliwych wypadków, a także taksą klimatyczną. Każda z tych pań musi mieć przy sobie obowiązkowo kasę fiskalną. Nadto należy wprowadzić instytucję donosu obywatelskiego dla klientów, którzy chcieliby korzystać z usług na czarno. Zobaczycie, jak prędko problem sam się rozwiąże.

Ronald tak się ucieszył z propozycji, że machnął kozła jak napastnik piłkarski po strzeleniu bramki, potem pożegnał dwornie panią kanclerz, która, nieco zmęczona, drogę do rezydencji w Wilanowie miała przebyć helikopterem.

Natomiast pan feldmarszałek jakoś nie kwapił się do odejścia. Kiedy drzwi za Gabriellą się zamknęły, nalał sobie whisky do pełna i rzekł do Ducka:

– Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę, Ronek. Widziałem przed chwilą, jak wasz BOR zgarniał kilka wyjątkowo świeżych galerianek; chętnie bym z nimi porozmawiał o problemach wieku dorastania.

– Naturalnie, mamy przysłać ci towar do hotelu? – Wittenberg
ściągnął krawat.

– A po co do hotelu, kiedy można na miejscu?

VIII

7 CZERWCA 2020 ROKU, NIEDZIELA -

8 CZERWCA 2020 ROKU, PONIEDZIAŁEK

Po obejrzeniu fascynującej transmisji z Warszawy Janosik udał się do miejscowego baru, gdzie napotkał górali z grupy Franka od Nosala, bardzo ożywionych tym, co widzieli w telewizji.

– Ja bym mojej Maryny tam nie puścił w życiu – twierdził jak zwykle wygadany Pyzdra. – Chociaż protest w zasadzie słuszny jest.

– Powiadają, że wedle szwedzkiego prawa zabronione są wszelkie intymne kontakty z inwentarzem żywym – odezwał się Gąsior, który zanim zaczął zbójnikować, obronił doktorat z psychiatrii seksualnej.

– Co takiego? – dopytywał się nieduży, acz wielce ruchliwy Kwiczol, którego sława podrywacza sięgała od Orawki po Szczawnicę.

– Ano to, że bezkarnie już swojej owieczki nie wydutkasz – wtrącił Pyzdra, a w świecie bywały Gąsior dorzucił:

– Nawet se kopnąć jej nie będziesz mógł, bo za kopnięcie zwierzęcia będzie groziła kara więzienia do lat pięciu. Więcej niż za napad na bank.

– A za kopnięcie baby? – zapytał Pyzdra, któren cieszył się zasłużoną opinią damskiego boksera.

– Mniej, chyba że własnej, bo to podpada pod przemoc w rodzinie.

– Nie może być! – wrzasnął Pyzdra, który miał już mocno w czubie. – Nie będą nas heretyckie Szwedy uczyć, jak żyć i co pić...

– Ale spróbują! – krzyknął Gąsior. – Byłem w Sztokholmie, to wiem, że u nich wolno pić tylko w piątek, no i poprawić w sobotę. Ale potem przez całutką niedzielę to już ani grama!

– Jakże to? Nie napić się po kościele?

– No, bo w niedzielę trzeba całkowicie wytrzeźwieć, a w poniedziałek iść do roboty.

– W poniedziałek do roboty? – szmer zgrozy i niedowierzania poniósł się po całej izbie. – Hańba, hańba!

– A właśnie, co my pijemy? – rzucił Pyzdra do Walusia barmana, a ręka z kieliszkiem zastygła mu w połowie drogi od stołu do ust.

– „Laponię” – odpowiedział niebacznie tenże i bardzo tego pożałował, bo Pyzdra odrzucił od siebie ze wstrętem kieliszek, chwycił ledwie rozpoczętą flaszę i roztrzaskał ją o głowę Walusia. Potem przeskoczył przez szynkwasy i stanąwszy przed półkami, począł wybierać i roztrzaskiwać kolejne butelki. I tak poszła w drobiazgi wódczana arystokracja: i „Finlandia”, i „Viking”, i „Absolut”, i „Nordstream”, i koniak „Wasa”, i likier „Bernadotte”, a potem już wszystkie inne butelki mające naklejki z napisami brzmiącymi choćby trochę po skandynawsku... Inni górale, w tym Janosik, w patriotycznej gorączce ruszyli za nim, przy czym polską wódkę pito, a obcą niszczone, co w efekcie wychodziło na jedno i to samo. Wieść o incydencie błyskawicznie rozeszła się po całym Zakopanem i całe

rzesze dzielnych góralików ruszyły w ich ślady.

Przybyłej ze znacznym opóźnieniem policji Janosik rzucił w twarz:

– Nie będzie Szwed rozpijać nam społeczeństwa. I film mu się urwał.

*

Wracali z Warszawy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, choć dla bezpieczeństwa postanowili podróżować do Turonia okrężną drogą. Zgadziali się, że dzieło rozpoczęte w stolicy winno zaprocentować, jednak co się tyczy planów na przyszłość, pomiędzy Kordianem a Emilią zarysował się znamieny konflikt. Fajansówna myślała głównie o obronie swych grupowych interesów (z drugiej strony, kiedy zobaczyła przy wylocie z miasta puste miejsca i dwa porzucone plastikowe wiaderka swoich podstołecznych koleżanek, przeszedł ją dreszcz), Kordian zaś postanowił na razie bronić tego, co mu najbliższe, to znaczy matki, małej Patrycji, a także Emilii, choć to w gruncie rzeczy sprowadzało się do obrony przed nią samą. Po zajęciu sejmu i senatu dziewczyna w ferworze walki gotowa była wziąć się za pobliską Giełdę Papierów Wartościowych. Na szczęście nietracący jej ani na chwilę z oka młodzian za rękę ją porwał, zakamarkami koło sejmu poprowadził i zbiegł schodami na Powiśle, gdzie ukrył motor. Bocznymi ulicami przebili się przez miasto, wszędzie dekorowane portretami króla, pani kanclerz i Ronalda Ducka, a także napisami: „Z koroną szwedzką po wszystkie czasy”

(przy czym nawet intelektualiści nie wiedzieli, czy bardziej chodzi o monarchię, czy o walutę). Potem ich motor, trzymając się nieoznakowanych ścieżek, ominął kontrolę na rogatkach i już wkrótce wchłonął ich chłód Puszczy Kampinoskiej.

Chamiak jechał z rosnącym animuszem, czując coraz mocniejszy nacisk na plecy. Czy pannie Fajans w trakcie jazdy urosły piersi, czy też obejmowała go wciąż mocniej, w każdym razie niewątpliwie rozpraszała uwagę motocyklisty, który – lubo wzrok miał sokoli – nie dostrzegł konara leżącego w trawie na dróżce. Najechna przeszkoda wyrzuciła ich jak z katapulty. Padli w poszycie leśne, unikając poważniejszych obrażeń, motor jednak miał mniej szczęścia od nich – po powietrznej walcie zderzył się z metalowym słupem linii wysokiego napięcia i uległ dość poważnej destrukcji.

– I co teraz? – zapytała Emilia, kiedy stanęli na nogi. – Tego się chyba nie da naprawić?

– Nie da.

– W takim razie co zrobimy?

– Pójdziemy pieszo, wytrzymasz?

– Pewnie, że wytrzymam! – Chciała nawet dodać, że ma w nogach tyle kilometrów przespacerowanych po poboczach dróg, że mogłaby pieszo dojść do Rzymu, ale ugryzła się w język. Kordian znał wprawdzie jej profesję, ale wołała mu oszczędzić zawodowych szczegółów.

Od chwili kiedy Michałko przestał być wrażliwy na jej wdzięki, czuła się nieco samotna i zdezorientowana. A ten Kordian? Podobała

jej się jego zawadiackość, śmiałość, odwaga, ale bez brawury... Poza tym był pierwszym mężczyzną, jakiego znała, który choć postawny, był również inteligentny.

Szli więc pieszo, dzień był pogodny, czerwcowo długi... Tyle że ani razu nie natrafili na żadną ludzką sadybę. Nie powinno to specjalnie dziwić; gdy w naszych lasach zaaklimatyzował się dziki zwierz z tropików, ostatni tubylcy puciekali do miasta, oddając las we władanie jego właścicielom, pierwotnym i napływowym. Dlatego nieszczerólnie zaskoczyło ich stadko łosi, ale już ślad niedźwiedzia na bagnistej dróżce trochę Emilię zaniepokoił.

– Spokojnie, o tej porze są najedzone i rzadko atakują ludzi – pocieszał ją Kordian.

– Denerwuję się, że idziemy, idziemy, a mam wrażenie, jakbyśmy stali w miejscu.

– Natrafimy w końcu na jakąś osadę.

I jakby na zamówienie ukazała się chatynka drewniana, stareńka, niczym z rycin do baśni braci Grimm wyjęta. Nad kominem dymu wąska stróżka, kotek na okienku śpiący, podobnie przed progiem pies rasy labrador skrzyżowany z alaską, który – czując gości – jedno oko otworzył i leniwie merdnał ogonem, także obok na ławeczce uspiiony staruszek, niewielki, przygarbiony, brodaty jak – nie przymierzając – mieszanka krasnala ze Świętym Mikołajem, tyle że bez czerwonej czapeczki.

Piesek szczeknął, leśny dziadek się obudził, czym udowodnił, że nie jest jedynie gadzetem ogrodowym, za jakimi od lat przepadają

przedstawiciele klasy średniej.

– Bądźcie pozdrowieni, wędrowcy! – zawołał.

– I nawzajem – odparła Emilia i dygnęła w sposób, w jaki ostatni raz czyniła to podczas Pierwszej Komunii Świętej.

– A dokąd to Bóg prowadzi? – zapytał dziadyga.

– Przed siebie – odpowiedział Chamiak, ze szkoleń bowiem wyniósł naukę, że w wypadku napotkania tubylców nie należy:

a) spoufalać się z nimi,

b) za dużo gadać,

c) o celach misji informować.

– A skąd idziecie? – pytał niezrażony staruszek.

– Pan policjant? – zainteresowała się Emilia.

– Nie, pustelnik! – zaśmiał się dziadek, ukazując garnitur iście, hollywoodzkich zębów, ewenement dość rzadki u typowego eremity.

– Świat grzeszny, ku zatracie idzie, tedy czekam na jego rychły koniec tu, na łonie przyrody, zioła zbierając i z bydłatkami gwarząc.

– A ma pan co do jedzenia? – zapytał Kordian, który zgłodniał okrutnie. – Chętnie zapłacimy.

– Naturalnie, a czego dusza potrzebuje? Mleka, sera, miodu?

– Czemu nie... Może być i mleko, i ser, i miód.

– Tego akurat nie posiadam, ale mam mielonkę turystyczną, byczki w tomacie, krakersy, a także burbon i whisky.

– Ciekawe menu – skomentowała Emilia.

– Toż samo mawia mi duch puszczy, który błąka się po mokradłach i wpadnie czasem nocką na preferansa, a ja mu wtedy

powiadam: trzeba iść z duchem czasu, duchu. – Tu zwrócił się do pieska: – Aport, Szarik, aport! Nie po strzelbę. Do lodówki, kundlu!

Pies obrócił z pięć razy, przynosząc w pysku wiktuały, tak że rychło mogli zasiąść do konsumpcji. Myśleli, że stary zacznie ich wypytywać o wieści z szerokiego świata, ale miał, jak się okazało, tablet, laptop i łącze satelitarne, choć – jak twierdził – rzadko z nich korzystał, albowiem denerwować się nie lubił.

Funkcjonariusz BOR-u zrazu pić nie chciał, tłumaczył, że służąc krajowi, odwykł od napojów wysokowych, jednak stary z sobie tylko znanego powodu toasty wznosił tak misterne, że wstyd i srom byłoby nie wypić. Chamiak nie mógł przecież, jak Emilia, tłumaczyć, że bierze antybiotyki. (Swoją drogą, na co ona brała?)

Tymczasem dziad nawijał jak katarynka.

Mówił na przykład: „Idzie Czerwony Kapturek przez las, aż tu wypada wilk w owczej skórze, a Kapturek wyjmuję giwerę i bęc wilka między oczy... Wypijmy zdrowie naszej praworządności ukochanej, bo bez niej szczęlibyśmy jak nieboraki”. I jak było nie wypić? Albo: „Leży w trumnie Śpiąca Królowna, leży jak kłoda, nijak ją zbudzić, nijak przerznąć... Aż przyjeżdża piękny królewicz z Niemiec, pochyla się, całuje... Królowna się budzi. A królewicz mówi; Ausweiss, bitte! Wypijmy za zdrowie Unii Europejskiej, w której takie rzeczy są nie do pomyślenia”.

I jak tu nie wypić?

Albo: „Idzie sobie Jaś z Małgosią do lasu, pogoda kiepska, rosa wszędy, od ziemi ciągnie przygruntowym przymrozkiem, pałatek nie

mają na sobie, ciągnie niepomiernie. Naraz widzą – chałupka na kurzej łapce, neon: «Pokoje na godziny, trzecia godzina gratis»... Wypijmy zdrowie prywatnej przedsiębiorczości, która nawet z Baby-Jagi potrafi zrobić agentkę towarzyską!”

I jak tu...?

Po kolejnym spełnionym do dna toaście Chamiakowi w oczach pociemniało, osunął się na ziemię, a dziad, który bądź symulował picie, bądź miał łeb jak mały Cygan nogę, szybko do chatki skoczył, z nieczynnego piecyka radiotelefon wyjął i dawaj nawijać:

– Ja brzoza, ja brzoza, melduję o dwojgu podejrzanych osobnikach... – Wszelako nie skończył ani nawet na dobre składać meldunku nie zaczął, bo Emilia polanem w głowę go pacnęła, a następnie pociągnęła za rękę Kordiana, wołając:

– Chodu! Pieprzony tajny współpracownik, gliny przeciw nam zawezwał!

Niejedno w swoim krótkim życiu przeszła, na przykład miała już w swej karierze klienta, sto osiemdziesiąt kilo żywej wagi, któremu lekarz seks na receptę zapisał, a NFZ to nawet refundował, jednak targanie przez puszcę, gdy zmierzchać się zaczęło, blisko dwumetrowego faceta, który zatacza się, śpiewa, wejście w związek małżeński obiecuje, było naprawdę zajęciem trudnym i wyczerpującym.

W dodatku raz niedźwiedź im drogę zaszedł, ale sprayu używać nie musiała, bo odór alkoholu buchający od Chamiaka odstraszyłyby nawet głodnego tyranozaura. Jednak po niecałym kilometrze była

zmęczona tak okrutnie, że widząc polankę z trawą wysoką po pas, pozwoliła leć na niej Kordianowi, a sama poszła nad pobliski stawek, siadła na korzeniu wystającym ponad wodą i w blasku księżycowym rozmarzyła się nadzwyczajnie, albowiem kiedyś dawno, czyli ze trzy lata temu, była dziewczyną romantyczną, sentymentalną, tylko nie miała możliwości, aby ten życiowy wariant kontynuować.

*

Tymczasem Kordian zasnął natychmiast i sny opadły go zaraz dziwne, realistycznie surrealistyczne.

Oto śnił, że trzymał wartę nocną w specjalnej rezydencji nr 3, czyli w pałacu w Wilanowie, gdzie w wielkim łóżu spali pospołu kanclerz z Berlina i car z Petersburga, w nogach zaś, co i tak było wielkim wyróżnieniem, którego nie dostąpiłby byle Słowak czy Portugał, drzemał czujnie jak zając Ronek Duck, gotowy w każdej chwili usłużyć, w każdych okolicznościach choćby podać prezerwatywę znanej w całym świecie firmy Kondominium.

On sam zaś, porucznik Kordian Chamiak, stał na korytarzu w paradnym mundurze Księstwa Warszawskiego, ale za to z dobrym izraelskim uzi w ręku, i myśli przeróżne kłębiły mu się w głowie. Co rusz z głębi pomieszczeń wypływały koszmary do dziwnych zwierząt apokaliptycznych podobne, obłądnie pokraczne, a nosiły imię Strach oraz Imaginacja.

Mówiła Imaginacja wierszem:

Będzie, co będzie, sianie się, nie stanie,
puść krótką serię i spieprzaj, Kordianie.

Ale zaraz wtrącał się Strach z własnym tekstem:

Nie będzie sławy, nie będzie forsy,
bo na ich miejsce zjawią się gorsi!

Więc co rusz palce oficera biegły ku bezpiecznikowi, ale zaraz cofały się lękliwie, jak kurczaki na widok kołującego na nieboskłonie krogulca.

– Ha – mówił do siebie Chamiak. – Ha! Gdyby był tam jeszcze król szwedzki, można by zaryzykować, a tak...

A tu już drzwi się otwarły i ze wszech stron pojawili się antyterrorysty w kominiarkach na twarzach. Nogi mu podcięli, uzi wytrącili, ktoś w pysk go walnął, inny w krocze kopnął.

Równocześnie rozległ się rozdzierający krzyk Emilii, który go przywrócił do rzeczywistości. Znikły Belweder, Strach oraz Imaginacja, ale napastnicy pozostali. Czterech ich było, niedomytych szczeniaków, podwarszawskich łachudrów, przekonanych, że jakiegoś podchmielonego frajera znaleźli. Dwóch innych dopadło Emilii; kieckę jej zerwali, także majty, i dawaj, brać się do gwałcenia, mimo że już dobrą dekadę temu pewien autorytet moralny upierał się, że nie można zgwałcić prostytutki.

– Puszczajcie, gnojki!

Ciekawe, że panna Fajans, choć pozbawiona torebki z akcesoriami do samoobrony, broniła się nader dzielnie: pazurami twarz jednemu rozorała, drugiemu ucho prawie odgryzła.

Jej przykład zachęcił Chamiaka. Lubo skacowany, dysponował nieprzebranymi zasobami techniki, o której wyrostki nie miały bladego pojęcia.

Walka trwała dłużej niż zwykle przy takich okazjach, między innymi dlatego że Kordian nie chciał zabić ani poważnie uszkodzić tych szczeniaków, których prowodyr okazał się zresztą ostrzyżoną na zero dziewczyną. Ostatecznym argumentem rozstrzygającym na jego korzyść był pistolet, wydobyty z kabury przy łydce, i wystrzał w powietrze.

Gówniarze zaraz stracili serce do walki, a dwaj zmagający się z Emilią ustąpili przed perswazją.

– Chłopcy, dajcie spokój tej pani, zanim stanie się jakieś nieszczęście – ostrzegł Chamiak.

No, to dali spokój, widząc, co przydarzyło się ich kolegom. Jeden z pękniętym nadgarstkiem pochlipywał żałośnie, dwóch niezdarnie próbowało powstać na nogi. Tylko dziewczyna herszt wykazywała jeszcze pewną czupurność.

– Powinien pan być nam wdzięczny, a nie przemoc wobec młodzieży stosować! – pyskowała.

– Ja?

– Gdyby nie my, w tym zagonie marychy mógłby się pan nie

obudzić – stwierdziła, wskazując na skotłowany zagonek.

„A więc stąd te zwidy!” – przemknęło przez myśl Kordianowi i głośno zapytał: – Skąd się tu wzięliście?

– Dziadek doniósł, że jakiś glina chce się dobrać do naszych upraw – wyjaśniła prowodyrka.

– Przeciwno waszym uprawom nic nie mam, ale jak wejdzie tu szwedzkie prawo, będzie po waszym interesie – rzekł Chamiak.

– Jak to? – zdziwili się. – Przecież narkotyki mają być teraz dozwolone?

– A nawet refundowane, tyle że to właśnie uczyni waszą puszczańską produkcję całkiem nieopłacalną.

– O, kurde! – westchnęła dziewczyna. – To co mamy robić?

– Pomagać tym, którzy chcą Szweda pogonić za Bałtyk – odpowiedziała Emilia, której udało się odnaleźć torebkę i doprowadzić do ładu garderobę. – A na pewno nie przeszkadzać.

– Czyli wam? A wy kto? Rycerze Mocy?

– Polacy.

Rozstali się w doskonałej zgodzie. Wolni hodowcy maku, konopi i innej zieleniny odprowadzili ich aż do brzegu Wisły, załatwili łódkę u znajomego rybaka, a przy pożegnaniu stwierdzili, że są jak najbardziej za walką ze Szwedami i jeśli padnie hasło: „Do boju!”, można na nich liczyć.

Dzień obudził się już piękny i wstało słońce ogromne i czerwone, jak – nie przymierzając – na fladze Cesarstwa Japonii. Przewoźnik, zrazu milczący i nieufny, siedział przy sterze i tylko co rusz na Emilię

przekrwionym okiem łypał. Jednak gdy ta opowiedziała barwnie o demonstracji swych współsióstr w Warszawie, wyraźnie nabrał zaufania, a nawet podjął się zawieźć ich aż do Włocławka.

– Brzegiem niedobrze, młodzi! – mówił. – Wszędzie pilnują, psiajuchy, i czepiają się byle czego. Wraca człek z rybami, pytają się o pozwolenie na odłów i działkę ciągną, wraca bez ryb, maglują o cel pływania. Niechby i Szwedy zrobiły z tym jakiś porządek.

Była to wcale nie rzadka opinia, w Polsce całej bowiem nie brakowało ludzi wierzących, że tylko obcą ręką można ogólny bardak ukrócić, jakby nie zauważali, że wszyscy na owym bardaku korzystają.

– A jak łowicie ryby? – zapytał Kordian dla paddierzania razgawora. – Wędką, niewodem?

– A kto by wędką łowił, petardami głuszę.

– No, to powinniście wiedzieć, że w nowym polsko-szwedzkim prawie w rozdziale o ochronie praw roślin i zwierząt jest paragraf, wedle którego takie praktyki podlegają karze więzienia do lat dziesięciu i konfiskacie mienia.

– O, łachudry! – wrzasnął kłusownik. – Niedoczekanie ich. Co by katolik w piątek jadł, gdyby nie moja działalność?!

Jak na zamówienie z rzecznej przystani wyłoniła się motorówka śmigła, udekorowana flagami Polski i Szwecji, i puściła się w ślad za nimi. Stary tylko zaklął i zwiększył tempo.

– O co im chodzi? – zastanawiała się Emilia.

– Może o wszystko, może o to, że przekraczamy szybkość albo za

głośno silnik pracuje, albo gonią nas z innych ważnych względów społecznych – stwierdził rybak.

Stara krypa nie miała najmniejszych szans w konkurencji z nowoczesnym ścigaczem, toteż dystans pomiędzy nimi począł błyskawicznie maleć, aż skurczył się tak, że słyhać było twardy głos przez megafon.

– W imieniu Unii Polsko-Szwedzkiej, zatrzymajcie się! – zagdakało w dwóch językach wprawdzie, za to zdecydowanie nieprzyjaźnie. – Nie macie szans, a za stawianie oporu władzy grożą poważne konsekwencje.

Ale kłusownik tylko tempo zwiększył. Kordian zastanawiał się, czemu pędzą otwartym nurtem, zamiast skierować się ku brzegowi, gdzie pełno zatoczek, łach i ostrowów, w których skryć się można, tym bardziej że poranne mgły płożły się jeszcze nad łąkami i szuwarami. Widocznie jednak rybak wiedział, co robi.

– Weź ster – powiedział naraz i wskazując rosnącą w oczach wysepkę, właściwie wiślaną łachę ledwie z paroma drzewkami, dodał: – Wyminiesz ją w ostatnim momencie.

– Z prawej czy z lewej strony?

– Może być od lewej.

Sam wygrzebał spod ławki kilkanaście petard, powiązał je razem, ale tak, że zasłaniała je burta.

Łódź policyjna znajdowała się już kilkanaście metrów za nimi, toteż doskonale widzieli zacięte twarze policjantów wodniaków i broń trzymaną w pozycjach bojowych.

– Teraz! – krzyknął rybak i cisnął za siebie ładunek.

Fontanna wody wzbiła się jak po wybuchu bomby. Chamiak płynnie wyminął ostrów, oślepieni policjanci nie zdążyli pójść za nim i wtarabanili się całym impetem pomiędzy korzenie. Jeszcze chwila, a wybuchły zbiorniki z paliwem, co zwykle sprawia wiele radości miłośnikom filmów sensacyjnych.

– Na Boga! – zawołała Emilia. – Cóżżeś zrobił najlepszego, człowieku?

– Spełniłem tylko swój obywatelski obowiązek.

*

Dalszą część podróży odbyli dosyć egzotycznie, choć zdecydowanie spokojniej. Można rzec: w klimacie spokoju wiekuistego, w mikrobusiku należącym do firmy „Doktor Styks”, służącym zazwyczaj jako pogrzebowy karawan. Centralne miejsce zajmowała w nim ogromna, ocynkowana trumna, która – jak wytłumaczył im kierowca – służyła teoretycznie do przewożenia zwłok ludzi zmarłych w wyniku ciężkich chorób zakaźnych, takich jak Ebola, denga czy nagły wypadek dżumy na obszarze Wspólnoty Nieodległych Państw.

– Jak są dobre papiery, to nikomu, a już szczególnie dbałym o higienę Szwedom, nie przyjdzie chętka na otwieranie skrzyni – wyjaśniał ów rezolutny chłopak spod Popowa, twierdzący przy każdej okazji, że jest jednym ze 173 nieślubnych dzieci Wielkiego Elektryka,

z czasów, kiedy zadawał szyku w miejscowej remizie Ochotniczej Straży Pożarnej. Oczywiście istniało na ten temat oficjalne dementi, tyle że z jakiegoś powodu wszyscy wspomniani „potomkowie” pobierali z łaski Ronalda Ducka skromną zapomogę od wdzięcznej ojczyzny.

– Rozumiem, że nie przewozicie tam żadnych nieboszczyków? – pytała Fajansówna, która w wypożyczonej woalce wyglądała jak dystygowana wdowa (Chamiak również przyoblekł się w czern).

– Czasem zdarzy się tam i nieboszczyk, ale przeważnie są to ryby z nielegalnego odłowu.

Całości pogrzebowej ekipy dopełniał fałszywy ksiądz, drzemiący na przednim siedzeniu, były organista i aktualny alkoholik, który miał wyjątkowo odpowiedni wygląd do ostatniej posługi, a nadto – gwałtownie zbudzony – błyskawicznie odzywał się: Orate Fratres albo: Oremus, albo jeszcze jakimś innym zwrotem wedle rytu trydenckiego. Na drogę zaopatrzyli się w dwa komplety papierów, jeden do Lipna, a drugi z Lipna do Turonia, jako że transportowanie zwłok na jednym tak długim dystansie mogło wzbudzić czyjeś podejrzenie. W Lipnie napotkali też pierwszych Szwedów, którzy – dostarczani jako wsparcie czy raczej nadzór polskich władz – zajmowali kraj powiat po powiecie, zaczynając od północy, na podobieństwo szarańczy. Tyle że ta nadlatuje przeważnie z południa.

– Dziwni to jacyś Szwedzi – dziwowała się Emilia. – Znałam paru, wszystko wysokie blondyny, a toto małe, czarniawe, wąsate, brodate...

– Musi Lapończycy...

– *Pax vobiscum!* – zamruczał naraz rozbudzony organista. – Żadne to Lapończyki, jeno Arabcy czystej krwi, które w Szwecji już sześćdziesiąt procent populacji stanowią. Dzięki układowi z nami mają okazję wyeksportować całe to bractwo do nieszczęsnej Polski...

Kordian zdusił przekleństwo, a fałszywy ksiądz kontynuował:

– Już wyszło zarządzenie biskupa, aby w każdej miejscowości udostępnić im jeden kościół celem przerobienia na meczet. O, Panie, który to widzisz i nie grzmisz! – To powiedziawszy, ponownie zasnął.

Chamiak zamyślił się poważnie. Jeśli była to prawda, to w narodowej koalicji, prócz prostytutek, złodziejów, kłusowników i narkomanów, można było liczyć również na część duchowieństwa.

*

Do Turonia dotarli w poniedziałek o zmierzchu. Spodziewali się kłopotów na rogatkach, ale ku swemu zaskoczeniu granicę miasta pokonali bez trudności. Owszem, czuwał tam patrol szwedzki, ale jakiś niewielki, bez polskiego pomagiera, a nawet bez tłumacza. Komendant, wyglądający jak rodzony brat Osamy bin Ladena, z ważną miną zerknął w papiery; ale nie pokapowawszy z nich nic, machnął tylko ręką i gestem nakazał jechać dalej.

– A gdzie tłumacz? – zapytał po angielsku Kordian.

– Chory, na zwolnieniu – odpad komendant.

Później się okazało, że zdecydowana większość turońskiej policji i straży miejskiej już od rana powędrowała na chorobowe, nie chcąc

w wypadku starcia ręki na sanktuarium podnosić. Minęli starówkę, wyludnioną jakoś, mimo że zwykle o tej porze roiło się tu od turystów. Nikt nie blokował dostępu również do turońskiej Alma Mater.

Tam przywitano ich jak zmartwychwstańców. Trwała wprawdzie kolejna msza za ojczyznę, ale nawet pani Salomea zaliczyła ich tego dnia już parę i miała dosyć, toteż przebywała w bibliotece, gdzie Michałko wspólnie z Patrycją Osierdzie kończyli pracę nad projektem o nazwie „Chiński serwer”.

Kordian przedstawił wyniki i wnioski ze swej podróży. Wspomnił o kolorowej policji i zmianie nastrojów w mieście.

– Wiemy o tym – rzekł ksiądz Marek – i upewnia nas to w przekonaniu, że jesteśmy pod Bożą opieką.

– A kiedy ruszy ta wasza telewizja? – zapytała Emilia.

– Nasza! – poprawił haker, spędzając z kolan Patrycję. – Technicznie jesteśmy prawie gotowi, pozostaje jeszcze kwestia, co zechcemy nadawać.

– Z tym nie ma kłopotu. – Pani Salomea wyciągnęła ramówkę opartą na wcześniejszych programach turońskich mediów. Kordian prześlizgnął się po niej wzrokiem.

– Z całym szacunkiem, mamusiu, ale na taki program szkoda wysiłku Michałka. Msze, modlitwy, pogadanki katolickie, to ma być program na czas rewolucji?!

– A co powinno tam być, pańskim zdaniem? – zapytał ksiądz.

– Po pierwsze, wiadomości, co piętnaście minut serwis donoszący

o niegodziwościach władzy i aktach oporu przeciwko Szwedom. I to nie ogólnie z grubej rury i z mnóstwem przymiotników. Wroga najłatwiej przygwoździć obiektywnymi szczegółami. Kto, co, gdzie i kiedy.

Ksiądz Marek tylko głową skinął.

– Co jakiś czas w zwięzłej formie powinny być tłumaczone ludziom konsekwencje poszczególnych pociągnięć rządu, które na pierwszy rzut oka mogą wydawać się korzystne – wtrąciła Emilia. – Prosto i efektownie jak w reklamie, tyle że powinna to być antyreklama.

– Tylko skąd weźmiemy te doniesienia? – kłopotowała się pani Salomea.

– Od internautów, z amatorskich filmików kręconych komórkami..
– zauważył Michałko.

– Władza to zablokuje!

– Jak? Musiałaby albo wydać wojnę Chinom, albo zamknąć całą telefonię komórkową w naszym kraju.

– I chcecie zrezygnować z modlitwy? – spytał ksiądz.

– W żadnym wypadku – zaprzeczył dobitnie Kordian. – Modlitwa powinna powracać w programie jak refren. Tyle że bardzo krótki.

– I za każdym razem musi być inna – wtrąciła się Patrycja, która przysłuchiwała się pilnie rozmowie starszych.

– To znaczy?

– No... na zmianę mówiona i śpiewana, przez pojedynczych ludzi i całe grupy, w różnych miejscach...

– Tak, tak! – podnieciła się Emilia. – Trzeba pokazywać małe grupki modlące się przy przydrożnych kapliczkach i tłumy tu, w Turoniu; garniturowców z banków żegnających się przed kościołem i matki składające dzieciaczkom ręce do paciorka.

– Tylko czy starczy nam ekip i sprzętu?

– Jeśli nasz pomysł chwyci, będziemy mieli do dyspozycji całą Polskę – oznajmił niezwykle spokojnie Michałko.

*

Janusz Moczypies wyszedł z wieczornej narady w Pałacu Prezydenckim mocno przygnębiony, klnąc jak szewc z Biłgoraja. Ronek i Wronek wyraźnie nie doceniali powagi sytuacji. Zachowywali się tak, jakby pokładali absolutne zaufanie w Szwedach i własnej propagandzie. Zapewne ostatnie lata rządów, w których trakcie nie napotykali; żadnego oporu wobec swoich działań, sprawiły, że stali się mało czujni, wręcz ospali.

– Sytuacja jest pod kontrolą. – Moczypowski ciągle brzmiały w uszach uspokajające słowa płynące z ust premiera Ducka. – Świat akceptuje naszą transformację, uznaje ją za wewnętrzną sprawę polsko-szwedzkiego królestwa, w kraju dysponujemy pełnym monopolem informacyjnym, episkopat jest podzielony i zestrachany, niezdolny do żadnych działań. Co nam przeszkodzi, jedna rozgłośnia w Turoniu, kierowana przez grupkę nawiedzonych idiotów...?

– Wiele wskazuje na to, że księżule za pomocą terroru

psychicznego opanowali całe miasto – powiedział prezydent.

– Wielkie mi miasto! Wystarczy je izolować i wziąć głodem, a w ostateczności puścić Szwedów, a ci zaprowadzą porządek. I przestańcie wreszcie zawracać mi tym głowę.

„Jakież łatwe mają recepty – myślał Moczypies, jadąc przez uśpioną stolicę. – I nie istnieje żaden plan B. Jakież to typowe. Na szczęście jestem jeszcze ja, były katolik, były dziennikarz, były biznesmen...”

Zajechawszy do domu, chwycił za słuchawkę, po czym kazał w godzinnych odstępach zaprosić do siebie cztery postacie o wielkich nazwiskach. Był wśród nich tęgawy łysol Maciek Skaliński, dawny poseł Brawa i Spolegliwości, kiedyś (wiele hektolitrów temu) wspaniale wyszczekany. Od tego czasu zaciągał się pod różne sztandary, aż wreszcie znikł kompletnie; niekiedy próbował pisać kontrowersyjne artykuły, których z reguły mu nie zamieszczano. Obecnie „Żabka”, jak go powszechnie nazywano, pojawiał się sporadycznie w komercyjnych telewizjach w charakterze eksperta w tak marginalnych sprawach jak ochrona ginących waleni czy zgodny z normami FAO udział masła w maśle, ale zawsze potrafił być zajmujący i przekonywający.

Jako drugi gość zameldował się znany aktor Rafał Rydwański, ongiś mocny filar każdego komitetu honorowego Partii Obiecanek, wszelako od czasu kiedy jego żona wybrała sobie na partnera obrotnego ministra z kancelarii prezydenta, był wedle opinii publicznej mocno z aktualną władzą skłócony. A wrodzona próżność

nie pozwalała mu sprostować opinii na temat własnej niezależności.

Po nim, lekko spóźniony, przybył Tobiasz Wydra, znany dziennikarz, który – pokłóciwszy się o pieniądze za program – wyleciał z telewizji publicznej, a ponieważ wcześniej wyleciał już ze wszystkich liczących się stacji, obecnie prowadził w Internecie koncesjonowany program *Żarty z karty*, dogryzający władzy, choć skądinąd czynił to z konieczności.

Na koniec wkroczył profesor Erwin Rosenholtz, stara sprzedajna menda wysługująca się wszystkim ekipom od czasów komuny, którego pozycję publiczną wspierała opinia, że otarł się o Nobla. I faktycznie się otarł, w sposób jak najbardziej dosłowny. Na skutek jakichś przedziwnych pomyłek, a może tylko złośliwości zawistnych kolegów, pojechał był do Sztokholmu w wypożyczonym fraku, przekonany, że zostanie laureatem za rok 2019. Kiedy się dowiedział, jak z niego zakpiono, upił się, wpadł w szał, podarł frak i zdemolował hotel, tak że śpiesznie wydalono go w kaftanie bezpieczeństwa.

W kontekście obecnej sytuacji to, że przed rokiem rozbił nos szwedzkiemu kierownikowi recepcji, pasowało go nieomal na bohatera narodowego.

Moczypies najpierw porozmawiał z każdym z osobna, a następnie, zebrawszy ich w kupę, przedstawił wszystkim propozycję nie do odrzucenia. I wszyscy tę propozycję przyjęli. „Dla dobra publicznego!”, jak zaznaczył Rosenholtz.

Około trzeciej w nocy spotkanie zakończył krótki toast, wypity samogonem lubelskim, znakomitym ponoć trunkiem, który Janusz

Moczypies produkował przed laty kiedy był jedynie skromnym gorzelnikiem.

– Naprawdę – podsumował spotkanie Rosenholtz, który lubił, gdy należało do niego ostatnie słowo – naprawdę jest tylko jeden skuteczny sposób na rewolucję.

– Jaki?

– Stanąc na jej czele.

IX

9 CZERWCA 2020 ROKU, WTOREK

Wtorek dla połączonych królestw Szwecji i Polski rozpoczął się miło i optymistycznie. Szczególnie jeśli by wyrabiać sobie opinię wyłącznie na podstawie przekazów medialnych. W Szwecji pobito akurat rekord w produkcji zapalek, na uniwersytecie w Uppsali odkryto (w szufladzie jakiegoś noblisty) zupełnie nową cząstkę elementarną, a w starym kościółku w Skanii znaleziono grób, w którym spoczywały szkielety karzełka i dorodnego gąsiora, dowodzące, że historia Nilsa Paluszka nie musiała być jedynie legendą wymyśloną przez Selmę Lagerlof.

W Polsce, według danych służb jawnych, tajnych i dwupłciowych, cały kraj z wyjątkiem Turonia pogodził się z nową rzeczywistością, a proces ustanawiania prezydów szwedzkich dotarł do linii Gór świętokrzyskich. Gdzieniegdzie grupy bab pomstowały na widok oddziału smagłolicych „Skandynawów”, ten i ów księżulo wzdragał się przed przekazaniem świątyni na meczet, ale – żeby oddać sprawiedliwość lokalnej administracji – żaden z wyznaczonych obiektów nie należał do zabytków klasy zero, a przeważnie były to architektoniczne paskudy, do których, jak twierdzili wierni, „jeśli Pan Bóg z poczucia obowiązku zaglądał, to bardzo niechętnie”.

Koło południa na podturońskim lotnisku wylądował mały samolot, własność jednego z wielkich biznesmenów, którym przybyło do miasta czterech czołowych intelektualistów, wiozących list poparcia podpisany przez kilkadziesiąt znanych osób z Warszawy – przeważnie nawróconych grzeszników, ongiś etatowych członków komitetów poparcia, umiarkowanych piewców postmodernizmu i postępu, którzy przejrżeli na oczy. To, że tak łatwo udało im się przelecieć, tłumaczono faktem, że władze zajęte kontrolą dróg i kolei jakoś przegapiły drogę powietrzną. Zresztą przybycie celebrytów miało nieomal magiczny wpływ na zgromadzonych wiernych. Przy okazji jeszcze raz się okazało, jak zawodna jest ludzka pamięć. Jakże szybko zapomniano najgorsze wyczyny Wydry, który w swoim programie telewizyjnym jak nikt pastwił się nad bezradną opozycją, czy też udział Rafała Rydwańskiego w obrazoburczym spektaklu pod tytułem Nowiny z waginy. Przybywających powitały brawa i wiwaty. A nawet odśpiewano im Sto lat, co wzbudziło głębokie rozgoryczenie pani Salomei.

– Czy ci ludzie stracili rozum? – narzekała, domagając się, aby ksiądz Marek zaprosił ją do studia.

– W jakim celu?

– Muszę koniecznie opowiedzieć mój sen o pięknym koszyku, do którego na wkładano całkiem sporo zatrutych owoców...

– Czy mama nie przesadza? Przybycie tych ludzi do nas to przełom psychologiczny w skali kraju – stwierdził Kordian. – Dotąd nikt z tego środowiska nawet nie śmiał opowiedzieć się po moherowej stronie...

Trzeba ich wykorzystać. Poza tym z pewnością lepiej niż my znają się na programie radiowym i telewizyjnym.

– Niewątpliwie – poparł go Wądołowicz – ale mogą nam pomóc w jeszcze jeden sposób.

– Mianowicie?

– Ojcowie są zdania, że trzeba myśleć o wypracowaniu ewentualnego porozumienia z władzą.

– O jakim porozumieniu ksiądz dobrodziej myśli? – wybuchnął Chamiak. – Nasz główny postulat jest oczywisty i nie podlega dyskusji: Polska bez Szwedów, a o reszcie możemy sobie porozmawiać!

Jeśli idzie o przybyszów, w oczy rzucało się ich ogromne zaskoczenie tym, co zastali. I nie chodziło tylko o rozmiary tłumu zebranego wokół sanktuarium czy o godny podziwu porządek i spokój wewnątrz. Najbardziej zastanawiał ich brak jakiegoś centralnego kierownictwa: Ojciec Dyrektor przebywał w szpitalu, ojciec rektor – staruszek ze znaczną demencją – tylko fizycznie przypominał Kordeckiego, a ksiądz Marek, według Wydry, był co najwyżej przeciętnym konferansjerem.

Zatem kto tym wszystkim kierowała kto był mózgiem owego niesamowitego buntu?

Wydra, z natury dociekliwy, zadał to pytanie swoim kolegom, kiedy znaleźli się w pokojach gościnnych wyznaczonych im przez ojca kwatermistrza.

– Może istnieje jakaś tajna inspiracja zewnętrzna – podsunął

profesor Erwin Rosenholtz. – Tylko skąd? Z Trzeciego Świata?

– Możliwe – Zgodził się „Żabka” Skaliński. – Tylko zastanawiam się, co będzie, kiedy się okaże, że jedyną inspiracją zewnętrzną jest Matka Boska.

Rafał Rydwański zarechotał głośno, ale widząc, że nikt nie idzie w jego ślady, umilkł.

*

Janosik Glizda Kościeliski kolejną dobę spędzał w areszcie w Nowym Targu, chlubiącym się posiadaniem bezcennej deski klozetowej z wyskrobanym podpisem samego Włodzimierza Lenina.

Jego niedola miała skończyć się następnego dnia rano, bo Franek od Nosala obiecał wnieść kaucję za wszystkich rozrabiaków, co znakomicie podreperowałoby budżet miejscowego wymiaru sprawiedliwości, tym bardziej że zwyczajowo jedna trzecia owej kaucji miała bezzwrotnie zniknąć w kieszeniach podhalańskich sług prawa. Dobra wiadomość wpłynęła jednocześnie na jakość usług penitencjarnych. Jedzenie aresztantów stało się znośne, a do celi, w której przebywali, wstawiono telewizor. Janosik za telewizją nie przepadał, ale jakiś wewnętrzny głos szeptał mu, że dziś będzie warto oglądać. Mimo że przebywali w odosobnieniu, z szerokiego świata przeciekały do nich wieści różne a przerażające. Powiadano więc, że Szwedy mają zamiar zrobić prohibicję przez pięć dni w tygodniu, że baby mają być wspólne jak w komunizmie i że górale

koncesjonowanym będzie można zostać dopiero po egzaminie z etnografii i z języka szwedzkiego. Najwięcej wzburzenia rodziła informacja, że odtąd współzycie z inwentarzem gospodarczym będzie wymagało oficjalnego aktu małżeństwa i żaden juhas z żadną owieczką w żadnej kolibie bez papierów nie będzie mógł na kocią łapę, ani rusz...

Janosik nie wierzył w większość tych dyrdymał, ale wystarczyłoby, żeby choć cześć z nich okazała się prawdą...

Młody góral nie pamiętał już tych czasów, kiedy oglądanie Dziennika Telewizyjnego było obowiązkowe; teraz jeśli ktokolwiek włączał o tej porze odbiornik, to dlatego że w prime timie nadawane były najlepsze reklamy, na wielu obywateli (szczególnie gospodynie domowe) działające jak narkotyk. (Podobno klip z wybielaczem do bielizny męskiej sprzedawany był w sklepach porno jako wzrokowy afrodyzjak).

Dokładnie wpół do ósmej rozległ się charakterystyczny sygnał (w celi niestety nie było pilota, żeby ściszyć fonię albo przełączyć kanał), ale zaraz wydarzyło się coś tak dziwnego, że nikt nie chciałby ściszać, za chińskiego boga. Oto jeszcze nie wybrzmiała muzyka, a już ozwał się śpiew chóralny, potężny, czysty: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”.

„Papież do Polski przyjechał?” – przemknęło Janosikowi przez głowę. Zresztą jak miał przyjechać? Od paru lat Pontifex Maximus nie mógł opuszczać Watykanu, nawet na mszę w Lateranie musiał brać przepustkę i list żelazny od prefekta rzymskiej policji. W całej

Europie czekały na niego listy gończe – za wszystkie winy Kościoła, inkwizycję, faszyzm i pedofilię.

Tymczasem na ekranie pojawiła się sympatyczna twarz przystojnego księżula w średnim wieku, podpisanego jako Marek Wądołowicz, który powiedział:

– Tu Telewizja Czuwam, nadajemy nasz pierwszy program ogólnopolski. Od jutra będziecie mogli nas znaleźć na kanale 555 albo... 9 tu podał dostęp za pomocą Internetu. Potem ukazała się przebitka na modlące się tłumy. A następnie zaczęto podawać bogato ilustrowane wiadomości. O prawdziwym przebiegu zdarzeń w sejmie, sfalszowanym głosowaniu i polowaniu na opozycyjnych posłów. Znakomitą ilustracją był film nakręcony telefonem komórkowym przez Zbigniewa Osierdzie (który – ukryty w kostce pamięci – dostarczyła do rozgłośni mała Patrycja), a następnie cała lista incydentów związanych z przybyciem szwedzkich kontyngentów.

Już po pięciu minutach telewizja publiczna zaczęła podejmować rozpaczliwe próby pozbycia się intruza. Przełączono program na dwójkę na info, w rozpacz zaczęto emitować CNN, ale starczała sekunda, aby wracał buntowniczy program i nakrywał wszystko. Wreszcie wyłączono emisję na dobre. Nie pojawiły się nawet przepaszające plansze.

W areszcie zapanowała euforia, zaczęto rytmicznie tupać, potem śpiewać pieśń, która spłynęła samoczynnie jakimś cudownym sposobem:

Hej, posadzili bace na kamieniach Szweda,
hej, próbowali, czy się go wydymać nie da. Hej!

Kwadrans potem zjawił się sam naczelnik i zaproponował wszystkim jak najrychlejsze opuszczenie celi.

– Przecież mieliśmy wyjść dopiero jutro rano – zdziwił się Kwiczół.

– Rano będą tu już Szwedzi, a ci nie wiadomo, co z wami zrobią. Wynocha!

Godzinę potem powrócili do Zakopanego. Miasto wyglądało na wyludnione, zapewne część ludzi czekała na ponowne włączenie telewizji, a część zaczęła szukać Telewizji Czuwam w sieci.

Janosikowa kompania wylądowała w barze Jędrus, gdzie czekał już na nich Franek od Nosala, ale zgodnie z deklaracją strajkową ograniczono się do kawy i coca-coli. Deliberowano za to, co robić.

Niejaki Kostek Napierski sugerował, że należy zająć Obidową i Czorsztyn i tam zaatakować szwedzkie oddziały, kiedy się tylko pojawią.

Aliści owacja dla tego pomysłu trwała krótko.

– W polu im nie zdzierzymy – powiedział Pyzdra. – Trza bierny opór stosować, a jak to nic nie da, do partyzantki przejść... Mój dziadek, któren jeszcze pod samym Ogniem służył, poradnik nam pozostawił...

– Najgorsze, że w tym Turoniu siedzą sami księża i jacyś idealisci – powiedział Gąsior.

– A ty kogo byś chciał? – zdziwił się Kwiczoł.

– Jakiegoś wodza, kogoś, kto by naród poprowadził, wszystkich tych cwaniaków wykołował. A takiego nie ma.

– Oj, ni ma! – zafrasowali się górale.

– A jak wam powiem, że jest? – powiedział znienacka Nosal i uśmiechnął się łotrzykowsko.

– Kto to taki? I gdzie przebywa? – dopytywali się jeden przez drugiego.

Nosal rozejrzał się czujnie.

– Nie tutaj. Spotkajmy się jutro o świtaniu pod hotelem Kasprowy. I weźcie ze sobą jedzenia na parę dni.

W domu, gdzie nikt nie spodziewał się jego powrotu, zastał oprócz Helki również Jadzkę, odpicowaną jak na cygańskie wesele.

– A ty tu co? – burknął od proga.

Rozbeczała się.

– Jak możesz tak traktować swoją narzeczoną?

– Byłą narzeczoną.

– Byłą, nie byłą – Helka zręcznie wcieliła się w rolę adwokata – Jadzka chce wrócić. Prawda?

– Prawda – chlipnęła dziewczyna.

– A to czemu? Zenek Oscypek cię pogonił? – zdziwił się Janosik, który baby wielce był spragnion i nawet zamierzał złożyć krótką roboczą wizytę w agencji towarzyskiej Śnieżynka, korzystając z tego, że Szwedzi jeszcze jej nie zamknęli.

– A gdzieżby pogonił – wyręczyła eksnarzeczoną siostra. – Żenić

się nawet chce. Ale Jadzia nie chce.

– Czemu?

– Bo łorgazmu z nim ni ma.

– A nie może udawać?

– Może, ale się wstydzi.

Podszedł bliżej, zobaczył krwiaka pod okiem i napuchniętą wargę i zrobiło mu się żal czarnobrewej Jadwigi, więc ją pogładził po głowie.

Zdawała się na to czekać, bo wpiła się w niego całym swym posiniaczonym jestestwem i okrywając pocałunkami jego ręce, wołała:

– Ciebie jedyne miłuję, ciebie jedyne...!

– Nie przesadzajmy z tym jedynym -. mruknął Glizda Kościeliski, a potem już w duchu dodał: „ale na podium z resztą użytkowników może się zmieścić”. Po czym uniósł ją jak piórko i do alkowy zataszczył.

Tej nocy Jadźka nie musiała niczego udawać. Krzyczała tak, że aż się pod regle niosło!

*

Dawno już nie widziano takiej furii u pana premiera! Zasiadając do dziennika, przekonany był, że pokażą wspaniały obrazek, jak otwiera skocznię narciarską dla niepełnosprawnych albo jak własną pierśią karmi noworodki, tymczasem trafił na hakerkę najwyższej klasy.

Chwilę patrzył, nie dowierzając własnym oczom, ale zaraz, rycząc jak ranny tur, wypadł z gabinetu; po drodze dostało się i żonie, i pani marszałek senatu, która jakoś nawinęła się pod rękę. Na koniec dorwał leżącą na korytarzu piłkę futbolową i kopnął z taką mocą, że nie tylko wybiła szybę z pancernego szkła, ale nabrała niezwykłych wibracji, wyminęła wszystkie przeszkody i spadła wprost na skwer przed głównym wejściem do ambasady Rosji, gdzie kozłując, urwała nos monumentalnej rzeźbie zasłużonego druga polskowo naroda, Władymira Mutina, którą odsłonięto po tym, jak jego samolot z bliżej nieznanych powodów roztrzaskał się na lotnisku w Jekaterynburgu. Różne były interpretacje tej katastrofy: jedni mówili, że to Czeczeny sztuczną mgłą rozpyliły, drudzy – że pilot krypto-Gruzin był samobójcą, inni szukali polskiego śladu, a najczęściej wskazywali na palec boży (co na jedno wychodziło, ponieważ w środkowej Europie pokutuje dość nagminne przekonanie, że Pan Bóg jest Polakiem!).

Ów strzał trochę Ronalda rozładował. Potem do roboty przystąpili szamani, ale tym razem szło im kiepsko, tak że eksperci zwołani w trybie pilnym zastali premiera zmęczonego i dziwnie wyciszonego. Oprócz szefa kancelarii i rzecznika Strusia zjawili się prezes TVP Jakub Powiatowy i prezydencki minister do spraw mediów Jan Lokajczyk.

- Możecie mi wytłumaczyć, co to było? – rzucił.
- Mam dokładny zapis nagrania... – zaczął Lokajczyk.
- Program to ja, kurwa, widziałem osobiście! Pytam, jak do tego doszło.

– Sygnał przekazywany jest cyfrowo do nadajników, więc jeśli się go podmieni, stosując wzmocnienie...

– Nie interesują mnie detale. Widziałem jednak, że nie było to zakłócenie jednego programu. Przy próbie zmiany na inny okazywało się, że ci świętojebliwi dranie są na każdym...

– Znają się na rzeczy i są w tym dobrzy – stwierdził Powiatowy. – Jednak wiele wskazuje, że był to jednorazowy wyskok.

– Załatwiliście ich?

– Nie. Ale dali nam propozycję nie do odrzucenia.

– To znaczy?

– Jeśli nie będziemy przeszkadzać im w emisji, ograniczą się do kanału 555, na który zresztą Telewizja Czuwam od dawna ma koncesję.

– Ale jak się z nim łączą? – pytał Duck. – Zapewniano mnie, że kontrolujemy sieć, serwery...

– Dysponują dojściem do darmowych serwerów chińskich. Przez nie przerzucają informacje, łączą się telefonicznie. Jesteśmy bezradni.

– Nie można czegoś z tym zrobić? – Popatrzył na swego rzecznika Strusia. – Pogadaj z Chińczykami, Pawle.

– Obawiam się, że nie da rady; po utopieniu we krwi powstania w Seczuanie Chińczycy są diabelnie czuli w temacie przestrzegania praw człowieka.

– Zapłacimy im, ile zechcą...

– Nasze pieniądze traktują jak kupę śmiecia, a kłopoty w tej części Europy są im jedynie na rękę; skoro zaangażowali się w przejmowanie kraju nadamurskiego, wiedzą, że każde odwrócenie uwagi od ich poczynań jest bezcenne.

– Oszaleć! – ryknął Ronald.

– Panie premierze – na twarzy Powiatowego zagościł chytry uśmiezek. – Proszę o trochę więcej zaufania do nas, fachowców, i do

swojego społeczeństwa. Sprawimy, że nie będzie mu się chciało odchodzić od starych przyzwyczajęń i szukać tego kanału 555. Wygramy z nimi, nawet bez potrzeby zaduszania. Dajmy tak atrakcyjną ofertę...

– Jaką?

– Reality show Samobójstwo na żywo i Seks na czas, uprawiany przez celebrytów.

– Zgodzą się?

– Lista chętnych jest tak długa, jak stąd do Turonia.

– A sztab fachowców od informacji opracuje strategię przykrywania tematów i odwracania kota ogonem – dokończył Lokajczyk.

Po tych zapewnieniach gniew już całkowicie opuścił Ronalda.

– Chłapniecie po koniaczku? – zaproponował przyjacielsko.

– Po dwa – odparł za resztę towarzystwa Powiatowy.

*

Po programie, który obejrzała cała Polska, radość widzów udzieliła się wspólnocie turońskiej. Odprawiono nabożeństwo dziękczynne. A do współpracy zgłaszali się kolejni chętni.

Dla czterech doradców pierwsza audycja, którą obejrzeliby z innymi wiernymi na telebimie, była ogromnym zaskoczeniem, a Maciej „Żabka” tak się wzruszył, że łzy musiał chustką ocierać.

– Doskonała robota – powiedział Wydra, gratulując księdzu

Wądołowiczowi. – Są oczywiście drobne mankamenty techniczne, oświetlenie, rytm montażu, ale poza tym wspaniale. Tylko jak długo zamierzacie ciągnąć program przy jednym prowadzącym?

– Mamy jeszcze pięciu ojców spikerów, siostrę pogodynkę, no i kilku profesorów zaprawionych w dyskusjach – odparł ksiądz Marek.

– Mało! Poza tym przydałby się wam ktoś łapiący kontakt z szeroką widownią, niekoniecznie wyznaniową.

– Myśli pan o sobie?

Skromnie spuścił swe błękitne oczy:

– Chyba umiem jeszcze to robić...

– Jednak przez ostatnie lata kojarzył się pan raczej...

– Wiem – Wydra pogładził się po łysinie, tak jakby znów znalazł się w epoce, kiedy nosił złocistą grzywę. – Któż nie popełnia błędów, nie grzeszy nadmierną łatwownością? Teraz wszelako nastał dla mnie czas pokuty. Nie chcę za mą pracę wynagrodzenia, wystarczy mi, że będę użyteczny. Zresztą czy nie pamięta wielebny moich audycji z Rzymu z okazji śmierci naszego ukochanego papieża?

– Pamiętam – przed oczyma Wądołowicza stanął wzruszający wywiad, który Wydra przeprowadził z dwoma zapłakanymi księżmi z Rzymu, jak się później okazało – tajnymi współpracownikami Służby Bezpieczeństwa.

Współpracę zaoferował również Rydwański. Miał w repertuarze mnóstwo wierszy patriotycznych, w sam raz na tę okazję.

– Dusilem się w teatrze robionym przez gejów i kosmopolitów –

wyznał. – Grałem rekwizyt, małą na łańcucha, byłem plasteliną aktoropodobną w rekach artystycznych hochsztaplerów, zapominając, że zostałem stworzony do grania Szekspira i Krasieńskiego! A dziś Szekspir rozgrywa się wokół nas.

– Raczej Sienkiewicz – mruknął „Żabka”, który na razie jako jedyny nie złożył żadnej oferty.

– No i ogromnym błędem – kontynuował Rydwański, wpatrując się w Emilię – jest niewykorzystanie takiej gwiazdy jak panna Fajans.

Dziewczyna się spłoniła.

– A gdzie mnie do tego, jestem dziewczyna z prowincji.

– Wszyscy jesteśmy z prowincji – zauważył celebryta – ale przy odpowiednim szlifie...

„Facet dawno w mordę nie oberwał” – pomyślał Chamiak. Na szczęście zabrał głos profesor Rosenholtz:

– Jeśli idzie o moją skromną osobę... Oczywiście mogę pomagać w audycjach z dziedziny ekonomii prezentujących, jak dotychczasowa ekipa zrujnowała ten kraj, ale przede wszystkim mógłbym się przydać przy zbieraniu i redagowaniu postulatów, które, jak słyszę, już spływają z całego kraju.

– Wydaje mi się, że są to bardzo cenne propozycje – powiedział ksiądz, ale w tym momencie Kordian odwołał go na bok.

– Potrzebuję kilkadziesiątu bystrych ochotników – rzekł. – Nie za młodych, nie za starych. Rozważnych. Trzeba wystawić warty, i to w paru kręgach, wokół miasta, wokół zespołu i tu w środku...

Marek popatrzył na niego, marszcząc brwi.

– Obawia się pan czegoś?

– Strzeżonego pan Bóg strzeże. Jeszcze niedawno byłem po tamtej stronie i znam ich tok myślenia. Aha, potrzebuję też kilku ludzi obeznanych z techniką budowlaną...

– Nie będzie z tym najmniejszego kłopotu.

*

Pół godziny po naradzie z ekspertami telewizyjnymi, którzy osuszywszy całego martella, udali się do swych zadań, premier z umysłem jasnym i przejrzystym jak koniak wypity w jego gabinecie spotkał się z ministrem Limoniakiem, któremu towarzyszył dowódca sił specjalnych Książek Bogusław, jak na generała – człek młody i światowy, osobliwie przystojny, noszący długie włosy jak hipis lub muszkieter, ale wychowany w etosie służb, w których pracowali jego rodzice, dziadkowie, a nawet pradziadkowie (weterani Ochrony).

– Na jakim etapie są przygotowania do wariantu B? – zapytał Ronald Duck.

– Chętnie odpowiem, tylko nie znam wariantu A – przyznał się generał.

– Bo tym zajmują się służby cywilne – wyjaśnił Limoniak. – Monitorują na bieżąco rozwój sytuacji w Turonii i usiłują zwalczać powstałe problemy środkami politycznymi.

– Mamy opracowanych kilka opcji, które stale musimy aktualizować... – zaczął generał.

– Dlaczego stale?

– Bo, używając terminologii medycznej, niewielki wrzód rozlał się już na całe miasto. Jeśli przedwczoraj można było wysłać kilku policjantów i aresztować prowodyrów, dzisiaj wymagałoby to już desantu ludzi i sprzętu.

– Ale dacie radę?

– Nie ma takiej rury, której by nie można odetkać. Ale jeśli mielibyśmy dokonać ataku, to proponuję szybko, jak najszybciej.

– To znaczy?

– Jeszcze dziś w nocy.

Premier zmarszczył brwi. Wdać było, że atak na zabudowania klasztoru niekoniecznie mu się podoba.

– Jak pan sobie wyobraża – spytał – zdobywanie kościoła, cel mnichów...?

– Nasze źródła w Turoniu, a także meldunki, które przekazuje marszałkowi Moczypowski jego agent o kryptonimie Emisariusz, przy okazji również mój człowiek, mówią o zaledwie kilkusobowym kierownictwie. Stanowią je kaznodzieja, pewna stara kobieta, jej syn – były komandos, haker i prostytutka, a jest tam jeszcze dziecko Osierdziów.

– Co pan za pierdoły opowiada – zdenerwował się Ronald. – Piątka cywili kieruje całą tą rebelią?! A co w tym czasie robią władze zakonu, senat uczelni...?

– Ojciec Dyrektor znajduje się w szpitalu turońskim, ciągle w śpiączce po wylewie, reszta, gdyby zabrakło tych prowodyrów,

pójdzie w rozsypkę...

– Czyli?

– Do rana mogę rozwiązać problem, tak że nawet tego nie zauważą. Śpią w jednym pomieszczeniu na poddaszu, a kaznodzieja im towarzyszy. Jeśli nad ranem wysadzimy kilku fachowców na dachu, w kwadrans będzie po kłopotcie.

Duck pobladł.

– Jeśli to możliwe, weźcie ich żywcem. Potem się powie, że sami zdezerterowali.

– Wedle rozkazu – wyprężył się Książek. – Czy dostanę to na piśmie?

– Nic na piśmie – włączył się Limoniak. – Oficjalnie nie prowadzimy żadnej operacji. Nich to będzie akt obywatelskiej samowoli. Weźcie ludzi, którzy już u nas nie służą. Dostaną, ile trzeba. Ty też...

– Tak jest! – Generał strzelił obcasami i ruszył ku drzwiom, ale w ostatniej chwili zatrzymał go głos Ronalda:

– A ten agent Moczypsa... Wiecie, kto to?

– Jeden z czterech tak zwanych intelektualistów, których marszałek wysłał do Turonia. Który konkretnie, nie wiem. Mam ich zwinąć przy okazji?

– W żadnym wypadku! Obserwować! Teraz i w przyszłości. Rozzuchwalił się nam Januszek, własną politykę pragnie uprawiać. Czuję, że do tego dojdzie – zamyślił się na chwilę, ale zaraz rzucił do generała: – Kiedy będziecie gotowi, meldujcie!

– Tak jest!

Książek raz jeszcze strzelił obcasami i zamknął za sobą drzwi. Premier odprowadził go wzrokiem, a potem, gdy już zostali sami z ministrem, rzekł do Limoniaka:

– Masz wielką szansę się wykazać, chłopaku! Nie spieprz tego, a wówczas... Czasem myślę, że powinienem pomyśleć o emeryturze. Tylko zawsze był problem z następcą.

*

Salomea Łęcka obudziła się około trzeciej nad ranem. Ciemno jeszcze było, ale brzask musiał być niedaleko, bo w przyklasztornym gospodarstwie piał już koguty.

– Nadchodzą! – zawołała głośno. – Do broni!

– Nic nie słyszę – wymamrotał sennie Michałko, ale mimowolnie pomacał koło siebie i natychmiast natrafił na maskę przeciwgazową i solidną drewnianą pałę. Pozostali poderwali się na równe nogi, pierwszy naturalnie Kordian, który ostatnimi czasy nieraz miał okazję się przekonać, że przeczucia jego matki raczej nie zawodzą.

– Mama, Patka, Emilia i ksiądz do łazienki! – zdecydował.

– Nie mam zamiaru nigdzie się udawać – odparła Fajansówna, wyciągając swoją kolekcję sprayów.

– Ani ja – dorzucił ksiądz. – Jako chłopak trenowałem judo.

– Dobrze. Zrobimy tak...

*

Olbrzymi, podwójnie wytłumiony śmigłowiec z rodziny Sikorsky zawisł nad dachem hotelu Świętego Alfonsa. Gdyby nie pracujące wirniki, można by wziąć go za gradową chmurę, która napłynęła nad zbuntowaną rozgłośnię.

– Wyniki zwiadu? – rzucił major Molski, dwumetrowy byczek składający się z samych mięśni animowanych tęgą inteligencją.

– Czujniki ruchu nie sygnalizują żadnych przemieszczeń, czujniki termiczne wskazują cztery osoby w pozycjach leżących i chyba... jedną w łazience.

– Pewnie ktoś dostał biegunki i siedzi na kiblu – mruknął ktoś z boku.

– Co widać niżej?

– Wartownicy są po zewnętrznej stronie budynków. Chyba nas nie zauważyli. Podobnie ci czuwający w kaplicy.

– Znakomicie! Drożyna pierwsza?

– Gotowa.

Jacek Molski był doświadczonym oficerem. Lata spędzone w Iraku, Afganistanie, na Bliskim Wschodzie i w innych zapalnych legionach świata nauczyły go nie lekceważyć żadnego przeciwnika. Inna sprawa, co to był za przeciwnik. Natychmiast przypomniał sobie o niedawnej rozprawie swego zespołu z Gargamelem – mafiosem z Podkarpacia, który miał dom jak twierdzę i całą armię świetnie uzbrojonych oprychów, a załatwili ich w kwadrans. W Turonii

problem sprowadzał się do konieczności zastosowania subtelnych metod, atak winien być dokonany delikatnie i o ile się da – bezszmerowo.

Czterech komandosów miało wylądować na balkonie przy dormitorium. Pozostałych pięciu na dachu, skąd przez świetlik mieli wejść do środka i zabezpieczyć schody: Potem z dwóch stron mieli wpaść do sypialni, użyć gazu paralizującego i szybko wywieść przywódców rebelii, nim ktokolwiek zorientuje się w ataku. Łatwizna!

Popatrzył na zegarek. Trzecia zero trzy. Klepnął w plecy swego asa, Benka Rekuca i zakomenderował:

– Zaczynamy. Spiszcie się na szóstkę.

Pięciu komandosów opadło zwinnie na dach, czterech na linach pomknęło w stronę balkonu.

W locie przypominało to harmonijny balet. Przy lądowaniu – mniej. Ledwie bowiem stopy żołnierzy dotknęły balkonu, ten urwał się, jakby był kruchym ciasteczkiem, i poleciał w dół.

„Skubańcy! Przygotowali się na atak – przemknęło przez głowę majorowi – Nie szkodzi, moje orły są na linach. Nic im się nie stanie.

Faktycznie, dwóch z antyterrorystów zawisło dwa metry niżej. Dwóch wykazało nie lada refleks i uchwyciło się parapetu.

Gorzej za to działo się na dachu. W pierwszej chwili Molski nie wierzył własnym oczom. Jeden z żołnierzy, który wylądował na kolanach, wyraźnie nie mógł powstać, dwaj inni, którzy chcieli mu pośpieszyć z pomocą, zachowywali się, jakby jakaś niewidzialna siła przyciągała ich do podłoża; sierżant Rekuć nawet wykonał jeden krok,

ale drugiego już mu się nie udało i upadł.

– Co tam się dzieje, Benek...?

– Cholernicy posmarowali dach jakimś klejem...! – zachrypiał Rekuć. – Wpadliśmy jak muchy na lep, panie majorze!

Tymczasem gwałtownie otworzyły się okna poddasza, skrzydło jednego z nich trafiło w twarz starszego szeregowego Muchołówkę i wyeliminowało go z ataku.

Kapral Nowak okazał się czujniejszy. Błyskawicznie się uchylił i efektowną przerzutką wskoczył do środka.

Ale tam czekała Emilia ze swoim niezawodnym sprayem na krokodyle. Wrzask Nowaka, który nie zdążył założyć gogli, rozległ się po całym uśpionym budynku i omal nie uszkodził bębneków Molskiemu.

W tym samym czasie Michałko wychylił się przez drugie okno. Chłopski syn, potomek bohaterów spod Raławic, trzymał w reku kosę, która zakonnikom tradycjonalistom służyła do cięcia trawy. Zamachnął się i ciął straszliwie. Kosa przecięła jedną z lin, na której wisiał pierwszy komandos. Nadcięła drugą, która po chwili też nie wytrzymała; żołnierz w pełnym rynsztunku poleciał parę piętér w dół i wylądował wśród szczątków balkonu oraz inspektów przyklasztornego gospodarstwa. Narzędzie też nie wytrzymało i pękło.

W helikopterze ruszył podciąg i po chwili ostatni z komandosów, wspomniany Muchołówko, pojawił się w oknie, wyrwał pałkę Michałkowi i strzelił weń z paralizatora. Potem zręcznie nałożył maskę przeciwgazową i poszukał granatu, następnie odbił się nogami

od muru, pragnąc metodą wahadła wpaść z impetem do wnętrza. Wcześniej jednak do akcji włączył się Chamiak, swego czasu król strzelców. Z odległości dwóch metrów nie mógł chybić, kula przecięła linę, w momencie kiedy komandos był najbardziej wychylony...

Spośród czterech nieboraków, którzy zgodnie z siłą ciężenia znaleźli się na dole, tylko on, spadając na krzak, przyplącił upadek jedynie skręceniem kostki. Inni nie nadawali się do dalszej walki, nawet jeśli potencjalnymi przeciwnikami miała być gromada zakonników, uzbrojonych jedynie w grabie, łopaty i – niestety – widły.

– Drużyna druga gotowa? – zapytał Molski. – Przeładować na ostrą amunicję.

– Nie radziłbym! – na linii teoretycznie należącej do kaprała Nowaka rozległ się głos młodzieńczy, spokojny i pewny siebie. – Chyba że chce pan poznać możliwości kuszy, majorze.

– Kuszy?

– Tak, muzealnej kuszy z XV wieku, do której strzały przymocowałem ładunek wybuchowy. Nie za duży, ale jest w stanie unieszkodliwić wasz śliczny śmigłowiec...

– Może to zrobić? – major zwrócił się do pilota.

– Jeśli wie, gdzie trafić, to bez trudu.

Molski został zapoznany z CV Chamiaka, znał jego możliwości i rozumiał determinację...

– Ale moi ludzie... – wybełkotał.

– Słowo oficcerskie, wrócą tam, skąd przybyli. Naturalnie, o ile uda

się ich odkleić i pozbierać. Tym, którzy będą tego wymagali, zostanie udzielona pomoc medyczna...

– Wygrałeś tę potyczkę, Kordian – Molski, który kiedyś poznał Chamiaka, nieoczekiwanie przeszedł na ty – wygrałeś, ale doskonale wiesz, że wojny w żaden sposób wygrać nie możesz.

– Wszystko jest w ręku Boga! – odparł filozoficznie Kordian. – Miłego dnia, Jacku!

Potoczył okiem po swoim niedużym oddziałku. Nieźle się spisali. Przybił piątkę z Michałkiem; który powoli otrząsał się ze skutków porażenia, i z księdzem. Chciał zrobić to samo z Fajansówną, ale ta, pełna jeszcze bitewnego animuszu, pocałowała go prosto w usta.

X

10 CZERWCA 2020 ROKU, ŚRODA

Janosik Glizda Kościeliski obudził się ze snu ciężkiego, z nieprzyjemnym wrażeniem zawieszenia na haku, i to za żebro. W dodatku nie do końca był to sen. Sprawczynią owych zwidów okazała się wystająca łopatka Jadźki. Dziewczyna, u której boku spędził noc, w czasie snu wtuliła się w niego tyłem, co mogło być nawet przyjemne, gdyby nie jej nadzwyczajna chudość, która, co ciekawe, szła w parze z wielką predylekcją do seksu przy każdej nadarzającej się okazji. Kochała Janosika, ale po swojemu, i wystarczyło spuścić z niej oko...

Raz nawet uwiodła znakomitego skoczka narciarskiego, i to w będącej w powietrzu kolejce podążającej na Kasprowy Wierch, ale panował tam akurat taki tłok, że jak wyznała bez bicia, „nie szło inaczej”.

Zerknął na zegarek. Wciurności! Do spotkania przed hotelem pozostało ledwie piętnaście minut. Jednak biegał dobrze jak kozica (na trzeźwo), toteż znalazł się na tyłach Kasprowego o wyznaczonym czasie. Obyło się już bez zasłaniania oczu, snadź uznali go za wystarczająco zaufanego. Franek znalazł właściwą windę, zjechał do piwnicy; tam przesiadł się do całkiem innej i już wkrótce byli

w swoim królestwie.

Nikt nic nie mówił, bo Nosal się nie odzywał, a inni pytać nie mieli odwagi.

Dopiero na dole herszt rzekł:

– Gadaliście, że narodowemu zrywowi brakuje wodza, przy którym mógłby lud się zespolić... Zgadzam się z wami. Ale wiem, jak temu zaradzić. Jakiś czas temu sprawdzaliśmy tunele wentylacyjne naszej podziemnej drogi żelaznej; na terenie Polski jest ich pięć albo sześć w różnych przemyślnie poukrywanych miejscach. Ten, o który chodzi, znajduje się w klasztorze na wysepce pośrodku jeziora Wiagry gdzie od lat w odosobnieniu przebywa mąż opatrnościowy, przez sprzedajnych medyków za niepoczytalnego uznany Jarosław Indykiewicz.

– Indykiewicz! – Janosik z wrażenia przełknął ślinę.

A Franek, zadowolony z wrażenia, jakie wywołały jego słowa, wskazał drogę w kierunku podziemnych torów i skonkludował:

– Oswobodźmy go zatem, zaprowadźmy do Turonia, niech powie, co robić, jak ojczyznę salwować, sprośnego Szweda się pozbyć, także rodzimych łachmytów pogonić!

*

Wielka była radość z odniesionej wiktorii w zespole turońskim i w całym Turoniu, a kiedy wieści na kanale 555 obieły kraj i trafiły do światowych mediów, satysfakcja stała się powszechna. Komandosi

zeskrobywani z dachu i wyciągani z resztek inspektów robili wrażenie bardziej pocieszne niż groźne. Zgodnie z danym słowem Kordian wypuścił wszystkich agresorów z wyjątkiem dwóch, którzy zdecydowali się najpierw pozostać na porannym nabożeństwie, a następnie wesprzeć swymi umiejętnościami wspólnotę. W wypadku kaprała Nowaka mógł to być uboczny wpływ sprayu na krokodyle użytego wobec niego przez Emilię, ale jeśli idzie o sierżanta Zduńskiego (z grupy dachowej), jego postępek można było wytłumaczyć jedynie pochodzeniem z zapadłej, arcykatolickiej Rzeszowszczyzny.

Twardy orzech do zgryzienia mieli komentatorzy mainstreamowych mediów i dyżurne gadające głowy. W pierwszej chwili nazwali atak komandosów na turoński obiekt rutynowymi ćwiczeniami antyterrorystów, które zostały storpedowane przez należyty brak koordynacji i ignorancję duchownych, ale chyba nikt w to nie uwierzył.

Próżno sztab Jakuba Powiatowego montował programy ośmieszające ciemnotę i zabobony moherowego bractwa, próżno znakomici eksperci dowodzili, że tumult turoński osłabia wiarygodność Polski na rynkach światowych, że grozi nam zapaść gospodarcza i że jedynie szwedzka pomoc jest w stanie uratować nas przed sześćdziesięcioprocentowym bezrobociem, dwucyfrową inflacją, wędrówką ludów i dziurą ozonową.

Jak na złość owym uczonym banialukom zaczęły dziać się rzeczy zdumiewające. Oto nieoczekiwanie odbiła się od dna dołująca giełda,

a kurs złotówki (przejście na szwedzką koronę miało zająć pół roku) wzmocnił się w stosunku nie tylko do szwedzkiego pieniądza, ale również do innych walut światowych.

Co prawda, dworscy eksperci nazwali to transpozycją własnych nadziei, wypływającą ze wzrostu zaufania do władzy i poparcia dla unii z Królestwem Szwecji – najnowszy sondaż wykazywał takie poparcie na poziomie dziewięćdziesięciu trzech procent – ale ludzie wiedzieli swoje, wielu budziło się z wieloletniego zaczadzenia, a wkrótce nawet popularne grille, zamiast forum dla pijatyk, stały się miejscem dawno niesłyszanych dyskusji.

Do południa pojawiły się informacje o oporze w innych częściach kraju. I tak paulini z Częstochowy odmówili wpuszczenia szwedzkiego prezydium na Jasną Górę, a tłumy, które nieoczekiwanie ściągnęły do Lichenia, wymusiły odwrót oddziału już tam zainstalowanego, wybuchowa sytuacja panowała w Świętej Lipce, a nawet prawosławnej Grabarce.

– Niesamowite! – donosili korespondenci światowych mediów, którzy zaczęli zlatywać się do Polski niczym muchy do fekaliiów. – Kraj przez ostatnie lata uważany za lidera europejskości i postępu znowu odsłania swoje żałosne, tradycjonalistyczne oblicze!

Około godziny pierwszej ksiądz Marek, który zajrzał do kaplicy klasztornej, z pewnym zaskoczeniem dostrzegł samotnego penitenta klęczącego obok konfesjonału. Zwalisty, okrągły kształt nie mógł zmylić nikogo – sam Maciej Skaliński „Żabka”, geniusz PR, niegdysiejsza gwiazda kilku partii, wyraźnie czekał na przybycie

kapłana.

– W czym mogę pomóc? – zapytał redemptorysta.

– Chciałbym się wyspowiadać, ojcze.

Marek, który niejedną cud nawrócenia w życiu obserwował, ze swoim własnym na czele, nałożył stulę i wszedł do konfesjonału.

Szanując tajemnicę spowiedzi, nie zdradzimy szczegółów tej długiej, blisko półtoragodzinnej konfesji. W każdym razie fraza: „Byłem łajdakiem, dwulicowcem, bezbożnikiem, faryzeuszem” powtarzała się w niej jako refren, i to po wielokroć bisowany. Ceglaste wypieki na twarzy spowiednika wskazywały, że dochodziło do ujawnienia najbardziej pikantnych szczegółów burzliwego życia erotycznego „Żabki”. Kiedy jednak Maciej spowiadał się ze swych meandrów politycznych, dobry zazwyczaj ojciec bladł z gniewu. Najlepsze jednak zostało na koniec.

– To wszystko nic, ojcze – powiedział Skaliński. – Nawet po przybyciu tutaj kłamałem cały czas aż do tej spowiedzi. Zjawiłem się tu bowiem nie jako ochotnik, doradca gotowy do pomocy, lecz szpieg, zdrajca, knowacz...

– Chryste Panie – wyszeptał ksiądz. – I oni też?

– Oczywiście. Wysłał nas ten łajdak nad łajdaki, marszałek Moczypies.

– Nie bardzo rozumiem. Po co?!

– Abyśmy weszli w wasze struktury, poprowadzili ruch w dogodnym dla władzy kierunku, osłabiali go, ograniczali, kompromitowali...

– I donosili...?

– Na to nawet ja bym się nie zgodził. Chociaż w wypadku innych głową nie zaręczę.

– Co więc stało się takiego, że mi o tym mówisz, synu...?

– Że miast dalej zdradzać, wyznaję wam prawdę? Trudno odpowiedzieć. Może dojrzywałem do tego wiele lat, a katalizatorem stało się to miejsce?... Nie spałem dziś całą noc. Myślałem, próbowałem się modlić. Nad ranem miałem do wyboru zabić się albo przyjść do was, ojcze. Wielka jest moja wina. I kara powinna być współmierna.

– Pan Bóg litościwy. A my obaj jesteśmy strasznie grzeszni. Kiedy spowiedź dobiegła końca i odezwały się charakterystyczne stuknięcia, Marek Wądołowicz wyszedł z konfesjonału, objął Skalińskiego i padli razem na kolana, płacząc i modląc się do Najwyższego.

*

Krach nocnej operacji wywołał poważne zamieszanie w sferach władzy. Premier, jak to już wcześniej się zdarzało w podobnych sytuacjach, gdzieś zniknął – niektórzy obserwatorzy polityki fantazjowali, że zamknął się na rekolekcjach w jakimś postępowym koedukacyjnym klasztorze (powstało ich kilka w ostatnich latach), inni twierdzili, że urwał się na narty do Szwajcarii, gdzie na Małym Matterhornie, mimo nadchodzącego lata, panowały ciągle doskonałe warunki śniegowe. W każdym razie reprezentujący lewicowego

koalicjanta wicepremier Popieralski (który po paru latach politycznego niebytu wrócił ostatnio do pierwszej ligi) snuł się po gmachu kancelarii i nie potrafił odpowiedzieć na najprostsze nawet pytanie. Minister Limoniak i Książek Bogusław wiedzieli zapewne, co się dzieje z premierem, ale milczeli, a jeśli coś robili, to bez porozumienia z resztą gabinetu.

Co się tyczy Szwedów, ci poniechali bardziej spektakularnych działań i wyraźnie się przyczaili, czekając na dalszy rozwój sytuacji.

Wczesnym popołudniem pan prezydent uznał zapewne, że pora zaakcentować swoje istnienie. Wezwał więc do siebie głównych członków rządu, włącznie z ministrem spraw zagranicznych Radwanem Wróbelkim, Tomaszem Limoniakiem i Michałem Pony. Gdy przybyli do Belwederu, zastali tam jeszcze marszałka Janusza Moczypsa. Na siłę spotkanie można by określić jako kadłubowe posiedzenie Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego albo tak zwaną gabinetówkę.

– Rząd panuje nad sytuacją – oświadczył Limoniak. – Już wkrótce dojdzie do posunięć rozstrzygających.

– Jakich? – zapytał prezydent.

– Kompatybilnych z potrzebami.

Nie brzmiało to dobrze i raczej zapowiadało dalsze komplikacje. Gomorrowski obrócił się do Radwana Wróbelkiego. W jego błagalnym spojrzeniu zawierało się wezwanie: powiedz coś.

– Chciałem zasygnalizować, że niepokojące sygnały o tumulcie turońskim pojawiły się w światowych mediach – rzekł minister.

– Gdzie?

– Za naszą wschodnią granicą, na Białorusi, Ukrainie i w Rosji, panuje zaniepokojenie swobodami religijnymi w Polsce, a Chiny dopominają się o przestrzeganie podstawowych praw człowieka.

– Przyganiał kocioł garnkowi – zaśmiał się Moczypies.

– A Bruksela? – drażył temat Wronisław.

– Chwilowo sparaliżował ją strajk tłumaczy kabinowych, nikt nie może się z nikim dogadać.

– Przecież wszyscy tam znają angielski – nie wytrzymał Limoniak.

– Ale na złość Brytyjczykom i Amerykanom bojkotują ten język. W każdym razie z nieoficjalnych kontaktów mojej żony wiem, że woleliby negocjacje od rozwiązań siłowych.

– Mięczaki – mruknął pod nosem Limoniak.

– A Szwedzi? – zapytał cichutko prezydent. Kiedy był zdenerwowany, starał się nie podnosić głosu i mówić jak najmniej, ponieważ nawet mówiąc, popełniał błędy ortograficzne.

– Zadowoleni nie są. Ale chwilowo nie pokazują tego po sobie.

– Jedziemy na jednym wózku – powiedział marszałek. – W końcu w promocję unii polsko-szwedzkiej wpompowali już sto miliardów dolarów...

– Aż tyle? – zdumiał się Wronisław Gomorrowski. – I gdzie one się podziały?

Zapadła kłopotliwa cisza. Limoniak miał na końcu języka żarcik: „Gdybyśmy to panu, panie prezydencie, powiedzieli, musielibyśmy pana zastrzelić, a potem siebie!”.

Kłopotliwą ciszę przerwały kroki na korytarzu.

– Pan premier! – ucieszyli się wszyscy.

Ale byli to jedynie generał Książek Bogusław i rzecznik Struś.

– Pan premier wypoczywa – oznajmili – ale mamy jego pełnomocnictwa do działania. Na czas jego wypoczynku wszelkie sprawy priorytetowe pilotować będzie minister Limoniak.

– A co jest tym priorytetem? – zapytał pro forma marszałek.

– Odzyskanie Turonia. Musi to nastąpić w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Szmer poszedł po sali, ale Struś oznajmił, że decyzja nie podlega dyskusji.

– Ale gdzie konkretnie jest Ronek? – dopytywał się Moczypies. – W Zermatt czy w Dolomitach?

– Dużo bliżej. I wspiera nas intelektualnie.

Wróbelkiemu przemknęła przez głowę niepokojąca myśl, że być może Duck został już ubezwłasnowolniony przez grupę Limoniaka i przebywa gdzieś w malowniczym areszcie domowym, ale szef siłowników musiał odgadnąć obawy szefa MSZ-etu, bo powiedział:

– Jutro, najdalej pojutrze pan premier wróci do pełnienia swych obowiązków.

– Jednak, wracając do sprawy Turonia – kontynuował temat Radwan – mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, że atak na religijne sanktuarium może być uznany...

– Sanktuarium religijne, w którym bezpardonowo uprawia się politykę, traci dotychczasowy charakter – przerwał ostro Książek

Bogusław. – Przystaje być miejscem azylu. – W tym momencie musiał zauważyć zaniepokojenie na twarzach zebranych, bo prędko dodał: – Oczywiście nie obawiajcie się, panowie, że będzie to jakaś spektakularna ekspedycja militarna. Dołożymy wszelkich starań, żeby wyglądało to na akcję porządkową lokalnych sił. Wojsko zostanie przebrane w mundury straży miejskiej, a jeśli idzie o policję, postaramy się wykorzystać głównie bataliony kobiece. Zaś przy używaniu środków bezpośredniego przymusu ograniczymy się do wody, gazu i kul wyłącznie gumowych.

– Brzmi nieźle. Tylko kto przejmie dowództwo? – Wróbelki zwrócił się do Limoniaka: – Ty, Tomku?

Minister trochę się zmieszał:

– Formalnie ktoś z lokalnych władz... pamiętacie, kto jest tam wojewodą?

– Killer – wyrecytował rzecznik Struś.

– Leszek Killer, niegdysiejszy premier?

– Nie, nasz Jurek Killer.

– Ten sam, co zajmował się katastrofą witebską?

– Tak, i właśnie...

– To świetnie. Jeśli nawet coś mu nie wyjdzie, nie będziemy po nim płakać – skomentował Janusz Moczypies.

W sali Malinowej zaległa cisza, którą przerwały westchnienia niewidocznego do tej pory doradcy, profesora Tomasza Obwarzana.

– Na Boga, czy nikt tu nie zna historii? Nakazujemy szturm na religijne sanktuarium komuś, kto nosi takie samo nazwisko jak

szwedzki generał szturmujący Częstochowę podczas potopu. To zły znak.

– Nie bądźmy przesądni – odpowiedział Książek Bogusław, udając, że nie zauważa, jak Wronisław Gomorrowski żegna się ukradkiem. – Gdybyśmy mieli się tym przejmować, to należałoby już wcześniej zauważyć, że akt unii polsko-szwedzkiej przygotowali podsekretarze stanu zupełnie przypadkowo noszący nazwiska Radziejowski, Opaliński i Radziwiłł. A jak fajnie nam poszło.

*

Środa przebiegała w Turoniu pod hasłem dalszej mobilizacji, choć i nie brakło głosów, że duża w tym była zasługa „doradców”, którzy zręcznie wślizgiwali się w łaski miejscowych ojców, brylując europejską pozłotą, dawną sławą, a równocześnie nie szczędząc słów uznania i komplementów skromnym mnichom, które ci łykali z przyjemnością. Gdyby był Ojciec Dyrektor, pewnikiem pogoniłby przybyszów jak święty Michał diabła, ale starsi akademicy czy zakonni funkcjonariusze nie mieli ani takiej determinacji, ani podobnego temperamentu.

Równocześnie obiektem, który znalazł się w szczególnej sferze ich działań (w tym aspekcie zupełnie nieskoordynowanych), stała się Emilia, która – jak się wydawało – zawładnęła wyobraźnią trzech mężczyzn, (Skaliński tak przeżywał swoje nawrócenie, że ani kobiecie, ani nawet męskie wdzięki nie były go w stanie zainteresować). Zawsze ładna, z każdym dniem pobytu w Turoniu stawała się

piękniejsza, tak jakby szlachetność idei i świętobliwość miejsca przenikały ją na wskroś. Nawet pani Salomea, która widziała ją w kąpiei, musiała przyznać, że wygląda jak katolicka Wenus, delikatna, świeża, kusząca, choć nie bezwstydna.

Próbował swych sił wobec niej Tomasz Wydra, o którym mówiono, że dzieli kobiety (oczywiście te ładne) na takie, które miał, ma lub będzie miał. Jako człowiek konkretny, umówił się z nią na kawę, po czym zaproponował zmianę lokalu na jego pokój.

Ileż dziewcząt w podobnej sytuacji szło do jego łóżnicy nieprzytomnych z emocji lub przestraszonych perspektywą, że zostaną wzięte za wsiową kurę.

– A ile masz lat, Tomku? – zapytała z uśmiechem, w którym już, już dopatrywał się przyzwolenia.

– A na ile wyglądam? – odpowiedział zalotnie.

Wyczekała chwilę, po czym ścięła go jak sparciałą piłkę tenisową:

– Niemożliwe, tak długo ludzie nie żyją.

Rafał Rydwański próbował subtelniejszych metod, które, nie popełniając szczególnego nadużycia, można nazwać lirycznymi. Swym głosem atlasowym jak bielizna od Versacego zaproponował Emilii spacer po parku, wiersze recytował, na gitarze grał (choć repertuar miał cokolwiek staroświecki), do stawu w garniturze wskoczył, żeby jej lilię wodną urwać... Ale panna Fajans jakoś nie zaproponowała, aby wysuszył się w jej pokoju. Jedyne, co usłyszał, to radę, żeby wziął na wszelki wypadek coś na przeziębienie.

– Chociaż – dorzuciła bezwzględnie – twoja ściółka tłuszczowa

powinna cię ochronić...

Najciekawszy był szturm Rosenholtza, który dorwał ją wieczorem po mszy.

Próbował ją olśnić swym dorobkiem, domkiem letniskowym na Florydzie, kontaktami i stosunkami, a ponieważ częstował ją whisky z piersiówki, po pewnym czasie zaczęło jej się mylić, czy spał z księżną Walii, czy jest jedynie po imieniu z księciem Kentu. Na koniec opowiedział o swoim koncie i zaproponował wspólny wyskok w świat.

Widząc, że wszystko to razem, z alkoholem włącznie, nie wywiera na dziewczynie żadnego wrażenia, podczas gdy on sam był coraz bardziej napalony (w kącikach jego ust poczęła się zbierać ślina), zawołał wreszcie:

– Wiem, że nie jesteś święta. Więc podaj swoją cenę i bierzmy się do roboty!

– W zasadzie jestem bardzo tania, ale nie lubię dwóch rzeczy.

– Mianowicie?

– Mylenia klasztoru z burdelem oraz jak komuś z gęby śmierdzi. To mówiąc, złożyła ukłon, jakiego nie powstydzilaby się księżna Kentu podczas spotkania z królową, i odpłynęła zwiewnie w stronę pokoju dzielonego z panią Salomeą.

XI

11 CZERWCA 2020 ROKU, CZWARTEK

W podziemiu nie ma dziennego światła (innego zresztą też nie – mały reflektorek oświetlający tory przed pędzącą drezyną to wszystko, na co można tam liczyć), toteż bez zegarka Janosikowi trudno byłoby ustalić, jak długo trwała podróż. Na oko – wieczność! Co pewien czas trafiali na odcinek kontrolowany przez jakąś mafię: sandomierską, lubelską, podlaską. Wtedy trzeba było się zatrzymywać, Franek od Nosala brał gąsior śliwownicy i pusty kanister na paliwo, po czym szedł na negocjacje. Co mówił miejscowym zbójcom, nie wiadomo, w każdym razie sprzedawali im paliwo, przepuszczali, spoglądając dość życzliwie, a jeden zawołał nawet za nimi: „Powodzenia!”.

Tunel, miejscami biegnący prosto, jakby go Niemiec budował, z porządnymi, choć szerokimi torami, miał odcinki nędzy i zaniedbania, a nawet miejsca, w których groziło mu zawalenie, bo do prymitywnych stempli można było mieć bardzo ograniczone zaufanie. Na paru odcinkach tory zostały rozebrane i dreżynę trzeba było przenosić na ramionach. Ale poza tym jechało się wolno i nudno. Z wyjątkiem aktualnie prowadzącego i stojącego nawigatora, reszta starała się drzemać. Ale mimo tych drzemek Janosik czuł się coraz bardziej zmęczony. Może dlatego, że wszyscy, z wyjątkiem Franka od

Nosala, który na przymusowych postojach musiał pić służbowo, zachowywali godną podziwu trzeźwość. Poza tym co chwila wybudzał go szept rozmowy, jaką toczyli starszawy Gąsior z najmłodszym zbójnikiem Cypiskiem.

A mówili o rzeczach strasznych, opowiadał bowiem stary zbójca o monstrach podziemnych, które – bywa – na drogę wyłażą, i o duszach wiekuiście potępionych.

– Czyich duszach? – pytał Cypisek, a ślepie mu się robiły ogromne jak u wilka w trakcie rui.

– Choćby budowlańców, którzy zginęli w trakcie drążenia tunelu albo których rozwalono po zakończeniu.

– Jak to?!

– Normalnie, strzałem w tył głowy – odpowiadał Gąsior, jakby to była oczywista oczywistość.

– A ty je widziałeś?

– Wiele razy, ale przeważnie zimą, bo latem wszelkie dusze ku powierzchni dążą i tam straszą.

– I co się robi, jeśli się je napotka po drodze?

– Przyspiesza! Wyglądają niczym ludzie, ale są jakby utkane z mgły, przez którą można przejechać bez hamowania.

– A gdyby zahamować?

– Spróbuj kiedy. Nie wiesz, ile to ekip zaginęło bez wieści i tylko puste drezyny dojechały na miejsce.

– Naprawdę?

– Nie strasz dzieciaka! – warknął Kwiczoł, prowadzący aktualnie

wehikuł.

Ale Cypisek chyba lubił być straszony, bo zaczął z kolei dopytywać się o wspomniane monstra...

– Sam żadnego nie widziałem, ale podobno koło Wiagier, gdzie się udawamy, krąży wąż wielki, z głową konia...

– Jak Nessi w Szkocji! – ucieszył się chłopak.

– Tyle że ten nasz to chyba Żyd, bo wody nie lubi. Najgorzej jednak jest podobno koło Czarnobyła.

– To i tam idzie tunel?

– Jakaś odnoga podobno tak. Tyle że teraz nikt tam się nie uda. Wszystkie tunele opanowali mutanci.

– Mutanci?

– Prawdziwie niebezpieczne potwory: szczury wielkości świni, ludzie z psimi głowami, rośliny drapieżne, które same łążą po ścianach...

– O, w mordę!

Sen, w który zapadł Janosik, wyłączył go z grona słuchaczy, choć i jego majaki kontynuowały poniekąd zbójcecką klechdę, śnił mu się bowiem wąż morski o twarzy Włodzimierza Lenina, który owinąwszy się wokół niego, oplatał go coraz mocniej i mocniej...

Na zegarku dochodziła szósta rano, kiedy Pyzdra, pełniący na tej zmianie funkcję maszynisty, zwolnił i zatrzymał się przy wąskiej, pustej rampie. Pytająco spojrział na herszta.

– Tak, jesteśmy na miejscu – potwierdził Franek.

Z jakiego powodu poprowadzono tunel akurat pod jeziorem

Wiagry nie wiadomo, fakt, że biegł on tutaj wyjątkowo głęboko, na poziomie około stu pięćdziesięciu metrów, i by się dostać na górę, należało pokonać pięćset stopni pionowej metalowej drabiny.

*

Oczywiście w ciągu tej nocy, a także następnego poranku w Rzeczypospolitej, zwanej na oficjalnych drukach Wicekrólestwem Skandynawii Południowej, działo się mnóstwo ważnych spraw, tyle że dopiero z historycznej perspektywy pojąć można, które z tych działań miały sens i daleko idące konsekwencje, a które nie.

Wojewoda Killer począł gromadzić wokół Turonia siły znaczne, mieszane, złożone z oddziałów wojskowych, a także policyjno-prewencyjnych. Z całego kraju ściągano sprzęt, w promieniu kilkunastu kilometrów od miasta wytypowano liczne szkoły (uczniów wyprawiono na przedwczesne wakacje) z przeznaczeniem na szpitale polowe albo punkty, do których miały być transportowane jednostki stawiające opór. Wedle najgorszej wersji przewidywano wysiedlenie części mieszkańców miasta na dłużej.

Podciągnęły również w pobliże miasta liczne posiłki szwedzkie, co poszło tym łatwiej, że rozmieszczanie prezydów w południowej Polsce wstrzymano: prezydenci Wrocławia, Opola, Katowic, Krakowa, Tarnowa i Rzeszowa wydali wspólne oświadczenie, że owszem, unie ze Szwecją jak najbardziej popierają, ale poradzą sobie z zachowaniem porządku własnymi siłami i Szweda do miast nie

wpuszczą. W Krakowie pojawił się niejaki Ryszard Białecki, były poseł BiS-u, który sam o sobie twierdził, że jest prapraprawnikiem słynnego hetmana Stefana Białeckiego, Szwedów w 1656 roku pogromcy. Onże to w kościele w Łagiewnikach ogłosił konieczność obrony wartości podstawowych i w tej intencji, jak twierdzą, całą noc na podłodze krzyżem przeleżał.

We Wrocławiu na studenckim wiecu poparcia dla prezydenta miasta nieoczekiwanie pojawił się Grzegorz Detyna, niegdyś marszałek sejmu i najbliższy premiera przyjaciel, obecnie wróg zacięty, margines marginesu politycznego, który jednak, jak mówiono, zachował wszędzie wpływy wielkie, choć ukryte.

Tenże Detyna pozostawał cały czas w kontakcie z marszałkiem Moczypsem i jeszcze tego samego dnia do jego pałacu zajrzał, ale o czym mówili i co planowali, trudno dociec.

Łatwiej było się domyślić, co porabiał Ronald Duck. Na pewno nie wypoczywał w żadnym narciarskim kurorcie. Zaszył się w dawnej proradzieckiej bazie pod Rembertowem, gdzie byle łachudra przystępu nie miał, a jedynie osoby najbardziej wpływowe, w rodzaju oligarchów finansowych i innych wielce tajemniczych person, które odwiedzając premiera, poprawiły mu nastrój lepiej niż grupa zawodowych szamanów. – Wystarczyło – twierdził później Detyna – że uświadomiono mu co oznaczałaby rejterada lub oddanie władzy. Szwedzi zapytaliby o sto miliardów, które tajemniczo gdzieś wsiąkły, naród o trwający rzekomo cud gospodarczy, opozycja o tajemnice katastrofy witebskiej...

Pojawiły się plotki, że w trakcie jednej dyskusji z ludźmi naprawdę wpływowymi mogło nawet dojść do rękoczynów, czego dowodem miał być siniec pod okiem premiera, ale rzecznik Struś to zdementował, twierdząc, że Ronald jedynie potknął się podczas kąpieli. Najbardziej obrotem spraw u nas zdumieni byli Szwedzi, którzy po gładkim połknięciu Pribałtyki spodziewali się równie prostego kontraktu z Polską, a pierwsze dni tylko ich w tym mniemaniu upewniły. I nagle sprawa Turonia! Doszło nawet do przykrej rozmowy na ten temat między królem a panią kanclerz Gabriellą Oxienstierną, podczas której Karol Gustaw pozwolił sobie na stwierdzenie, że skoro od podpisania aktu nie minął jeszcze miesiąc, można by go renegocjować. Ale twarda Gabriella rzuciła tylko przez zaciśnięte ząbki:

– Wasza Królewska Mość to sobie może na rowerze dookoła pałacu jeździć, a politykę proszę pozostawić mnie i feldmarszałkowi Wittenbergowi! – Tu wykonawszy przepisową liczbę ukłonów, wyszła z sali audiencyjnej.

*

Piękny klasztor kamedułów na półwyspie wcinającym się w wody jeziora Wiagry został zwrócony zakonnikom dopiero w latach dojrzałej III RP, a ci przekształcili go w wielce dochodowy hotel. Szczególnie młodym małżeństwom podobały się noclegi w przytulnych eremach. Ale nie trwało to długo. W roku 2015 po

kasacie wszystkich zakonów kontemplacyjnych obiekt przejęło państwo i zaadaptowało go na specjalnego rodzaju zakład psychiatryczny, w którym grupa naukowców PAN-u wzorem dawnych uczonych radzieckich rozpoczęła badania nad wyjątkowymi przypadkami schizofrenii bezobjawowej.

Wkrótce trafił tam Jarosław Indykiewicz, charyzmatyczny przywódca Brawa i Spolegliwości z początku stulecia, jedyny realny kontrkandydat dla Ronalda Ducka, choć we wszystkich wyborach przegrywał z nim z żelazną konsekwencją.

Jeśli idzie o przymusową izolację, prezes sam był sobie winien. Mimo specjalnej uchwały sejmu i senatu nie chciał się poddać badaniom psychiatrycznym i już samo to czyniło z niego wariata. Inna sprawa, że po blisko pięciu latach niewiele mu brakowało do popadnięcia w pełną fiksację. Umieszczono go w małym eremie, położonym poza głównym obiektem; nad jego bezpieczeństwem czuwali strażnicy, zmieniający się trzy razy w ciągu doby, a także obrączka z chipem, pozwalająca namierzyć go w każdych okolicznościach.

Franek od Nosala znał na ten temat zaskakująco wiele szczegółów i Janosik się domyślał, że nie tylko w klasztorze bywał, ale też miał tam swojego człowieka.

Pod koniec wspinaczki po drabinie odczuli wreszcie przewiew i coraz jaśniejsze światło przedzierające się przez liście.

Herszt wyjął komórkę i puścił SMS-a.

Potem czekali. Ale nie za długo. Gdzieś po dziesięciu minutach

ktoś rozgarnął gęste krzaki i pojawiła się dłoń z kluczem, która otworzyła masywną kłódę.

– Wchodźcie!

Chwilę później stali na polance skąpanej w prawdziwie letnim żarze, w sercu matecznika, którego, jak się wydawało, od dawna nie tknęła stopa ludzka. Słońce stało wysoko, śpiewały ptaki, a leśne wonie przyprawiły o zawrót głowy.

Wpuszczający, tytułowany przez herszta bratem Pankracym, nosił sutannę posługacza zakonnego, chociaż sam zakonnikiem raczej nie był. Skwapliwie pochwycił plik dziecięcej pornografii, dobytej przez Nosala z sakwy, i schował za pazuchę.

– Co was sprowadza? – zapytał chrapliwie.

– Mówiłeś mi o tym waszym pensjonariuszu... – ściszył głos Nosal – o panu Jarosławie. Potrzebujemy go!

– Że co...? – Pankracy wydawał się oszołomiony propozycją.

– Musimy go stąd zabrać!

– Na głowę upadliście! Dzień i noc ma stałego opiekuna...

– Przecież ty jesteś tym jego opiekunem i właśnie objąłeś dzienny dyżur, który potrwa do wieczora.

– Cała wyspa najeżona jest urządzeniami monitorującymi i prawie wszystkie działają!

– Ale przecież wiesz, gdzie się znajdują i jak je obejść!

– Cóż z tego, że wiem i na lądzie potrafiłbym je wyminąć. Dostępu do wody bronią zasieki z drutu kolczastego, teoretycznie też do wyminięcia, jest bowiem zostawiona ścieżka dla dzikiej zwierzyny

podążającej do wodopoju, na której elektryczne bariery wyłączane są o zmierzchu...

– No, więc...!

– Za to w wodzie znajduje się całe mnóstwo pływających min, a co pół godziny przepływa policyjna motorówka... Reasumując, mysz się stąd nie wymknie.

– Jest jeszcze nasz tunel!

Na to dictum strażnik aż spurpurowiał na twarzy:

– Zaryzykowałbyś dekonspirację tunelu i narażenie się Podziemnej Federacji Bractw Zbójeckich. Spróbuj. Już nie żyjesz! A poza tym... znasz pana prezesa?

– Z telewizji.

– No, to jaką masz pewność, że zechce z tobą pójść? To inteligent z Żoliborza, który na widok twojej zakazanej gęby po prostu ucieknie.

– No, to może porozmawiam z nim... – herszt przesunął wzrokiem po swoich kamratach, z których każdy miał na licu wypisane okrucieństwo, fałsz i przewrotność, i zatrzymał się na Janosiku; jego twarz tchnęła wręcz prawdomównością i trzeźwością – ...Glizda Kościeliski!

Strażnik przyjrzał się góralowi wzrokiem handlarza niewolników.

– Ten może być, ale efektu nie gwarantuję. Co się zaś tyczy ewakuacji i mojego wynagrodzenia...

– O tym porozmawiamy potem, najpierw faktycznie trzeba się dogadać z Indykiewiczem.

Zbóje wtopili się w teren, a Janosik poszedł za bratem Pankracym,

z trudem go doganiając, bo mimo przygarbionej postury drobił giczolami jak Struś Pędziwiatr, a ponadto znał teren.

Dzień był ciepły, nadzwyczajnie słoneczny, z niewielkim wiatrem od strony wody. Okoliczności wydawały się sprzyjać ich zamierzeniom. Więzień nie znajdował się w samym eremie, lecz na uroczysku, jak nazywano gęstwą leśną porastającą cypel wiagierskiego półwyspu. Musieli przedzierać się przez krzaczory, nieraz zapadając się po pas w kobiercach mchów i traw.

– Jest! – szepnął nagle Pankracy, gestem nakazując zachowanie milczenia. Janosik zresztą i tak nie byłby w stanie wypowiedzieć ani słowa. Obraz, który ukazał się jego oczom, mógł pochodzić wyłącznie z bogobojnej czytanki. Oto na powalonym pniu siedział starzec biały jak mleko, z długą brodą i włosami do ramion, okalającymi łysy placek na czubku głowy. Wokoło niego tłoczyli się mali leśni bracia: sarenka, którą aktualnie karmił, zając szarak szczypiący trawę między jego nogami i dwie wiewiórki na obu ramionach... Zwierzęta musiały wyczuć obcych, bo pierzchły nagle, a staruszek spojrzał gniewnie w stronę nadchodzących. Mimo dobrotliwości czuło się, że w potrzebie zdolny jest ujawnić moc wkurzonego tytana.

– Ten pan chciałby z prezesem porozmawiać – oznajmił Pankracy – w sprawach niecierpiących zwłoki.

– *Memento mori!* – rzekł Indykiewicz, kierując oczy ku niebu. Janosik pomyślał, że być może został wzięty za jakiegoś żurnalistę, toteż szybko powiedział:

– Nie jestem dziennikarzem ani politykiem, tylko prostym

górale, przedstawicielem grupy wolnych obywateli, którzy pragną pana oswobodzić...

– *Memento mori* – zabrzmiało ponownie wśród zieloności leśnego matecznika.

Niedobrze! Najwidoczniej Indykiewicz popadł w zupełną obojętność wobec całego świata.

– Czy on w ogóle wie, co się dzieje? – zapytał szeptem Pankracego.

– Nie mam pojęcia. Telewizji nie chce oglądać, ale gazety czyta i radia słucha.

Janosik znów zwrócił się do przymusowego pustelnika:

– Jeśli pan nie wie, to uprzejmie informuję, że tydzień temu rząd pana Ronalda Ducka zrezygnował z naszej niepodległości, oddał kraj Szwecji... Ale naród tego nigdy nie zaakceptuje, naród się budzi, powstają punkty oporu, potrzeba tylko wódza...

– *Memento mori* – padła po raz trzeci odpowiedź, a starzec jakby bardziej zapadł się w siebie.

– Sam pan widzi, nic tu po nas – powiedział Pankracy, ujmując górala pod ramię.

Ten też czuł obezwładniającą rezygnację. Już miał odejść, ale jeszcze raz zebrał się w sobie i rzucił:

– Jarosław, Polskę zbaw!

Coś zaszklilo się w oczach samotnika. Chwilę trwał nieruchomo, po czym wstał i podszedł do górala, który przerastał go o głowę.

– A w jaki sposób zamierza mnie pan stąd wydostać? – zapytał

niezwykle spokojnie.

*

Mogło się wydawać, że sukces związany z odparciem ataku ułatwi sytuację Kordiana Chamiaka i Michałka. Nic bardziej mylnego, szczególnie jeśli idzie o młodego komandosa – jego sytuacja z każdą godziną robiła się coraz trudniejsza. Wprawdzie zyskał paru fachowców przydatnych do obrony, ale była to kropla w morzu potrzeb.

Dla wielu zakonników, dotąd zalęknionych i zdezorientowanych, oddalenie – jak im się wydawało – największego niebezpieczeństwa stworzyło nową sytuację. W dodatku profesor Rosenholtz z resztą doradców nie próżnowali. Po kilku naprawdę doskonałych programach z ich udziałem, które poszły w świat, po telefonicznej rozmowie Rosenholtza z doradcą premiera Wielkiej Brytanii i czołowym członkiem amerykańskiego Kongresu udało im się owinąć dookoła palca ojca rektora, prowincjała i biskupa turońskiego, którzy zmienili front i przybyli do klasztoru, nieoczekiwanie stając się orędownikami oporu. Łykali komplementy Wydry, trafiały do nich argumenty podnoszone przez Rydwańskiego, a rozwijane przez Rosenholtza.

– Nie może tak być, aby piątka ludzi znikąd, emerytka, kryminalista, prostytutka, ochroniarz i ksiądz konferansjer, stała ponad zakonną hierarchią – przekonywali. – Owszem, położyli oni

pewne zasługi, ale teraz należy przejść do fazy negocjacji, w której są jedynie przeszkodą...

– Tyle że władza nie wykonała, jak dotąd, najmniejszego gestu wskazującego na gotowość do zgody – zauważył biskup.

– Niech ekscelencja będzie spokojny, wykona – zapewniał Rosenholtz. – Poza tym chodzi nam wszystkim o ochronę narodowych wartości i pozycji Kościoła, a nie o jakąś zadymę dla zadymy, która, nie daj Bóg, wciągnie w obłądny wir całą Europę.

Duchowni kiwali głowami, cieszyli się z przybywania różnych autorytetów z miasta, które zasilają obóz buntowników, do niedawna stojących twardo po drugiej stronie. Toteż czwartkowego ranka, ku powszechnemu zadowoleniu, powstała stuosobowa Rada Wolnego Turonia, w której łaskawie zaproponowano miejsce Chamiakowi i księdzu Markowi. W tylnym rzędzie.

W pierwszej chwili młody oficer chciał odrzucić upokarzającą ofertę, ale przekonał go Wądołowicz.

– Przyjmij ten despekt z chrześcijańską pokorą. W czasie pokoju nie mielibyśmy szans na przebicie się z naszymi argumentami w tym gremium, ale jeśli dojdzie do rzeczywistego zagrożenia, a co do tego nie mam żadnych wątpliwości, dwóch ludzi zdecydowanych ma więcej do powiedzenia niż dziewięćdziesięciu ośmiu przerażonych.

– Jeśli ksiądz tak uważa...

Niewiele brakowało, aby Kordianowi odebrano nawet dowództwo ochrony ośrodka, ale znów zdecydowała postawa księdza Marka:

– W takim razie wyłączamy nadajniki, a Michałko przestaje

wpuszczać program w sieć.

Po chwili konsternacji poparł go dość stanowczo ojciec prowincjał i – co ciekawe – Maciej Skaliński „Żabka”.

– Zawsze trzeba stawiać na ludzi czynu, którzy wykazali dodatkowo, że mają szczęście – rzekł, zanim jeszcze doszło do głosowania w tej sprawie. – Wiem coś na ten temat. – Jego koledzy mieli głupie miny, ale nie pozostało im nic innego, jak dołączyć...

– Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze – powiedziała Emilia po zakończonych obradach, rzucając się Kordianowi na szyję.

Okropnie się zmieszał. W stosunku do Fajansówny miał uczucia dość ambiwalentne. Naturalnie wiedział, czym wcześniej się trudniła ale w odróżnieniu od Dżesiki była taka normalna, taka spontaniczna w reakcjach i taka ładna... W dodatku jej odruchy nie były podszyte jakąś seksualną ofertą. Czuł, że jej uczucia zostały zainwestowane gdzie indziej, a z drugiej strony obserwował, jak usiłują rwać ją „doradcy”, tyleż zawzięcie, co bezskutecznie.

O ile w trakcie podróży do Warszawy trochę go, chyba mimowolnie, kokietowała, o tyle po powrocie do Turonia wodziła wzrokiem wyłącznie za hakerem Michałkiem. Tylko że ten pozostawał wobec niej dziwnie obojętny – dzielił swoje uczucia między Matkę Boską (jakieś dziewięćdziesiąt procent) a małą Patrycję.

Z tą też był kłopot. Dziewczynka oszalała na punkcie hakera.

– Obiecuj mi, że się ze mną ożenisz – powiedziała pewnego razu.

Michałko zbladł.

– Nawet u Cyganów trzeba mieć dwanaście lat, żeby się żenić – wybełkotał.

– Toteż ja tylko chcę, żebyś mi obiecał, że na mnie zaczekasz, aż dorosnę...

– Kiedy dorośniesz, będę starym facetem pod czterdziestkę.

– Ale jakim mądrym. No to co, obiecasz mi?

– Mogę ci obiecać, że wrócimy do tego tematu za dziesięć lat.

– W porządku!

Tak zupełnie w porządku nie było. Intelktualnie rozwinięta dziewczyna nie mogła się pogodzić ze swym wiekiem. Bywało, że zmęczony się nauką chińskiego, biegła do łazienki, tam przed lustrem rozpiniała bluzeczkę i spoglądając na miniaturowe guziczki swoich piersi, narzekała:

– Nic mogłybyście rosnać prędzej?!

Inna sprawa, że jakiegokolwiek emocje i sympatie męsko-damskie musiały w tamtych dniach i godzinach schodzić na plan dalszy. Liczyły się praca i przygotowania do starcia. To, co dla Kordiana było jasne od początku, dla reszty obrońców Turonia stało się oczywiste po paru godzinach, kiedy na własne oczy się przekonali, że mimo zapowiedzi ekspertów władza negocjować nie chce, tylko coraz ciaśniejszym pierścieniem miasto oplata, siły zbiera i czeka jedynie, aby zbuntowaną rozgłośnie przywołać do porządku, a najlepiej zrównać ją z ziemią.

– Kiedy uderzą? – dopytywał się ksiądz Marek.

– Podejrzewam, że najbliższej nocy – odparł Chamiak i skierował

wzrok na matkę, mając nadzieję, że podniesie ich na duchu, wspominając jakiś nowy sen srebrny. Ale Salomea Łęcka milczała.

– Trzeba się modlić i prosić o pomoc Najświętszą Panią – rzuciła z kąta mała Patrycja, która z braku innych zajęć wzięła się za naukę języka szwedzkiego.

– Sam Pan nasz przemawia ustami tego dziecka – skomentował ksiądz Marek. – Tylko jej słuchać.

Czynili więc to, osobiście i grupowo, a Emilia, która nie modliła się od dawna, zaczęła znajdować coraz więcej upodobania w tym, co wcześniej uważała za klepanie starodawnych sformułowań bez jakiegokolwiek znaczenia. Poszła nawet do spowiedzi, wybierając starszego księdza, w świecie bywałego, który i na Nowej Gwinei żył czas dłuższy, i w asfaltowej dżungli Chicago posługiwał. A i tak jej wyznania musiały być wstrząsem nie lada, bo kapłan zaraz po jej wyjściu dalszego spowiadania zaniechał, stułę powiesił na gwoździu i trzymając się za serce, poczołgał się do akademickiego ambulatorium po jakieś proszki uspokajające.

Natomiast Emilia, prócz zwyczajowej pokuty, sama wyznaczyła sobie najgorsze zadania: szorowała podłogi i ustępy, pomagała w szpitalu i garkuchni, ani przez chwilę nie zapominając o modlitwie i uśmiechu.

Kordian uważał, że modlitwa nie przeszkodzi, ale jako człowiek czynu, i w dodatku wojskowy, więcej wiary pokładał w przygotowaniach militarnych – niektórych całkiem rozsądnych, jak kopanie rowów czy stawianie zapór przeciw wozom bojowym, innych

szokujących, jak zamówienie tuzina (czyli dwunastu) świń żywych w pakiecie z rzeźnikiem – czy tajemniczych naradach z Michałkiem i kilkoma innymi specjalistami od cybertechniki.

Jak się okazało, ten pośpiech był w pełni uzasadniony. Nie musieli czekać aż do nocy. Około godziny szóstej wieczorem wojska weszły na peryferie miasta i nie napotykając sądnego oporu, koncentrycznie podążały w stronę centrum. Miasto zastały opustoszałe – ludzie pokryli się po domach i dygocąc czekali na rozwój sytuacji – pozostawało więc jedynie zajmować puste komisariaty z których uciekły załogi jeno czasem w całym budynku został jakiś stuprocentowy służbista. Do dwudziestej drugiej oddziały znalazły się w odległości pół kilometra od ośrodka ojców redemptorystów budząc panikę wśród członków Rady Stu, z których wielu serdecznie żałowało swego akcesu, a niektórzy (na przykład wiceburmistrz) nie wytrzymali i uciekli. Uderzono w dzwon – a Michałko rozpoczął transmisję na żywo. Chwilowo transportery opancerzone zatrzymały się w bezpiecznej odległości od bramy. Inna sprawa, że dalszy pokojowy marsz nie był możliwy. Musieliby wbić się w wielusettyśięczny tłum, który – zajmując wszystkie ulice wokół ośrodka – siedział na jezdniach i trotuarach, milcząco spoglądając w twarze nadciągających oddziałów.

Nie milczały natomiast telebimy, które – doskonale widoczne od strony atakujących – posłużyły (jak nazywał to Powiatowy) perfidnej robocie dywersyjnej, gdyż zaczęto na nich wyświetlać programy mogące zmiękczyć dusze atakujących. Pokazywano więc obrazy

matek z niemowlętami i dzieci przystępujących do pierwszej komunii, migawki z triumfalnych pochodów przez kraj papieża Polaka, a także wyimki z filmów o chwale Polski wielkiej a niepodległej – z Krzyżaków, Pana Wołodyjowskiego czy Bitwy Warszawskiej.

Michałko nie miał pewności, czy to odniosło zamierzony skutek, inaczej jednak uważała Salomea Łęcka.

– Moc i wola Matki Bożej przegna świętokradców! – twierdziła.

I wyglądało na to, że ma rację.

O dwudziestej drugiej piętnaście transportery ponownie zapuściły silniki, a oddziały napastników zaczęły się wycofywać, aż znikły zupełnie z pola widzenia.

W pierwszej chwili w szeregach obrońców zapanowało niedowierzanie, ale po kilkunastu minutach, gdy ostatni wóz bojowy opuścił rubież miasta, w całym Turoni doszło do wybuchu rzadko widzianej radości. Ludzie zaczęli tańczyć na ulicach, a delegacja ludu Bożego zwróciła się z prośbą, aby bić w dzwony i odśpiewać zwycięskie *Te Deum*. Ksiądz Marek się nie zgodził.

– Na bicie w dzwony jest zdecydowanie za wcześnie! – powiedział.

XII

11/12 CZERWCA 2020 ROKU, NOC Z CZWARTKU NA PIĄTEK I PORANEK

Rzeczywiście, przeświadczenie o sukcesie, które szerzyło się w Turoni, było mocno przedwczesne. Oddziały Killera wycofały się jedynie na z góry upatrzone pozycje wokół miasta. Wycofały się, bo musiały. Od paru godzin sam wojewoda, podobnie jak jego sztab, bombardowany był sygnałami o histerycznych nastrojach wśród wojska, także o niepokoju pośród niższych oficerów.

– Moje odwody nie chcą atakować sanktuarium – twierdził generał Wrzeszczowicz, absolwent West Point.

– Przy najgorszym obrocie zdarzeń policyjny batalion kobiecy może nawet przejść na stronę przeciwnika – twierdziła pułkownik Wanda Wasilewska.

– W głębi ducha nawet oddziały szturmowe wspierają buntowników – dorzuczał znany już z wyprawy na dach major Molski.

– Bez paniki! Moje baranki zawsze pójść mogą jako szpica, tyle za nie mogę zaręczyć, iż obędzie się bez rozpierduchy i ktoś przy okazji nie oberwie – oznajmił „afganiec” Kuklinowski, rostry mężczyzna z twarzą dziobatą, blizn pełną. Był on dowódcą samodzielnej grupy Pierun, z rozmaitych ciemnych typów utworzonej, która w oficjalnej

nomenklaturze nosiła nazwę Pierwszej Brygady Komercyjnej Samofinansującej. W kraju użyto jej dopotąd ledwie raz czy dwa razy, a przeważnie wynajmowano ją w różnych celach do odległych części świata – somalijskich piratów tępić, andyjskich hodowców koki w aniołów przerabiać czy też uczyć Kubańczyków demokracji i gospodarki rynkowej, co szło oporniej niż ponowne otwarcie burdeli w wesołej Hawanie po upadku dynastii Castrów.

– Szpica szpicą, w sprawność ludzi pułkownika Kuklinowskiego nie wątpię – powiedział Wrzeszczowicz – wszelako obawiam się, iż może zabraknąć regularnego żołnierza do opanowania całego miasta.

– Zetniesz głowę szefom, reszta pójdzie w rozsypkę! – zaśmiał się Kuklinowski. – Pamiętacie, jakem z mymi chłopaczkami zbuntowane zakonnice w Trzebnicy poskromił...

– Obawiam się, że tym razem nie mamy za przeciwnika grupki historycznych mniszek...

– Ale wojsko to wojsko. Trzeba wydać rozkaz, a jak nie usłuchają, dać opornych pod sąd wojskowy – zawołał zniecierpliwiony Killer.

– No, to wydaj im ten rozkaz osobiście, mości wojewodo – powiedział cierpko Wrzeszczowicz.

Zdenerwowany Killer kazał się z Warszawą łączyć, dłuższą chwilę przerzucano go od Annasza do Kajfasza, wreszcie usłyszał głos samego ministra Tomasza Limoniaka.

– Polacy do tej roboty są niepewni, mówicie? Nic nie szkodzi. Przekażcie cały sprzęt Szwedom! Idzie już do was cała kolumna z Grudziądza i druga z Bydgoszczy...

– Tak szybko...? – zdumiał się wojewoda.

– Zadbałem o to wcześniej, przewidując taką kolej rzeczy. Nie na darmo zwą mnie Tomaszem Wiernym Przewidującym.

– A co na to premier?

– Akceptuje wszystkie nasze poczynania.

Dwie godziny później dwie elitarne jednostki szwedzkie znalazły się pod miastem. Killer poszedł dokonać ich przeglądu, a ponieważ był na Sienkiewiczu chowany, zdumiał go widok onego kontyngentu, który wyglądał tak, jakby bogom historii pomieszał się Potop z Panem Wołodyjowskim – znajdowała się tam doborowa kompania sudermańska z samych Turków anatolijskich złożona, bezlitosny batalion sudańskich ghazich zebranych po slumsach Skanii (a każdy wojak czarniejszy był od hebanu nocą), ciągnęły też zmotoryzowane oddziały mudzahedinów, składające się głównie z bitnych Libijczyków, Göteborg zamieszkujących, także pułk kurdyjskich janczarów z Dalarny czy wreszcie specgrupa dywersyjna ze Smalandii, z samych uchodźców palestyńskich uformowana. Wojsko to prezentowało się imponująco – karne, sprawne, choć w głębi ducha pieniędzy, kobit i pogwałcenia chrześcijańskiego Lechistanu cheiwe. Rodowitych Skandynawów nie uchoowało się wielu, głównie wśród dowódców i wsparcia logistycznego, przy czym przeważały wśród tych kadr kobiety, jasnowłose walkirie, z pewnością wywołujące u swych podkomendnych uczucia co najmniej dziwaczne.

„Zderzenie cywilizacji!” – przemknęło przez głowę Molskiemu. I przez moment się zastanawiał, czy nie lepiej byłoby mu jednak

w klasztorze.

*

Franek od Nosala, który dołączył do Janosika i Pankracego, zaproponował dość prosty sposób na wydostanie Jarosława Indykiewicza z wiagierskiego miejsca odosobnienia. Należało doprowadzić prezesa do sekretnego wjazdu w zaroślach, pomóc zejść po drabinie na sam dół, a gdyby były z tym jakieś trudności, na linie spuścić, dalej czekała drezyna...

– Za pół godziny możemy być w drodze – obiecywał.

Jednak przeciwko tym planom gwałtownie zaproponował Pankracy.

– Przy takiej koncepcji w życiu wam nie pomogę, jeszcze sam larum podniosę. Żadne pieniądze nie mogą tego zmienić!

– Ale o co ci chodzi? – zdumiał się herszt.

– Obedrą mnie ze skóry! – jęczał strażnik. – Rozstrzelają za zdradę, a moją rodzinę pozbawią środków do życia.

– Tedy uciekaj razem z nami! – zaproponował zbójnik. – Wiem, że masz tu życie jak u Pana Boga za piecem, ale raz dla Matki Ojczyzny coś zrobić możesz. Ze swej strony mogę zapewnić, że gratyfikację sowitą otrzymasz.

Pankracy zaraz lamentować przestał, a w jego oczach bojaźń ustąpiła miejsca chytrności.

– A tunel? – zapytał. – Gotowi jesteście dla szlachetnej, choć niepewnej sprawy poświęcić całą międzynarodową kontrabandę, która

tak znakomicie się rozwija od ćwierćwiecza? Bracia zbóje nie darują tego ani wam, ani waszym rodzinom.

– Słusznie mówi – wtrącił się Indykiewicz, dopotąd przysłuchujący się ich sporowi. – Zawsze najważniejsze są pozory. Władze muszą uwierzyć, że uciekł inną drogą, a najlepiej, że nie żyje. Co zresztą na jedno wychodzi. Mój pobyt tutaj sprytnie zaplanowano. Drogi lądowej spróbuję, to mnie ustrzelą, zechcę pływać, jak nic na miny natrafię, a nawet gdybym jakimś cudem je ominął... Od paru lat przy brzegach ostrowu żerują stada zimnolubnych piranii, które w mig obiorą mnie do ostatniej kostki.. – Na samą myśl Janosika przeszedł dreszcz. Indykiewicz tymczasem zmienił temat. – Skoro już o życiu i śmierci mówimy, potrzebuję twojej pomocy panie Pankracy, i to w zdecydowanie przyziemnej sprawie. Neruś zdechł.

– Wasz piękny dog? – zdumiał się strażnik. – A co mu się stało?

– Nie mam pojęcia, atoli zawsze częstuję go jedzeniem, które mi dostarczacie, i coś mu zapewne zaszkodziło...

– Pies? Duży? – Janosikowi coś zaczęło świtać w głowie.

Plan był dość prosty, choć wymagał poczekania z realizacją do wieczora. Znaczący Jarosław czekać nie musiał. Szybko włosy ściął, brodę ogolił, a z tego, co spadło, perukę i sztuczny zarost sporządzono, w sam raz dla Kwiczola, który aparycją do Indykiewicza był zbliżony i aż do zmierzchu miał go odgrywać.

Najprościej poszło z obrozą z chipem. Jarosław schudł w trakcie swej niewoli tak znacznie, że udało się ją ściągnąć bez uszkodzenia i psu na szyję nałożyć.

Janosik doprowadził prezesa BIS-u do wjazdu, pozostawiając akcję na półwyspie w rękach Kwiczola i Pankracego. Udała się nad wyraz.

Pankracy potem twierdził, że Kwiczol musiał być chyba bliźniakiem astralnym prezesa, bo odgrywając rolę Indykiewicza, był często bardziej przekonujący niż sam Indykiewicz. Parę razy uchwycić się dał kamerom, tak aby nikt nie nabrał najmniejszych podejrzeń, a nie dały się oszukać jedynie zwierzęta, z których żadne nie wychyliło mordy z zarośli. Pankracy przez dzień cały zachowywał się wedle ustalonych procedur, co godzinę meldując, że z pacjentem nic szczególnego się nie dzieje. No, bo rzeczywiście nic się nie działo.

Dopiero o zmierzchu zsunięto do wody zwłoki psa, ubrane w pustelniczą szatę. Zrobiono to w miejscu, dzięki wybujałym olchom, dla kamer niedostępnym, a następnie pchnięto bosakiem aż ku najbliższym minom...

Detonacja postawiła na nogi całą ochronę szpitala.

Dziesięć minut potem patrol natknął się na ścieżce na zrozpaczonego Pankracego, który – jak opowiadał – gonił za swym podopiecznym, ale nie dogonił...

W międzyczasie Kwiczol zdołał bezpiecznie ukryć się w lesie, a następnie zwać drabiną do tunelu. Inna sprawa, że po zbójnikach nie było tam już śladu. Nosal wraz ze swym bezcennym pasażerem kierowali się podziemną odnogą na Gdańsk, wierząc, że uda im się odnaleźć jeden z otworów ewakuacyjnych w rejonie Turonia, a Kwiczolowi zostawiono na pociechę starą dreżynę na pych – powrót do domu miał mu zabrać ze dwa tygodnie...

Tymczasem dopadłszy do wody strażnicy zobaczyli już tylko krwawą plamę, resztki ubrania i uwijające się wśród tego nieduże rybki, żarłoczne, że aż strach. Obecność min sprawiała, że jakakolwiek próba dotarcia do szczątków ofiary zakrawała na szaleństwo.

W eremie znaleziono własnoręcznie napisany list prezesa następującej treści: „Odchodzę, niezależnie od tego, czy mi się uda, czy nie, niech Bóg się nad wami zmiłuje!”

– Wiedziałem, że tak to się skończy – skomentował ordynator. – Nasz nieszczęsny pacjent pogrążył się w coraz głębszej melancholii, bredził o moralności w polityce, o Polsce mocarstwowej, europejskim liderze, wręcz drugich Chinach... Poza tym ta zmiana osobowości... kiedyś kochał koty, u nas zaczął się przyjaźnić z psami. Musiało się to tak skończyć. À propos, sierżancie Pankracy, co się stało z jego ostatnim psem?

– Po mojemu Neruś też przesiąkł inklinacjami samobójczymi więźnia. Gonilem ich i widziałem, jak wskoczył do wody za swym panem. W efekcie podzielił jego los.

*

Już pół godziny po odwrocie oddziałów Killera w mailowej skrzynce turońskiej akademii pojawił się sygnał, że jakaś osobistość z Warszawy gotowy jest przybyć do Turonia na negocjacje.

– A kto ją przysyła? – spytał Michałko, dziwiąc się, że

w wideomailu słychać tylko głos, a vis à vis kamery widać jedynie arras, dowodzący, że jest to rezydencja jakiejś naprawdę ważnej osobistości.

– Władza centralna – padła odpowiedź.

– Czyli kto?

– Wybiera się do was podsekretarz stanu w Ministerstwie Pracy, Płacy, Wyznań i Zeznań.

– Kiedy przybędzie?

– Jutro rano.

– A ma upoważnienie do negocjacji?

– Ma upoważnienia, plenipotencje, a także wszelkie inne umocowania pozwalające, gdy tylko dojdzie do ugody, wprowadzić ją w życie i podać światu do wiadomości.

– A możecie podać nam wasze wstępne propozycje? – zapytał Michałko. – Łatwiej się będzie przygotować.

– Nie możemy, albowiem gdybyśmy je podali, nie byłaby to z naszej strony negocjacja, jeno kapitulacja. Powtarzam, emisariusz przybędzie rano.

– Zrozumiałem, dziękujemy. Z Bogiem.

– Z Bogiem.

Janusz Moczypies odszedł od wideotelefonu. Prezydent Gomorrowski i Tomasz Obwarzan popatrzyli na niego z niemym podziwem.

– Tak to się załatwia w Biłgoraju... – rzekł były producent napojów wysokokowych.

– A jakie to będą propozycje? – zapytał Gomorrowski.

– Jeszcze nie wiem. Do rana się wymyśli. Może zaoferujemy neutralność Turonia w obrębie połączonych Koron, coś na kształt San Marino? Mielibyśmy jeszcze dodatkowy zarobek na cłach i turystach. Najważniejsze, żeby uwierzyli w naszą dobrą wolę i utracili dotychczasową ofensywność...

– Jednego się boję... – westchnął prezydent, łykając jakieś pigułki.

– Czego?

– Że Limoniak nie wytrzyma i spróbuje powtórzyć atak, nim nadejdzie świt.

– Nie sędzę – mruknął Moczypies. – Ale czas na mnie. Dobrej nocy Wronku... A pan, panie profesorze, mógłby odprowadzić mnie do drzwi.

Wyszli. Gomorrowski był za bardzo zmęczony i zdenerwowany, by zwrócić uwagę, że ktoś szepce za jego plecami.

*

Kiedy koło godziny drugiej Chamiak po krótkiej drzemce udał się na obchód wart, o mało krew go nie zalała. Czuwał zaledwie co trzeci ochotnik, reszta spała jak, nie przymierzając, apostołowie w Ogrodzie Oliwnym. Z tłumów za dnia koczujących na ulicach zostało się najwyżej kilkudziesięciu przybyszów z innych stron kraju, śpiących w namiotach lub śpiworach leżących bezpośrednio na chodniku. Można było zresztą wynieść ich razem z tymi śpiworami.

Oczywiście Kordian nie puścił tego płazem – rabanu narobił. Kilku dodatkowych strażników pobudził i nakazał sprawdzać punkty wartownicze co kwadrans, wreszcie połączył się z najbardziej wysuniętymi czujkami, które miały za zadanie monitorować wszelkie poczynania przeciwnika, i zapytał: – Co tam u was?

– Cisza, spokój – brzmiały meldunki.

– Naprawdę nic się nie dzieje?

– Są jakieś niewyraźne ruchy na zapleczu, ponoć posiłki doszły.

– Jakie posiłki?

– Mówią, że szwedzkie!

Kordian zmarszczył brwi. Jego przewidywania się sprawdzały. Polacy okazali się do tej akcji niepewni, toteż postanowiono posłużyć się sojusznikami.

– Myślisz, że uderzą? – zapytał na wpół sennie ksiądz Marek.

– Nie myślę czy, ale kiedy. Za godzinę zrobi się jasno.

– No, to pewnie poczekają na kolejny zmierzch.

– Moim zdaniem ruszą o wschodzie słońca.

W rzeczy samej, ledwie połowa nieba jasnością się spłonęła, szwedzkie zagony zmotoryzowane runęły ku ich reducie na podobieństwo drapieżnego ptaka, który upatrzywszy zdobycz, pikuje ku niej lotem ślizgowym. Nie na wiele zdała się czujność wart. I owszem, po trzydziestu sekundach najsampierw ozwała się syrena na dachu akademii, a zaraz u Świętego Jozefata, a potem w innych kościołach Turonia zaczęto bić w dzwony. Jęk spiżu roznosił się na podobieństwo moru, ogarniał świątynię po świątyni, a niezwykła

muzyka brzmiała w uśpionym mieście groźnie a podniośle, nie odgadniesz – Requiem czy Te Deum!?

Wszelako pięć minut, które zbiegło od podniesienia alarmu, starczyło szybkim wozom bojowym na pokonanie dystansu dzielącego przedmieścia od zakonnego kompleksu. Pędziły, zda się, na złamanie karku, niepowstrzymywane przez nikogo. Nieliczni czuwający i mieszkańcy z okolicznych domów, zwabieni na ulice dźwiękiem syren i dzwonów, co rychlej pierzchali pod ściany, aby uniknąć rozjechania, ani myśląc o oporze.

Jasne się stało, że nim kolejna minuta minie, wozy wedrą się na teren ośrodka, gdzie skandynawskie zabijaki w mig poradzą sobie z garstką obrońców, niezaprawionych w walce wręcz.

I wtedy zatrzęsała się ziemia, w bliższych domach wypadły szyby, w dalszych rozdzwoniły się szklanki, talerze i garnki po szafach i kredensach.

Cud? Trzęsienie ziemi?

Osoby w helikopterze, śledzące z góry przebieg akcji, miały dokładniejszy ogląd sprawy. Oto na wprost pędzących przebiegła seria podziemnych wybuchów, rozwarły się jezdnie Beresteckiej i Świętego Jozefata i utworzyły się rowy przepaściste, w które wpadać poczęły rozpędzone transportery na podobieństwo koni w średniowiecznej bitwie, gdy na linię wilczych dołów trafiały. I zatrzymał się impet natarcia. Drugi rzut wyhamował z trudem. A w szeregach napastników zapanowała konsternacja; jedni pomagali towarzyszom wydobywać się z wozów, które leżały w najróżniejszych pozycjach do

zdechłych żuków podobne, inni próbowali odpierać ataki nieprzyjaznych manifestantów, którzy zaczęli obrzucać ich kamieniami.

Co gorsza, z niepojętego powodu akurat w tym momencie wysiadła cała łączność z dowództwem, ogłuchły telefony i zgasły komputery. (Brawo, Michałko!)

Gramolący się z wozów Szwedzi nie bardzo wiedzieli, co czynić. Bramy i mury pozostały nieskruszone. Obrońców przybywało.

W dodatku mściła się pośpieszność ataku, która sprawiła, że szpica oderwała się od reszty peletonu, od wozów z motopompami, a także od piechoty policyjnej, w rozpraszaniu demonstracji wprawionej.

W efekcie kwadransa opóźnienia wokół klasztoru znów zgromadziły się tłumy mieszkańców. Wyrosłe jak spod ziemi niedorostki obrzuciły unieruchomione transportery przygotowanymi zawczasu butelkami zapalającymi, toteż krom płotów i żywej zapory w postaci przybierającego tłumu ośrodek i atakujących przegrodziła prawdziwa ściana ognia. Nie dość zaskoczeń! Kiedy próbowano puścić w ruch pompy polewaczek, okazało się, że nocą ktoś poprzecinał węże i uszkodził mechanizmy, tak że żaden pojazd nie był zdolny do użytku, a i wody nie było w okolicznych hydrantach.

Mimo to padł rozkaz szturm, użycia gazów i kul gumowych, aliści i na to przygotowani byli obrońcy wewnątrz reduty. Nie wiadomo skąd pojawiły się setki tarcz, wprawdzie amatorskim sposobem wykonanych, ale osłabiających ostrzał, twarze zakryły wyfasowane z magazynów wojskowych maski przeciwgazowe lub

ochraniacze zrobione domowym sposobem...

Na dodatek zerwał się wiaterek, dmuchający dokładnie w nos atakującym.

Jednak ci przekroczyli w końcu linię płonących wozów i okładając dum pałkami, poczęli wyłamywać bramę, na ogrodzenie się wspinając. Dla obserwatorów z boku stawało się jasne, że prędzej czy później desperacja musi ustąpić technice i sprawności regularnej armii. A wtedy rozwarły się okna wyższych pięter hotelu Świętego Alfonsa i ukazał się w nich rząd uzbrojonych kuszników, łuczników i oszczepników...

„Z czym do gości?! – przemknęło przez myśl niejednemu obserwatorowi. – Dzidy przeciwko karabinom gładzikowym?”

Szwedzi oddali kilka strzałów ostrzegawczych, z brzękiem poleciały szyby. I chyba o to obrońcom chodziło! Mogli już odpowiedzieć atakiem na atak.

Powietrze przeszły pierwsze pociski. Jakiś urodzony w Marrakeszu Szwed, ugodzony w pierś, nie mógł opanować zdumienia, strzała bowiem zakończona była jednorazową strzykawką krwi pełną.

– AIDS-em chcą nas zarazić czy jak?

Ale zaraz ujrzano na balkonie kwiczącą świnię, szlachtowaną przez rzeźnika, a okrzyk: Schweineblut!, Schweineblut! uniósł się nad placem boju.

I załamał się atak walecznych muzułmanów.

Mogli walczyć z gaurami, mogli nawet narażać się na śmierć

w boju, wszelako żaden wyznawca islamu nie mógł ryzykować zhańbienia krwią świńską, co raz na zawsze zamykało mu dostęp do raju, hurys cudnych i wiecznie dziewiczych pełnego...

Ciskali więc oręż i podawali tyły, głosząc swym współziomkom wieść straszną, że oto sam katolicki diabeł zstąpił na ziemię.

Ostatnią nadzieją pozostawały bezwyznaniowe zakapiory Kuklinowskiego – setka odzianych na czarno mężczyzn dosiadających harleyowych potworów, dzięki swym ćwiekom, bandanom, tatuazom i piercingom przypominających bardziej satanistyczną brać niż regularną jednostkę. Wedle pomysłu zaakceptowanego przez wojewodę Killera ich szturm miał być aktem niesubordynacji, spontanicznym wyskokiem nieuzgadnianym z nikim, za który uczestnicy mieli stanąć przed sądami wojennymi, ale tylko po to, aby pochwałę odebrać. W dodatku otrzymali potajemną zgodę na użycie broni.

Pędzili tedy jak taran pod prąd umykających Arabo-Szwedów, dysząc żądzą sukcesu, zdemoralizowani wojną w formacjach cudzoziemskich, napakowani na szkoleniach nienawiścią do religii, zabobonu i wszelkiego polactwa. Co i rusz ten i ów puszczał serię z automatu, a to w nogi demonstrantów, a to po oknach, gapiów pełnych. Ot, dla postrachu i uciechy.

– Jeśli ktoś by przypadkowo zginął od rykoszetu, jego sprawa i kłopot – śmiał się Kuklinowski.

*

Mimo wczesnej pory pan premier śledził przebieg wydarzeń w swej polowej kwaterze w Rembertowie. Oczywiście śledził na wrogim na kanale 555. Janusz Moczypies, który go odwiedził, mógł na własne oczy zobaczyć, że o żadnym ubezwłasnowolnieniu Ducka nie mogło być mowy. Śliwa pod okiem niczego nie przesądzała. Limoniak grał rolę tarczy, a Książek Bogusław – miecza w rękach tego wytrawnego rycerza postpolityki. Transmisja była emocjonująca jak futbol południowoamerykański, a od pewnego czasu równie nieprzewidywalna. Klął więc Ronald w żywy kamień wszelkie niepowodzenia, aż strach pozostałych kibiców ścisnął, po czym ponownie nabierał animuszu dopingując swoich. Szarża Kuklinowskiego wprowadziła go w prawdziwą euforię.

– Tak, tak trzeba, rozpirzyć ich w drobny mak!

W tym momencie rozległ się brzęczyk telefonu. Najpierw raz, potem, jakby z wahaniem, drugi.

– Mówiłem, żeby nie przeszkadzać! – warknął Duck, po czym dorzucił ze zdziwieniem: – Kto dzwoni? Przecież nikt nie zna tego telefonu.

– To sam pan prezydent – szepnął rzecznik Struś. – Mimo wszystko wypada zapytać, o co mu chodzi.

– Wiadomo, o co chodzi, ma gacie pełne strachu – powiedział premier i wszyscy wybuchnęli śmiechem, bo niezwykle cenili jego wyrafinowane dowcipy.

Jeszcze chwila, a na monitorze wideotelefonu pojawił się sam

Wronisław, blady, roztrzęsiony, w krzywo zapiętej pidżamie, wyraźnie niezdrów.

– Na Boga, powstrzymaj ich, Ronek! – wołał.

– Nie mogę ich powstrzymać, bo wyłamali się spod naszej komendy. Oczywiście, jak skończą z klechami, ukarzę ich z całą surowością.

– Przecież doskonale wiem, że to wszystko wasz pomysł! – I już zęby poczęły Gommorrowskiemu szczekać, jakby febra śmiertelna go dopadła, a z oczu puściły mu się łzy czyste i rześiste.

– Nie rozmawiam z mazgajami – powiedział premier.

– Ale jako zwierzchnik sił zbrojnych rozkazuję wam...

– Buu! – huknął Ronald Duck i wyobraził sobie, jak Wronisław ciska słuchawkę i w strachu wskakuje pod kołdrę.

Potem zasygnalizowano z centrali kancelarii, że rozdzwoniły się i inne telefony – strachem podszyte, jako że wszędzie docierała bezpośrednia transmisja – z Waszyngtonu, Moskwy, Berlina, Brukseli, a nawet z Watykanu.

– Mówcie wszystkim, że jestem w kiblu. A za kwadrans będzie po wszystkim. Wtedy chętnie z każdym porozmawiam.

*

Ogłuszający ryk motorów zmałcił ciszę poranka na ulicy Beresteckiej, a towarzyszące mu serie z broni automatycznej uświadomiły ludziom, że oto zbliża się apokalipsa i ostateczna redukcja

zagłada. Ksiądz Marek wespół z Emilią i Salomeą Łęcką na balkon wyszedł i począł wielką złocistą monstrancją tłumy błogosławić oraz absolucji w obliczu niechybnej śmierci udzielać.

„Pomrzemy jak męczennicy – pomyślała pani Salomea, przygarniając mocniej do siebie Patrycję Osierdzie. – Ale być może każdej wielkiej sprawie potrzeba krwi męczenników?”

Motocykliści zajechali już na krzyżówkę ulic Beresteckiej i Jozefata. Pustka uczyniła się wokół nich, nie słyhać było okrzyków ni protestów, tylko czuło się wyczekiwanie na to, co nieuchronne. I pojął ksiądz Marek Wądołowicz, iż należy coś uczynić, aby dodać tym struchlałym ludziom ducha. A ponieważ miał przy ustach mikrofon, dotąd przenoszący w eter jedynie jego przyśpieszony oddech, wzdął policzki jak banie i zaśpiewał potężnie:

– My chcemy Boga, Panno Święta...

Wszyscy zgromadzeni, cała ta wielotysięczna rzesza ludu Bożego, chcieli do niego dołączyć, ale smagły komandos obok Kuklinowskiego, nazywany przez kumpli Maurem, uniósł karabin. Padł strzał i złocista monstrancja rozpadła się w rękach duszpasterza. Zapadła cisza, tak głęboka, że aż straszna.

I nic, żaden grom z jasnego nieba nie ugodził zuchwalca, nie przybyły w sukurs hufce anielskie lub chociaż kawaleria powietrzna Stanów Zjednoczonych.

– Z motorów! – zakomenderował Kuklinowski i sam ruszył przodem ku bramie.

Niewielkie ładunki wybuchowe, które mieli przy sobie, były

wystarczające, by skruszyć ową zaporę.

Pułkownik nie uszedł jednak pięciu kroków, gdy brama sama zaczęła się odmykać.

„Kapitulują? – pomyślał i ogarnęła go wściekłość, że oto pozbawiają go przyjemności walki. – A niech kapitulują! I tak zrobimy im jatkę, a przynajmniej parę młodszych zakonnic brzuchem obdarzymy.”

Dzięki kamerom obraz skrzyżowania był doskonale widoczny na telebimach, a dzięki kanałowi 555 na – całym świecie,

Jednak brama uchyliła się jedynie na kilkadziesiąt centymetrów, po czym zawarła powtórnie, a naprzeciw setce odzianych w czarne skóry czarnych zawodowców ruszył jeden mężczyzna, wysoki, jasnowłosy.

„Kordian! Mój uczeń – przemknęło przez myśl Kuklinowskiemu. – Jaka szkoda, że musi zginąć!”

Dobył pistoletu, ale w momencie gdy zwalniał bezpiecznik, uświadomił sobie, że jego przeciwnik nie ma wyciągniętej broni.

„Strzelanie do bezbronnego? Kiepsko by to wypadło z punktu widzenia mojego medialnego wizerunku i sławy mołojcekiej!” – pomyślał i szerokim łukiem broń od siebie odrzucił. Po czym odwróciwszy się do swych podkomendnych, dał znak, by pozostali na swych miejscach, ponieważ on bój ten rozstrzygnie samojeden. Przyzwyczajeni do karności usłuchali.

Tymczasem pułkownik dobył noża i skoczył ku przodowi przekonany, że i Kordian ma coś podobnego na podorędziu. Nie miał, a może udawał tylko, że nie ma, wszelako uchylił się zwinnie przed

morderczym ciosem, nieomal do ziemi przypadł, a gdy pułkownik przelatywał nad nim, za rękę go ucałował i mordercze narzędzie wydarł i odrzucił.

„Ależ postępów dokonał ten chłopak; ciekawe, kto go szkolił?” – pomyślał, wykonując fikołka, Kuklinowski.

Błyskawicznie wstał i zaatakował znowu. Celny cios stopą Chamiaka omal ponownie nie rzucił go na ziemię... Pojął, że musi być ostrożniejszy.

Niezwykła to była walka, w której przewroty rodem z walk Wschodu przeplatały się ze swojskimi sierpowymi, to znów zmieniały się w zapasy dwóch niedźwiedzi – czarnego i białego – w których można było dostrzec nie rozkosz sportowego zmagania, lecz czystą chęć wzajemnego zniszczenia.

Broczący krwią z rozbitego nosa Kuklinowski dążył do zwarcia. Zmęczyła go ta walka i pragnął ją zakończyć, choćby na skrót. Miał ukryty poręczny sztylet i wiedział, że kiedy wąskie żądło wbije się precyzyjnie między żebra przeciwnika, tonie pomoże nawet święty Juda Tadeusz, specjalista od spraw beznadziejnych. Manewrując lewą ręką, był coraz bliżej rękojęści, nie biorąc pod uwagę, że kamera sterowana przez Michałka wykorzystwała maksymalnie zoom i obserwujący transmisję widzieli rękę pułkownika dużo lepiej niż on sam.

– On ma nóż! – krzyknęła Emilia do mikrofonu znajdującego się ciągle przy ustach ojca Marka.

Jej głos jak obuch uderzył w płac, w widzów w Polsce i na

wszystkich kontynentach. Kuklinowski zadał śmiertelny cios, ale Kordian się usunął i ostrze poszło bokiem, po żebrach; odskoczył, znów krążyli wokół siebie jako dwa jelenie na rykowisku.

– Pomóż mu, Boże, pomóż! – modliła się Emilia, wspomagana przez zastęp zakonnic, który najwyraźniej wziął ją za jakąś nowicjuszkę, a wnosząc po rozjaśnionej wiarą twarzy, być może nawet za wizjonerkę.

– Dość tych igraszek – warknął w końcu Kuklinowski i spluwę nie wiedzieć skąd wy dobył – Poddaj się Chamiak, a poprzestanę jedynie na odstrzeleniu ci jaja!

Ale Kordian nie miał zamiaru się poddawać. Stojąc na wprost telebimu, który akurat wypełniała zwalista sylwetka pułkownika, dostrzegł coś, co go wręcz zafascynowało: małe, czerwone kółko zawleczone granatu, wystające z kieszeni skórzanej katany.

Nie zwracając uwagi na wycelowaną weń spluwę, pochylił się i ruszył w stronę przeciwnika; ten szarpnął za cyngiel raz i drugi... I nic!

Na moment przed jego oczami pojawił się obraz zapamiętany z dzieciństwa, gdy przypadkowo wraz z rodzicami przybył owego majowego popołudnia na plac Świętego Piotra... Ali Agca znajdował się zaledwie parę metrów od niego. Wtedy też zacięła się niezawodna broń.

Nie było czasu sprawdzać. Chwycił pistolet za lufę i chciał grzmotnąć nim Chamiaka w łeb, ale ten minął go, ledwie się ocierając. Pułkownik poczuł szarpnięcie przy kieszeni, jakby ktoś zaczepił

o zamek błyskawiczny. Zdołał jeszcze zauważyć, że Kordian przypada do bruku. Jego wargi poruszały się, tak jakby liczył sekundy: cztery... pięć... sześć!

– Neee!

Dla kamery Kuklinowski stał się w jednym momencie kulą ognia, a potem już go nie było.

Dopiero teraz jego ludzie, dotąd bez reszty zajęci kibicowaniem walce, w której wynik nie powątpiewali, oprzytomnieli i pojęli, że sytuacja bardzo się zmieniła. Świetni w grupie, dostrzegli naraz, że każdy z nich jest odosobnioną wysepką w morzu tłumu. I nie był to tłum dobrotliwy, bezbronny. Dzięki szerokiemu planowi z telebimu doskonale widzieli układ sił. W rękach cywilów nie brakowało łomów, szpadli, wideł, wielu trzymało dubeltówki i samopały własnej produkcji.

Ktokolwiek poważił się na walkę, ryzykował ogromne ofiary, niegwarantujące ujścia z życiem.

– Złóżcie broń – zaapelował z balkonu ksiądz Marek. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Maura, który dzięki swym dwustu piętnastu centymetrom górował ponad tłumem. Ten, czując na plecach dubeltówkę jakiegoś ochotnika gajowego i widząc wzniesione nad sobą ciupagi („Skąd tu, do kurwy nędzy, wzięli się górale?”), zastanawiał się krótko, po czym odrzucił broń i uniósł ręce do góry. Skapitulował. Inni poszli w jego ślady.

– Nie czyńcie im krzywdy – grzmiał dalej głos księdza – albowiem nie wiedzieli, co czynią. A to również wasi bracia, Polacy.

Posłuchano go zrazu niechętnie, jednak ponieważ motocykliści niej stawiali oporu, a na ich twarzach malowało się bardziej zdziwienie niż wściekłość, wrogość tłumu szybko ją ustępować miejsca politowaniu, współczuciu, a nawet sympatii.

– Pomódlmy się – powiedział ksiądz. Uklękli wszyscy pospołu z rozbrojonymi zakapiorami, tym łacniej że w niejednym spośród owych psów wojny budziło się coś nadzwyczajnego, przez lata zagubionego, ześwinionego, zmarnowanego.

Odmawiali więc chórem Modlitwę Pańską, a potem Zdrowaś Maryjo, a kiedy doszli do końca, w ciszy, która zapadła, dobiegł wszystkich charakterystyczny dźwięk kopyt końskich i turkot koi na bruku.

Michałko, nie wychodząc ze swej reżyserki, błyskawicznie nakazał wybrać odpowiednią kamerę. Przybliżył. I widzów – niezależnie od tego, gdzie się znajdowali, w Nowym Jorku czy w Nowym Sączu – zatkało.

– Salvador! – zawołał ksiądz Marek w proroczym uniesieniu. A elektryzujący dreszcz przeszedł przez tłumy.

Oto ulicą Świętego Jozefata od strony rzeki podążała dorożka. Powoził jakiś młody, uśmiechnięty góral, a zaraz za nim siedział nieco wychudzony, ale za to szeroko uśmiechnięty Jarosław Indykiewicz. Niczym wódz przybywający do swoich legionów.

XIII

12 CZERWCA 2020 ROKU, PIĄTEK, CIĄG DALSZY

Wielu historyków uważa, że ów zdumiewający piątek miał w wydarzeniach polskich roku 2020, nazywanych niekiedy „drugim potopem”, znaczenie przełomowe.

O szóstej rano bitwa o Turoń została w zasadzie zakończona. Szwedzi rozpoczęli regularny odwrót w kierunku Grudziądza, trzymając w charakterze zakładnika wojewodę Killera, a generał Wrzeszczowicz i major Molski nawiązali kontakt z Kordianem Chamiakiem i oznajmili, że będzie im miło służyć pod jego komendą.

Jednak wieści o tym i podobnych faktach nie rozeszły się po całym kraju. Już o godzinie szóstej piętnaście na rozkaz premiera, po krótkim komunikacie w mediach o gigantycznej awarii w Bełchatowie (najbardziej zdumiony tym był wspomniany senny i spokojny Bełchatów), nastąpiło czasowe wyłączenie prądu w całym kraju. Z rezerw miały być zasilanie instytucje centralne, wojsko, policja oraz szpitale. W godzinę ogłuchły wszystkie telefony, przestała działać telefonia komórkowa. Nawet Kitaj-Net padł z powodu braku zasilania.

– Jak długo to może potrwać? – zastanawiali się ludzie.

Na wyklejanych na ulicy ogłoszeniach można było przeczytać: „Do odwołania”.

Mogło się wydawać, że brak łączności i elektryczności wywoła prawdziwe pandemonium. Ze rozpoczną się masowe plądrowanie sklepów i chaotyczne demonstracje.

Nie doceniono Polaków.

Nim skończył się ten bardzo długi dzień, jak kraj długi i szeroki stworzone zostały straże obywatelskie, których punktami kontaktowymi stały się przeważnie miejscowe kościoły. Samorzutnie powstał drugi obieg elektryczności, w którym posiadacze elektrowni wiatrowych i agregatów prądotwórczych oddawali swoje nadwyżki współobywatelom. Rzesza elektryków dokonała gigantycznego dzieła przestrajania, odradzając wymarłe, jak się wydawało, krótkofalarstwo. Co ciekawe, policja i administracja najniższych szczebli nie przeciwdziałała podobnym inicjatywom, a nawet często się w nie włączała.

Okolo południa przybyła ponownie do Warszawy pani kanclerz Królestwa Szwecji Gabriella Oxienstierna. Nie uczyniła tego z sympatii do Polaków, raczej ze względu na silny instynkt samozachowawczy. W ciągu ostatniej doby jej pozycja w Sztokholmie gwałtownie podupadła. Kruszyła się jej żelazna baza polityczna, a król w prywatnych rozmowach, o których jej natychmiast donoszono, nazywał ją awanturnicą. Co gorsza, łamała się unia nordycka, a nawet w spacyfikowanej Pribałtyce dochodziło do protestów.

Arvid Wittenberg wydawał się całkowicie bezradny – polski postaw sukna rozsypywał się im w palcach jak zetłala tkanina przeżarta przez mole.

– Czy ktoś w ogóle panuje nad sytuacją? – zapytała pani kanclerz, wysłuchawszy opowieści o zdarzeniach w Turonii.

– Ronald twierdzi, że on.

– Mogę się z nim spotkać?

– Będzie trudno. Opuścił Warszawę; z tego, co wiem, jest w bazie w Rembertowie.

– Wiadomo przynajmniej, co zamierza?

– Zdusić bunt.

– Jeśli myśli, że naszymi rękami, to się grubo myli – stwierdziła pani kanclerz. – Porozmawiajmy zatem z Radwanem Wróbelkim.

– Minister też jest nieosiągalny. Jeszcze ostatniej nocy wyruszył w podróż po stolicach europejskich tłumaczyć, co się dzieje. Oczywiście sam nie ma o tym pojęcia, ale wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę oraz umiejętność robienia dobrej miny do złej gry.

– W takim razie spotkajmy się z prezydentem.

Teraz dopiero zakłopotanie Wittenberga sięgnęło zenitu. Rozejrzał się dookoła i zniżył głos.

– Z tym może być kłopot, Wronisław Gomorrowski zniknął.

*

Przybycie Jarosława Indykiewicza do Turonia w asyście malowniczych górali wywołało wśród zebranych szal radości. Kiedy wstępował w mury zabudowań klasztoru i akademii, szpaler tworzył się wokół niego, sypały się błogosławieństwa, grzmiały brawa.

Wołano: „Wiwat hetman nasz wielki, wiwat!”. Powszechnie przypuszczano, że zabierze głos. I owszem, pojawił się na balkonie, gdzie ministranci pieczołowicie zbierali szczątki rozbitej monstrancji, uklonił się tłumom.

I nie zabrał głosu.

„Zmęczony”, „Wpierw musi zapoznać się z sytuacją” – rozeszło się wśród ludzi. – „Przemówi później”.

Ale prezes BIS-u nie miał zamiaru przemawiać ani teraz, ani w najbliższym czasie – odmówił krótką modlitwę w kaplicy, spotkał się ze starszymi zgromadzenia, a dowiedziawszy się, kto praktycznie przewodził obronie, poprosił do refektarza prócz ojca rektora także księdza Marka, Janosika, Michałka, Kordiana, Salomeę i Emilię. A na kolana wziął Patrycję Osierdzie, co zadziwiło wszystkich, bo myślano, że jej ojciec, były infant partii Brawo i Spolegliwość, jest od dziesięciu lat najzagorzalszym wrogiem prezesa.

Spotkanie w takim gronie wywołało spore niezadowolenie w kręgach Rady Stu, ale kiedy profesor Rosenholtz koniecznie chciał się wprosić na naradę, komplementując wielkość Indykiewicza, którą zawsze podziwiał był i považał i tylko zawistni ludzie twierdzili, że jest inaczej – ten odparł mu po prostu:

– Nie ja tu karty rozdaję, lecz Bóg.

Po czym wypatrzywszy pod ścianą Maćka Skalińskiego, machnął na niego ręką i powiedział:

– I ty pójdź za mną.

Rzucił się niegdysiejszy spin doktor prezesa pod kolana

podejmować i głośno własne winy wypominać, ale ten z ziemi go podniósł i rzekł:

– Nie trzeba, jam też nie bez winy.

Zdumienie świadków tego zdarzenia było wielkie, a jeszcze większe, że w trakcie rozmowy Indykiewicz bardziej słuchał, niż mówił. Wymigał się także od przyjęcia roli honorowego przewodniczącego konfederacji turońskiej.

– Będę was wspierał i bez tego – obiecał.

Zmusili go wreszcie, aby głos zabrał, choćby dla tego niewielkiego grona. Ustąpił i powiedział zdań parę, ale chyba nie takich, jakie chcieli usłyszeć. Zauważono, że prezes mówił dość cicho, bez dawnej siły i dobitności, jednak w tak przekonujący sposób, że zebrani słuchali w najwyższym skupieniu, nie chcąc uronić słowa.

– Miałem wiele czasu na przemyślenia. Przemyślałem tedy i własne koleje losu, i terminy, w które nasza ojczyzna popadła. Zastanawiałem się nad wyrokami opatrności i perspektywą, jaką Najwyższy Reżyser nam wyznaczył. Bo nic na tym świecie nie dzieje się bez powodu, nawet śmierć mego brata tragiczna była elementem wpisującym się w Boży plan dla nas, którzy przeżyliśmy. Trafnie nakreślić perspektywę oznacza zwyciężyć, albowiem jeśli człowiek bez historii jest zwierzęciem, to bez perspektywy jest przedmiotem.

Myślałem też sporo o błędach, przede wszystkim własnych. Rozważałem, czemu nawet w słusznej sprawie nie potrafiłem przekonać większości narodu. I powiadam z pełną pokorą: moja wina, nasza wina, wielka nasza wspólna wina...

Ktoś, chyba Skaliński, chciał zaprotestować, ale Indykiewicz uciszył go gestem.

– Wielki papież, nasz rodak, mówił w trakcie swej pielgrzymki do wolnej Polski: „Bogu dziękujecie, ducha nie gaście!”. A ile razy go gasiliśmy? Kanalizowaliśmy zapal, ponieważ uważaliśmy, że fachowcy, partie dokonają transformacji lepiej niż samo społeczeństwo. Wielki ruch Solidności zgasiała generalska junta, ale wszelkie dalsze zrywy z 1989, 2005, 2010 zgasiliśmy sami. Baliśmy się spontanicznej demokracji, nie docenialiśmy mądrości społeczeństwa.

I dlatego, mimo waszych pięknych zachęt, nie będę wam hetmanił, nie przyjmę roli naczelnika państwa ni premiera; niech robią to młodszy: Maciek – tu wskazał na wzruszonego Skalińskiego – Zbyszek Osierdzie, jeśli jeszcze żyje, Mariusz Piaseczek, Paweł Pencyliniusz, Zyta Jemiołuszka... Polska stoi przed nową szansą i to się czuje, ale musi ona być budowana od dołu przez komitety obywatelskie, wspólnoty lokalne. Tylko taki zbudowany na poczuciu współuczestnictwa gmach może być nadzieją dla Polaków i natchnieniem świata... A teraz dajcie mi coś do jedzenia, bom okropnie zgłodniał.

*

Początkowo zniknięcie urzędującego prezydenta nie wywołało niczyjej paniki.

Były działacz opozycji znany był z tego, że potrafił urwać się ochronie i pobiec do Łazienek, by potrenować jogging. Raz na rowerze zapędził się aż do Lasku Bielańskiego.

Gorzej, że kiedy dopadały go okresowe kłopoty z pamięcią, potrafił wymknąć się z pałacu, złapać taksówkę i kazać wieźć się do Antoniego Macierenki, dziś czołowego przywódcy opozycji, a kiedyś serdecznego druha i mentora.

Zabawne, że owego piątku, w ogólnym zamieszaniu, gdzieś do godziny jedenastej nikt w ogóle nie zauważył, że Górnickiego nie ma w Belwederze. Inna sprawa, że nikomu nie był szczególnie potrzebny. Duck nie wychylał nosa z Rembertowa, konferując na przemian, z dowódcami wojskowymi i szefami stacji telewizyjnych, mówiono też o spotkaniu z grupką najbogatszych Polaków, natomiast marszałek Moczypies odsypiał zarwaną noc.

Nieobecność głowy państwa pozostałaby niezauważona jeszcze dłużej, gdyby sprzątaczką nie znalazła kartki, którą podmuch wiatru z otwartego okna zdmuchnął ze stolika pod biurko.

Tekst: „Odhodze nie mogę już dłużej wytrzymadź” nie pozostawiał wątpliwości co do osoby autora. Zaraz podniesiono alarm i przeszukano pałacyk od piwnic po galeryjkę wokół flagi.

Ale Wronisława nigdzie nie było. Profesor Obwarzan, który opuścił go za piętnaście szósta, twierdził, że zostawił swego pryncypała w rozpaczliwym nastroju, strzelającego na przemian lampki koniaku i pastylki uspokajające.

Trochę wyjaśniło sytuację obejrzenie zapisu z kamer

rozstawionych wokół Belwederu. Za dziesięć szóstą pan prezydent, który zdążył gdzieś zgolić wąsy, zjechał po rynnie do pałacowego ogrodu, wyszedł przez bramę (miał własny klucz) do pustych o tej porze Łazienek, a następnie dziurą w płocie przedostał się na ulicę Belwederską, gdzie złapał pierwszą przejeżdżającą taksówkę.

Telefony wprawdzie nie działały w radiotaksi, ale ABW dość szybko namierzyło taksiarza, który zeznał, że faktycznie o świcie wiózł na Okęcie „facia przypominającego prezydenta”.

Tam przeniosły się poszukiwania. Ponieważ w części krajów dawnej Unii ciągle nie był wymagany paszport (a już w pierwszej chwili wykluczono możliwość lotu na Białoruś czy Ukrainę), szukano po kasach biletowych.

Okazało się, że o szóstej trzydzieści Wronisław Gomorrowski załapał się na lot „Alitalii” do Rzymu – klasą turystyczną.

– Co on tam chce robić, modlić się za swoje i nasze grzechy? – pieklił się Moczypies, który osobiście zaangażował się w poszukiwania.

– Sprawdzamy – odpowiadał Książek Bogusław. – W Rzymie postawiłem na nogi wszystkich naszych ludzi. Nuncjusz obiecał pomoc z [Watykanu](#)...

Ponieważ poszukiwania skoncentrowano na Watykanie i polskiej ambasadzie, stracono sporo czasu. Dopiero po paru godzinach okazało się, że prezydent nawet lotniska da Vinci nie opuścił, tylko incognito kontynuował swoją tajemniczą podróż.

– Nie zgadnie pan, dokąd poleciał – zameldował wieczorem

generał Książek zafrasowanemu marszałkowi. – Do Kapsztadu.

Moczypies, naradzający się od dłuższego czasu z grupą ministrów, wyglądał na zdumionego tym odkryciem.

– Jakie лихо go tam zaniósło? Czyżby nagle zachciało mu się polowania na grubego zwierza?

– Raczej nie był w odpowiednim nastroju – stwierdził Obwarzan. – Chyba mamy tam konsula, niech czym prędzej pędzi na lotnisko, nim tam doleci i znów go zgubimy!

– Obawiam się, że wylądował pół godziny temu – rzekł Książek. – A co zrobił dalej, sprawdzamy.

Więcej wyjaśniło się o dziewiątej wieczorem. Ale nie było to wyjaśnienie satysfakcjonujące.

Wedle informacji władz RPA Wronisław Gomorrowski udał się do kapsztadzkiego portu, a następnie wsiadł na mały okręt pocztowy, wchodzący w skład British Navy, który niestety opuścił już port...

– I dokąd się udał, na Antarktydę?

– Gorzej, panie marszałku, na Świętą Helenę. Głucha cisza zapadła w gabinecie.

– Można jakoś wybić mu to z głowy – zastanawiał się Moczypies, poszukując jakiegoś rozwiązania. – Mogę na przykład wysłać do RPA Grzegorza Detynę...

– Obawiam się, że nie ma możliwości zawrócenia statku, zanim nie dotrze z pocztą na Świętą Helenę.

– A kiedy ponownie pojawi się w Kapsztadzie?

– Za miesiąc.

– No, to mamy problem, jakiego nie miał ten kraj od czasu ucieczki Henryka Walezego – powiedział profesor Tomasz Obwarzan.

Zapadła dłuższa cisza, którą przerwał dopiero marszałek.

– Nasza konstytucja przewiduje odpowiednie procedury w sytuacjach wyjątkowych – w głosie Janusza Moczypsa pojawił się nowy, dotąd nieznany ton – w wypadku nagłego opróżnienia fotela prezydenta państwa wskutek jego zgonu, długotrwałej choroby, nieczytalności, własnej rezygnacji lub porzucenia stanowiska. W takim przypadku funkcję tę przejmuje urzędujący marszałek Sejmu RP – tu powiódł dookoła triumfalnym spojrzeniem – czyli ja!

*

„Wiadomość o awansie Janusza Moczypsa na prezydenta, jak również informacja o pośpiesznym wyznaczeniu na godzinę dwunastą w nocy ceremonii zaprzysiężenia w sejmie nie zmieniły w sposób istotny nastroju pana premiera, który w stanie na zmianę depresyjnym i euforycznym biegał po swoim bunkrze, do portretów wybitnych poprzedników (z generałem Karuzelskim na czele) gadał, spowiednika wzywał, a potem nagle w przyływie ogromnego animuszu opowiadał najbliższemu, że wspólnie z nowym prezydentem, ktokolwiek nim będzie (nawet ten pies Moczypies), przeprowadzi ten kraj i naród jak Mojżesz przez wzburzone morze do Ziemi Obiecanej.

Ktoś dyskretnie zwrócił uwagę, że nie ma już tego kraju, gdyż tydzień temu stał się on Szwecją Południową, a co do narodu, to owo

staroświeckie pojecie wykpiwał już Witold Gombrowicz i za jego przykładem – sam młody Duck.

– Jeśli będzie potrzeba, wrócimy do Europy ojczyzn! – zawołał Ronald. – Nikt nie wie tego lepiej niż ja. W naszym wspaniałym organizmie utkwiała jedna tylko ość, ów wredny Turoń, i gdy tylko uda się jej pozbyć, wyprowadzimy nowe państwo na spokojne wody...

Nie chciał gadać z Limoniakiem, który krążył pomiędzy Belwederem, sejmem a Rembertowem, szukając jakiegoś rozwiązania i próbując ustalić stanowisko negocjacyjne.

Na własną rękę podjął decyzję, że do Turonia wyruszy Michał Pony, człowiek praktyczny, bystry, pracowity jak kuc i ostrożny.

– Obiecuj, ile wlezie, potem jakoś się z tego wycofamy – sugerował Limoniak.

Ale nawet Pony'emu nie udało się pogadać na ten temat z Ronkiem.

Ów zamknął się z Książkiem Bogusławem i długo deliberowali nad czymś. Do rzecznika Strusia dotarły jedynie ostatnie elementy ich rozmowy.

– Nie chcę o niczym wiedzieć. Szczegóły pozostawiam wam. Wiem tylko, w jakim kraju powinniśmy się jutro obudzić.

*

W Turoniu reszta dnia upłynęła pod znakiem wielkiego sprzątanía. Mieszkańcy pospołu z wojskiem i służbami klasztorными zajęli się

usuwaniem z ulic pogruchotanych sprzętów i zasypywaniem dziur powstałych wskutek wybuchów.

Odbywały się też nabożeństwa dziękczynne. Okazało się, że w całej groźnie wyglądającej utarczce krom Kuklinowskiego nikt nie zginął, ni Szwed, ni Polak; owszem, sporo było rannych, ale mikstury sporządzane przez aptekę klasztorną wedle pradawnych receptur okazywały się mieć niezwykłą moc uzdrowicielską przy leczeniu zarówno ran, jak i innych dolegliwości. Szczególnie gdy zabiegi przeprowadzała urodziwa wolontariuszka Emilia Fajans.

Bohaterowie nasi, oszołomieni nieco sukcesem, odpoczywali, próbowali też robić plany na przyszłość.

– Walka nie jest skończona – uważał Kordian. – Nie sądzę, żeby ponowili atak w dotychczasowym stylu, raczej zgodnie z zapowiedziami rozpoczną negocjacje, iżby nas podzielić, skłócić.

– Ja nie będę w tym uczestniczył – zastrzegł się Indykiewicz. – Jeśli poproszą mnie o radę, to powiem, co myślę.

– A jeśli nie poproszą? – zapytała pani Salomea.

– To też powiem.

Co się tyczy Michałka, rozmówił się on ostatecznie z Emilią, wyznając jej zamysł, który w nim dojrzał.

– Postanowiłem pozostać w tym klasztorze – oznajmił, spotkawszy się z nią w kaplicy przy auli uczelnianej.

– Chcesz iść do klasztoru? Ty, haker? – próbował nie słyszeć w jej głosie wymówki.

– Haker, ale służący dobrej sprawie – sprostował. – Kędy już

zwyciężymy, przysięgam, że służyć będę wyłącznie Bogu i ojczyźnie, a za pieniądze, którym zdobył nieuczciwie, pobuduję hospicjum i dom opieki dla matek samotnych... Nie wiem, czy mam kwalifikacje na mnicha, ale potrzebuję wyciszenia i skupienia...

– A ja? – zapytała Fajansówna. – Wydawało mi się, że ci nieobca, że kiedy to się skończy...

– Kocham cię jak siostrę – odparł – ale innej panie zaprzysięgłem miłość jedyną. Ty zaś... Nie sądzę, abyś pozostała samotna. Nasz dzielny porucznik Kordian rad by cię zjeść jak ciastko drożdżowe.

– Skosztować i wypluć raczej. Z moją przeszłością nie ma się przyszłości. Jako kobieta upadła widzę jedynie dwa wyjścia: do klasztoru pójść albo na drogę pod Augustowem wracać.

– Nie sądzę, żebyś była dobrym materiałem na mniszkę, a na drogę... jakoś cię tam już nie widzę, boś do innych rzeczy stworzona – odpowiedział Michałko. – Będę się za ciebie modlił.

– Nie pocieszaj mnie, bom grzeszna.

– Nie tacy grzesznicy w świętych się zmieniali...

Chciała go uścisnąć, przytulić, ale powstrzymał ją delikatnie.

– Lepiej nie. Jestem tylko mężczyzną.

Gdyby zajrzeli do konfesjonału, zastaliby tam małą Patrycję, która początkowo wylała morze łez przekonana, że Emilia zabierze jej Michałka, ale potem trochę się uspokoiła. Z dwojga złego pozostanie hakera w klasztorze bez składania ślubów nie było takim najgorszym rozwiązaniem. Przez dziesięć lat wiele może się zmienić. A Najświętsza Panna ma tylu dzielnych rycerzy, że nawet gdyby miał

jej ubyc jeden...

Rozstrzygnęły się też losy górali. Jedni, jak Franek od Nosala, postanowili do domu wracać i nieść żagiew przemian na skalne Podhale drudzy, jak Gąsior, doktoryzować się w Akademii Turońskiej. Co się tyczy Janosika, zdecydował się zostać przy Indykiewiczu, gdyż nabrał do prezesa czci wielkiej, także postanowi u jego boku się edukować, by z czasem politykiem zostać. Na razie jednak przydzielono go do pomocy Michałkowi, przy którym wprawdzie namnożyło się młodych, chętnych współpracowników, ale przydawały się każde oczy i każde uszy, a góral miał jeszcze tę zaletę, że znał ruski, czeski i niemiecki. Nie bez znaczenia były jego entuzjastyczny stosunek do pracy i przykładowa trzeźwość.

Tylko pani Salomea wśród ogólnego optymizmu znaleźć miejsca dla siebie nie mogła; ze trzy razy obeszła cały ośrodek, głową kiwała, gadała coś do siebie. Z drugiej strony z nikim rozmawiać nie chciała. Przeczucia ciągle miała złe, ale niestety nie dość konkretne.

*

Po zmierzchu przeszła przez Warszawę gwałtowna burza. Dobrą godzinę pioruny waliły jak gruszki, nie wybierając – w wieżowce, wieże kościołów czy strzeliste topole. Wybuchło kilkanaście pożarów, których nie było jak gasić. Ulice zamieniły się w rwące potoki, przechodnie pokryli się po domach, a w mieszkaniach rozbłyskały jedynie słabe światełka świeczek. Prądu i telefonów nadal nie

włączono.

Na krótko przed północą Dzesika Wrotek opuściła radio, gdzie dzięki agregatowi prąd był, choć w niewielkich ilościach, i pośpieszyła w stronę sejmu.

Nie bardzo rozumiała, co się dzieje i co powinna robić. Jednak instynkt dziennikarski nakazywał jej obecność tam, gdzie rozgrywają się sprawy ważne. Brnąc w górę korytem bystrego potoku, w który zmieniła się ulica Myśliwiecka, żałowała, że nie ma obok niej Kordiana. Niezawodnego jako obrońcy. Wszelako tej nocy żulia nie wychylała nosów ze swych nor. Jeszcze przed burzą, idąc do radia, Dzesika zauważyła liczne zmiany w mieście. Sklepów i lokali pilnowali właściciele, po ulicach krążyły patrole straży obywatelskiej.

Skąd się ci ludzie wzięli, z jakiej bajki się urwali? Skąd wyfasowali te śmieszne furażerki i opaski na rękawy? Przeważali starzy, biednie wyglądający mężczyźni, jakże inni od tych Polaków, których widywała w klubach, drogich galeriach handlowych, na wernisażach, premierach i rautach. Gdzie podziewali się do tej pory? Siedzieli po chałupach, czekając na śmierć, a teraz coś ich stamtąd wygoniło?

Trochę później zauważyła, że są wśród nich także młodszy, trzymający się trochę na uboczu, z rezerwą, jakby zakłopotani swoją rolą, bez pierożków na głowach, ale z biało-czerwonymi opaskami...

W zamyśleniu nie zauważyła schodków, potknęła się i omal nie runęła w kałużę. Dwóch chłopaków z patrolu schwyciło ją w locie. Nie byli to emeryci. Raczej studenci czy uczniowie. Zapytali, jak się

czuje, i byli wyraźnie zadowoleni, że skończyło się tylko na złamaniu obcasa. Jeden z ochotników, piegowaty, najwyżej dziewiętnastoletni, poradził jej, aby odłamała drugi obcas, bo inaczej nie da rady chodzić.

– Odprowadzić cię gdzieś? – zapytał, kiedy wspólnie udało im się osiągnąć, że oba buty były równe.

– Już jestem na miejscu. – wskazała na sejm, który oświetlony, odbijał od ciemnego tła miasta.

– Posłanka? – zapytał mocno zaskoczony chłopak.

– Dziennikarka.

Zauważyła, że trochę się zjeżył i umilkł.

– Nie wyglądam? – zapytała nieco naiwnie.

– Szczerze mówiąc, jest pani za młoda i za sympatyczna, aby należeć do tej bandy łgarzy.

Nic nie mówiąc, przyśpieszyła kroku.

*

Mimo nietypowej pory sejm był pełen posłów, pojawiło się też kilkudziesięciu senatorów, wicepremier Popieralski, paru ministrów, w tym Tomasz Limoniak.

Byli też, inaczej niż na posiedzeniu przed tygodniem, liczni korespondenci zagraniczni. W oczy rzucał się tylko całkowity brak Szwedów. Czyżby wcześniej chodzili spać? Przybył też dawno niewidziany w izbie prymas Polski, a także nuncjusz papieski. Na stole marszałkowskim pojawiło się również Pismo Świąte. I nie była

to Biblia Szatana.

Wicemarszałek Cezary Truposzczyk, reprezentujący Partię Obiecanek, odczytał krótkie oświadczenie o utracie przez dotychczasowego prezydenta możliwości dalszego pełnienia funkcji, a także odnośny akapit konstytucji. Mniej zorientowani mogli się wreszcie dowiedzieć że Wronisław Gomorrowski w związku ze stanem zdrowia zdecydował się ustąpić i usunąć w cień. O tym, że wybierze cień na Świętej Helenie, krążyły jedynie plotki, których nikt nie potwierdzał ani którym nikt nie zaprzeczał.

Potem poproszono o złożenie przysięgi dotychczasowego marszałka sejmu, który aż do przedterminowych wyborów miał pełnić funkcję głowy państwa.

Janusz Moczypies podszedł do mównicy w doskonale skrojonym smokingu, przepasany szarfą Orderu Orła Białego, i położywszy rękę na Piśmie, powtarzał, pełen powagi, odczytywaną przez Truposzczyka rotę przysięgi, którą zakończył dawno niesłyszana w tym miejscu sentencją: „Tak mi dopomóż Bóg”. Rozległy się oklaski Ale dość krótkie, jako że marszałek szczególnie lubiany nie był, nadto większość zebranych usiłowała zrozumieć, co to wszystko może dla niej oznaczać, a nie bardzo jej szło.

Zakończywszy przysięgę, Moczypies uśmiechnął się szeroko i przemówił:

– W wyjątkowej sytuacji, w jakiej znajduje się nasza biedna ojczyzna, przyjmuję to brzemie wyłącznie z poczucia obowiązku. Bóg mi świadkiem, nie zabiegałem o tę godność. I w tym gronie znajduje

się wielu zacniejszych ode mnie, ale nie wymienię ich nazwisk, iżby nie powiedziano, że zaczynam kampanię wyborczą. Zatem ograniczę się tylko do kilku słów. Są w historii ojczyzny momenty trudne. Chwile, w których zadajemy sobie pytanie, czy mogliśmy więcej, lepiej, mądrzej. Czy dołożyliśmy dostatecznie dużo starań, aby dialog polsko-polski nie był pospolitą pyskówką albo rozmową głuchych. Nikt z nas nie jest tutaj bez winy. Ale trzeba iść dalej. Trzeba rozmawiać. Trzeba negocjować. I będziemy negocjować. Będziemy o polskich sprawach decydować wspólnie. Przy odsłoniętej kurtynie. Wiemy, że konieczne są głębokie zmiany. Niektóre muszą być natychmiastowe.

Wtem szmer uczynił się przy drzwiach i na salę obrad plenarnych wszedł premier Ronald Duck. Cała sala, jak na komendę, porwała się na równe nogi. Ręce same składały się do oklasków...

Ale Moczypies wydawał się go nie zauważać. Nie przerwał przemówienia, nie przywitał Ronalda, w ogóle nie zareagował. Premier chciał chyba podejść do mównicy, ale nie mogąc nawiązać kontaktu wzrokowego z tymczasowym prezydentem, zrezygnował i zajął miejsce w ławach rządowych.

– Mam nadzieję, że jutrzejszy dzień przyniesie uspokojenie nastrojów – kontynuował mówca. – Ucichną plotki, opadną emocje. Chcąc w tym pomóc, zdecydowałem się na krok być może kontrowersyjny, ale poczyniony wyłącznie z poczucia odpowiedzialności. Postanowiłem zatem przyjąć dymisję pana premiera Ronalda Ducka w trybie natychmiastowym.

Krew odpłynęła z twarzy przywódcy Partii Obiecanek; poderwał się, chcąc zawołać, że on przecież żadnej dymisji nie składał, ale siedzący za nim minister Limoniak szepnął mu coś do ucha, więc opadł jak przydeptany kalosz.

Dżesika Wrotek, która oprócz wszelkich rodzajów miłości opanowała również umiejętność czytania z ust, mogłaby przysiąc, że Duck, opadając na miejsce, powiedział bezdźwięcznie: „za późno”.

Wystąpienie Moczypsa tymczasem jeszcze nie zostało zakończone.

– Równocześnie pragnę, Wysoka Izbo, powierzyć misję tworzenia nowego rządu panu Grzegorzowi Detynie...

Ronald znów usiłował się poderwać, ale huczne oklaski, od których zatrzęsała się izba, wręcz przydużyły go do ziemi. Nie tak miało to wyglądać! Kandydat wyłonił się nagle na podobieństwo Botticellowskiej Wenus, zszedł do połowy sali i uklonił się zgromadzonym. Moczypies poczekał, aż owacja ucichnie, a potem powiedział:

– Resztę spraw, jeśli pozwolicie, panie i panowie, załatwimy jutro na normalnym posiedzeniu. Miejmy nadzieję, że społeczeństwo będzie to mogło obejrzeć w tradycyjnej transmisji. Dziękuję państwu.

Truposzczyk szybko laską w podłogę zastukał i zawołał:

– Zamykam obrady!

Ale Janusz Moczypies nie byłby sobą, gdyby jeszcze do kieszeni nie sięgnął. Wszyscy zamarli, zastanawiając się, co stamtąd wyciągnie: sztucznego penisa, pistolet na wodę czy diabełka na sznurku. Jednak w rękach tymczasowego prezydenta pojawiły się

tylko małe organki. Przytknął je do ust i poniosła się muzyka, którą podchwyciła cała sala:

Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy.

Co nam obca przemoc wzięła, szabla odbierzemy...

XIV

12 CZERWCA 2020 ROKU, SOBOTA, NOC

Burze, które szalały nad Warszawą, a potem przetoczyły się na wschód, ominęły jakoś Turoń. W ciągu dnia chmurzyło się nad nim nieco, ale wieczorem po zapadnięciu zmroku niebo zrobiło się cudnie gwiaździste, że nic tylko wzbić się w powietrze, by recytować tam dyrdymały Kanta: „Niebo gwiaździste nade mną, prawo moralne...” i tak dalej.

Nie dziw, że kiedy wieczorem major Jacek Molski zaproponował i Chamiakowi przelot ponad miastem i wokół miasta celem sprawdzenia, jak terytoria wyzwolone wyglądają z góry, ten przystał na ofertę z radością.

Wolna Rzeczpospolita Turońska miała się coraz lepiej. W miejsce Rady Stu powołano Radę Tysiąca, zrzeszającą wszystkie trudne do policzenia inicjatywy obywatelskie. Jej zadanie jednak miało się ograniczyć do zorganizowania w ciągu trzech dni wyborów samorządu, który miał być zaczątkiem Nowej Polski.

– Zdajecie sobie sprawę, że są to posunięcia bezprawne, niezgodne z obowiązującymi procedurami... – przestrzegał profesor Rosenholtz.

– Wolne społeczeństwo samo dla siebie stanowi prawa – odpowiadał spokojnie Jarosław Indykiewicz.

Wczorajszy eremita, dzięki temu, że zaczął stykać się z ludźmi, niczym Anteusz po dotknięciu Matki Ziemi, w ciągu długiego dnia nabral niezwykłego wigoru, co nie znaczy, że zmienił zdanie w zakresie przewodzenia, dowodzenia czy ubiegania się o zaszczyty. Nie chciał mieć nic wspólnego z miejscową organizacją BiS-u, a także posłał w diabły delegatów turońskiej Partii Obiecanek, która chciała zrobić go honorowym przewodniczącym.

– Mogę jedynie doradzać, ewentualnie łączyć, a nie dzielić – powtarzał i uśmiechał się łagodnie na podobieństwo świętego Franciszka. Jego wizja Nowej Polski, o której godzinami dyskutował z księdzem Markiem, panią Salomeą i Maćkiem Skalińskim, zrywała z praktyką zawodowych partii, etatów i funkcjonariuszy:

– Po co cokolwiek wymyślać w tym względzie? Amerykanie testowali to ponad dwieście lat i całkiem nieźle im działa – twierdził.

– Ale na czym miałyby to u nas polegać? – pytał Wądołowicz.

– Po pierwsze, na rezygnacji z tak zwanej klasy politycznej – uśmiechnął się Indykiewicz. – Owszem, pozostałyby zawodowe zespoły eksperckie, złożone z profesorów, praktyków, publicystów, ale to wszystko. Partie nie miałyby aparatu, płatnych funkcjonariuszy, etatowych władz. Nie byłoby dublowania stanowisk w parlamencie i organizacji.

– Czyli nie byłoby legitymacji, składek...?

– A po co? Najsilniejsze są związki nieformalne, partie stanowiłyby wspólnotę celów i zapatrywań. Skrzykiwałyby się według poglądów jedynie na wybory, ustalały kandydatów metodą

prawyborów... Poza tym polityka przestałaby być biznesem.

– To znaczy? – próbował dopytywać Skaliński, wyraźnie zainteresowany konceptem.

– Przecież wiesz. Przestałaby być interesem, środkiem dorabiania się, byłaby za to służbą publiczną, misją, powinnością. Parlament czy samorząd nie byłby dłużej przytuliskiem gołodupców i odpowiednio skoligaconych nieudaczników. Poseł otrzymywałby wynagrodzenie takie jakie miał na poprzednim stanowisku, na które po ukończonej kadencji mógłby wrócić.

– Ale czy wówczas nie byłby to wyłącznie klub dla bogatych? – wyraził wątpliwość ksiądz.

– Nie sądzę. Bogaty, idąc w politykę, mógłby najwyżej stracić, bo przy dobrze działającym państwie korupcja byłaby wykluczona. Za to, podobnie jak w Ameryce, byłby to znakomity poligon i pas startowy dla młodych zdolnych, którzy sprawdzili się w działalności publicznej, trafialiby do administracji lub biznesu...

– Nie mogę się nadziwić, że słyszę to akurat z ust prezesa! – westchnął Skaliński.

– Zakamieniałego etatysty? Cóż, Maciusiu, miałem bardzo dużo czasu na myślenie, analizowanie błędów i szukanie ratunku dla Polski... A może nie tylko dla Polski.

– To znaczy?

– Europa w dotychczasowym kształcie zdycha, dusi się od nadmiaru regulacji, nasz przykład może pomóc.

Rozmowę przerwał Kordian z garścią najświeższych wiadomości

Michałko przechwycił sporo informacji o zniknięciu Gomorrowskiego i przejściu władzy przez Moczypsa. Potwierdzała się też zapowiedź wizyty Michała Pony'ego z grupą negocjacyjną skoro świt.

– Wiemy coś więcej o sytuacji w reszcie kraju? – zapytał Indykiewicz.

– Sieć krótkofalarska obejmuje już praktycznie całą Polskę – odparł Michałko. – Można powiedzieć, że mimo utrudnień opanowaliśmy eter. Ze wszystkich województw spływają doniesienia o samoorganizowaniu się społeczeństwa. Mamy też wieści o zahamowaniu napływu Szwedów i rozpoczęciu ruchu w drugą stronę.

– Czyżby rzeczywiście nam się udało zmienić bieg historii, który przed tygodniem cały świat gotów był uznać za nieuchronny? – ucieszył się ksiądz Marek Wądołowicz.

– Nie mówiłbym jeszcze hop! – powiedział Kordian. – Trudno mieć choć gram zaufania do Moczypsa, a i premier Duck nie powiedział ostatniego słowa.

– Rzeczywiście, za dużo mają do stracenia, żeby się nie bronić – przyznał Indykiewicz. – Nawet jeśli zapowiedzielibyśmy abolicję, naród ich rozliczy za straconą dekadę! Pytanie, co jeszcze mogą przedsięwziąć. Może pan nam powiedzieć, panie Kordianie?

Wszyscy popatrzyli w stronę Chamiaka. Ten rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia. Szwedzi nie są zdecydowani bronić unii, w naszym wojsku panują podobne nastroje jak wśród reszty społeczeństwa, policja nie będzie umierała za Partię Obiecanek,

a i sama partia... Na wszelki wypadek Michałko z grupą innych hakerów stara się przechwytywać wszelkie informacje, które mogą mieć jakieś znaczenie. Dla świętego spokoju zamierzamy jeszcze z majorem Molskim dokonać oblotu okolicy. Sprawdzimy czy w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie dzieje się nic, co mogłoby wzbudzać niepokój.

– Tak, sprawdźcie to poparła go matka. – Będę się czuła bezpieczniej.

– Kiedy lecicie, zaraz? – zapytał ksiądz.

– Wystartujemy po północy.

*

To, że coś dziwnego dzieje się z jej ciałem, Emila odczuwała już od rana. Próbowwała sprawę bagatelizować, ale nie bardzo mogła.

„Czyżbym złapała jakieś paskudztwo? – zastanawiała się sto razy na godzinę. – Teraz kiedy zaczęłam zmieniać swoje życie, kiedy definitywnie postanowiłam zerwać z dawnym procederem, byłaby to prawdziwa ironia losu”.

Faktycznie, tak jak Janosikowi krążył po głowie pomysł walki o trzeźwość społeczeństwa, jak Michałko postanowił zaangażować się w rozsądną ochronę wartości intelektualnych w Internecie, tak i ona miała głowę pełną propozycji dla młodych dziewcząt. Czyżby nie było jej dane?...

Wieczorem postanowiła odważnie zmierzyć się z faktami.

Ambulatorium przy zespole akademickim działało aż do nocy, a ginekolog, młoda, pulchna dziewczyna, niewiele starsza od Fajansówny, nie zamknęła jeszcze gabinetu.

– Coś dolega? – zapytała.

Emilia wspomniała o dziwnym uczuciu i swędzeniu odczuwanym od rana.

Lekarka zaprosiła ją na fotel i sięgnęła po rękawiczki.

– Nie widzę nic podejrzanego – powiedziała po chwili. – Chociaż... Trochę jestem zaskoczona. Ile pani ma lat?

– Dwadzieścia trzy! – odparła.

– Tym bardziej panią podziwiam. Często zdarza mi się badać zakonnice, nawet nowicjuszek, ale coś takiego zdarza się naprawdę rzadko.

– Co mianowicie?

– Żeby dziewczyna w pani wieku była jeszcze dziewicą.

– Że jak? – Emilia zaczęła się śmiać, ale po paru sekundach śmiech uwiązał jej w gardle. – To niemożliwe, pani doktor się omyliła...

– Proszę siadać, przyniosę lusterko.

– Ale ja... ja straciłam cnotę w wieku piętnastu lat. A potem... – Okryła się rumieńcem na myśl, jak długo musiałyby opowiadać, żeby wypełnić zdanie właściwą treścią, toteż ograniczyła się do pytania: – A możliwe jest, żeby odrosło?...

– To się zdarza jedynie w legendach o hurysach z muzułmańskiego raju albo w cudach z żywotów świętych.

– W cudach? W cudach! Dziękuję, pani doktor! – zerwała się

i zapominając o majtkach, pobiegła do kaplicy. Mój Boże, ile razy w ostatnich dniach prosiła Maryję Pannę o to, aby odmieniła jej życie, aby pozwoliła jej stać się inną, godną szacunku i miłości.. Ale żeby aż tak...

Kłęczała, modląc się, kiedy usłyszała skrzypnięcie ławki. Odwróciła głowę – obok niej ukląkł Kordian:

– Ciągłe nie mamy okazji porozmawiać, a chyba powinniśmy – powiedział. – Dużo myślałem ostatnio o tobie...

– Ja o tobie też. Przez te kilka dni stałeś mi się bardzo bliski

– Ty mi też... I dlatego postanowiłem ci wyznać...

– Poczekaj – przerwała – muszę ci powiedzieć coś ważnego o sobie.

– Nie musisz mi nic mówić! Emilio! Kocham cię taką, jaką jesteś. I dlatego muszę cię zapytać: czy zechcesz być ze mną, czy zechcesz zostać moją żoną, naturalnie o ile Sebastian zgodzi się dać mi rozwód?

Nie odpowiedziała od razu. Zaczęła płakać. Ze szczęścia.

*

Po zamknięciu obrad Janusz Moczypies zaprosił ministra Limoniaka do swego gabinetu. Chciał pójść za nimi także Grzegorz Detyna, ale p.o. prezydent rzucił zdecydowanie: „Nie teraz!” i kandydat na premiera cofnął się jak pies po komendzie: siad!

Ciekawe, że nikt jakoś nie kwapił się do rozmowy z Ronaldem

Duckiem. Zdymisjonowany premier opuścił sejm tylnym wyjściem i gdzie się oddalił, licho wie.

– Wiesz, co jeszcze knuje? – zapytał Moczypies, nalewając po lampce koniaku.

– Domyślam się. Mam ci powiedzieć? – zapytał przymilnie Limoniak.

– Nie! – powiedział gospodarz. – Nie chcę wiedzieć. Obudzę się jutro z czystszy sumieniem.

– Ale jest możliwość zapobieżenia tragedii – widać było, że w duszy ministra walczą rozmaite sprzeczne myśli.

– Dorośnij wreszcie, Tomaszku. Wiem, że Książek Bogusław wykombinował coś wyjątkowo paskudnego. Ale... jeśli to, co zamierza mu się uda, będziemy mieli rzecz z głowy, a odpowiedzialność przed Bogiem i historią spadnie na Ronka.

– A jeśli się nie uda albo uda niezupełnie?

– Wtedy też będziemy czyści i jako pierwsi wezwiemy do zaprowadzenia porządku i wymierzenia sprawiedliwości winnym.

Limoniak wyglądał na zaskoczonego.

– Myślałem... Myślałem, że jest między wami jakiś deal – wyjąkał.

– Że nawet ta dzisiejsza dymisja to teatr dla ubogich.

– Sądzę, że Ronek dalej tak myśli. Sugerowałem mu przez telefon, że cokolwiek się wydarzy, będę działał w naszym wspólnym, szeroko rozumianym interesie. Ale sytuacja jest dynamiczna. Szwedzi uciekają i ktoś za to będzie musiał zapłacić. Wronek uciekł, więc kto zostaje?

– Mówisz to takim otwartym tekstem, nie boisz się, że polecę do

premie... do Ducka? – poprawił się.

– Nie. Masz przecież dość oleju w głowie, aby wybrać stronę zwycięzców. – W tym momencie zerknął na zegarek. – Wpół do pierwszej; powiedz mi tylko, czy warto kłaść się teraz spać.

Limoniak chyba nie zrozumiał pytania, bo nie odpowiedział.

– No, kiedy to się ma stać? – zapytał z naciskiem Moczypies.

– Myślę, że niedługo. Za pół godziny... Najdłużej za godzinę.

*

O północy cały Turoń szykował się do snu. Nawet Michałko Księdzów zszedł ze stanowiska, dając się zastąpić przez Janosika, który od rana na wszelkie sposoby próbował mu być pomocny. Poszła spać pani Salomea i Patrycja, i ksiądz Marek.

Emilia odprowadziła Kordiana na dziedziniec, na którym oczekiwało stalowe ptaszysko Jacka Molskiego.

– Najpóźniej za godzinę będę z powrotem – obiecywał Chamiak, a właściwie Łęcki, ponieważ na prośbę matki postanowił wrócić do tego nazwiska.

Maszyna poderwała się błyskawicznie. Pilotował osobiście Molski. Poza nim i Kordianem nie było w kabinie nikogo.

– Chłopaki są zmordowane – tłumaczył major. – Zresztą jest to w zasadzie śmigłowiec transportowy, łatwy w obsłudze.

– Nie macie uzbrojenia?

– Jest jeden karabin maszynowy – wzruszył ramionami Molski. –

W końcu nie wybieramy się na wojnę.

Niesamowicie wyglądał Turoń z lotu ptaka, zwłaszcza kiedy wzbili się nieco wyżej; miasto oświetlone było niezbyt rzęsiście, ale i tak kontrastowało z mrokiem pokrywającym Polskę dookoła. Stosunkowo najjaśniejsze były pasemka dróg, oświetlane przez reflektory nielicznych samochodów (brak elektryczności powodował, że przestały działać stacje benzynowe). Poza tym tu i ówdzie rozbłyskały słabo oświetlone gospodarstwa z własnym zasilaniem.

– Zatoczmy dwa łuki, w odległości dwudziestu, a następnie pięćdziesięciu kilometrów od miasta. Potem wracamy – oświadczył Molski.

Była 12.32, kiedy do Janosika zgłosił się jeden z młodych hakerów, pracujący do wczoraj w dziale łączności miejscowego aeroklubu, i zameldował o przechwyceniu dziwnej depechy, nadanej otwartym tekstem z jednostki Pierun, w której dzień cały dekował się premier Duck, do prywatnej firmy wynajmującej śmigłowce w Kołobrzegu. Chodziło o przetransportowanie pewnego obywatela w trybie jak najpilniejszym z ośrodka wypoczynkowego w Mrzeżynie do Rembertowa. Korespondencję nadano o godzinie 19.35, a już pół godziny potem helikopter z jednym pasażerem podążył do Warszawy.

– Pan Michałko prosił, żeby meldować o wszystkich podejrzanych sprawach – haker uśmiechnął się przepraszająco.

– A co tu podejzranego? – zdziwił się Janosik, który nienawykły do prac umysłowych i zazwyczaj kładący się spać z kurami był o tej porze niezwykle zmęczony.

– Sam fakt zamawiania przez służby lotu w prywatnej firmie, poza tym nadzwyczajny pośpiech, no i osoba transportowanego.

– A kto to?

– Według dziennikarza śledczego z „Codziennika Polskiego” Edmund Kielich, emerytowany specjalista od katastrof lotniczych.

– Może coś dupnęło.

– Sprawdziłem to. W całej Polsce nie wydarzyła się najmniejsza nawet awaria, zresztą poza transportowcami szwedzkimi mało co teraz lata.

– Rzeczywiście – Janosik chciał się głębiej zadumać, ale w tej chwili otworzyły się drzwi i stanęła w nich pani Salomea w bieliźnie. Oczy miała przymknięte, ręce w górę uniesione, koszulę poszarpaną.

– Ogień, ogień, katastrofa! – wołała.

Za nią dreptała mała Patrycja, trąc piąstkami swoje śliczne oczęta.

– Co pani mówi? – poderwali się wszyscy; ze swej kanciapy wyrzwał rozbudzony Michałko.

Oprzytomniała, ale tylko trochę.

– Miałam sen. Straszny. Musimy coś zrobić, gdyż inaczej zginiemy wszyscy.

– Ale co konkretnie się pani śniło?

– Wdziałam wielki samolot i morze ognia nad Turoniem, straszne morze... Po prostu piekło.

Nie trzeba być specjalnie bystrym, żeby kojarzyć fakty. Janosik odczytał przechwycony meldunek. Michałko zacisnął zęby.

– Te bydlaki gotowe są nas zbombardować.

– Nie sądzę, żeby groziło nam bombardowanie – powiedział młody haker. – Gdyby mieli taki plan, po co wzywaliby eksperta od katastrof lotniczych...

Wszystkim stanął przed oczami atak na World Trade Center przed dwudziestoma laty. A jeśli jakiś paranoiczny umysł wpadł na myśl, żeby coś takiego powtórzyć? Tylko kiedy, jak...

– Sądzę, że powinniśmy ogłosić ewakuację – powiedziała pani Salomea.

– Trzeba obudzić starszych...

– Nie ma czasu. I tak nie wiem, czy zdążymy.

Jeszcze chwila i w sali komputerowej zaroilo się od ludzi. Przybiegli i ksiądz Marek, i Emilia, i Skaliński...

Zdania były podzielone.

Naraz przez ogólny harmider przebił się głos innego nasłuchowca.

– Mam jakąś dziwną rozmowę między lotniskami w Modlinie i Grudziądzu. Była prowadzona w trybie alarmowym, tyle że niestety po szwedzku.

– Cholera!

– Może ja bym spróbowała – zabrzmiał cieniutki głosik Patrycji. Nikt się nie śmiał. Wszyscy znali zdolności językowe genialnego dziecka.

– Macie ten tekst nagrany? – zapytał Michałko.

– Oczywiście.

– No, to puście go dziecku. Zabrzmiały bulgotliwe, gardłowe dźwięki.

– Rozumiesz coś z tego?

– Prawie wszystko. Szwed z Grudziądza pyta, co to za maszyna wystartowała dziesięć minut temu z Modlina, kierując się na północny zachód. Odpowiedzieli, że to lot ćwiczebny. Na to Szwed zapytał jeszcze, czy na pewno, bo wedle ich rozeznania w ich stronę leci cysterna z paliwem, z której samoloty bojowe mogą tankować w powietrzu.

– I co odpowiedzieli ci z Modlina?

– Że nie ich sprawa, bo samolot zaraz zawróci...

– Cysterna z paliwem? – Na sali powiało grozą.

– Gdzie teraz może być? – Michałko zwrócił się do swego personelu. Ktoś już rozwinął mapę...

– Podejrzewam, że dolatują do Płocka.

– Natychmiast ewakuujcie ośrodek!... – zawołał Wądołowicz. – Obudźcie pana Jarosława.

Nie upłynęło trzydzieści sekund, a nocne niebo rozdarł jęk syren...

Społeczność ośrodka akademickiego okazała się nad wyraz karna i zdyscyplinowana, choć Janosikowi się wydawało, że wszyscy ruszają się jak muchy w smole.

– Nie zdążymy – mamrotał Michałko – nie zdążymy. Niech ktoś zaalarmuje wszystkich mieszkańców w promieniu kilometra.

Błyskawicznie opustoszały sala komputerowa i dział nasłuchów. Na miejscu pozostali jedynie Michałko, Janosik i ksiądz Marek.

– Wynoście się stąd! – zawołał Michałko.

Janosik podszedł i bez słowa wyciągnął go z fotela, tak jak

wyrywa się dorodną marchew.

– Będziesz bardziej potrzebny ze swoimi umiejętnościami – powiedział. – Ja tu zostanę.

– Nie mogę się zgodzić! – oponował Ksiądzów.

– Potraktuj to jako rozkaz! – nieomal krzyknął Wądołowicz.

– Ale ksiądz pójdzie ze mną.

– Ja zostaję – odpowiedział spokojnie redemptorysta.

– To nieomal pewna śmierci

– Wszystko jest w ręku Boga.

*

Ogłoszenie alarmu w Turoniu nie uszło uwagi Kordiana. Połączył się z bazą.

– Co tam się u was dzieje? – rzucił zdenerwowany.

Michałko odpowiedział, meldując o ewakuacji.

– Zróbcie to, uciekajcie stamtąd wszyscy!

Jeszcze chwila, a podejrzenie stało się rzeczywistością.

– Mam go na radarze – powiedział Molski. – Znajduje się już niedaleko nas, leci dość nisko i dolatuje właśnie nad zbiornik we Włocławku. Na szczęście my też jesteśmy na wysokości tamy.

– No, to strąćcie sukinsyna! – krzyknął Ksiądzów.

– Nie mamy rakiet, ale spróbujemy. A wy uciekajcie.

Wyłączyli się. Molski obrócił maszynę. Za chwilę dzięki bezchmurnemu niebu cysterna powinna być widoczna gołym okiem.

– Nie zatrzymamy go jednym karabinem maszynowym – powiedział major.

– Spróbuj go wywołać, pogadamy... – zasugerował Kordian.

Molski chwilę wywoływał obiekt. Bez odpowiedzi.

– Zdaje się, że leci na autopilocie. Podejrzewam, że trajektoria lotu została już zaplanowana, a pilot wyskoczył...

– Czyli nic nie można zrobić.

– Niewiele.

Molski pochylił się nad komputerem. Chamiak się zorientował, że dokonuje analizy lotu.

– Jest źle. Za dziesięć minut trafi prosto w ośrodek!

– Zatem zostało nam jedno wyjście – powiedział spokojnie Kordian. – Trzeba nakierować śmigłowiec na kurs kolizyjny. I jeśli się uda, wyskoczyć przed zderzeniem...

– Myślałem o tym. Niestety, nie mamy spadochronu.

– Zatem trudno, obejdzie się bez wyskakiwania.

Tymczasem samolot cysterna ukazał się na wprost nich. Nie wydawał się wcale ogromny, ale rósł w oczach. Molski popatrzył w dół. Kilkadziesiąt metrów niżej połyskiwała w blasku księżyca powierzchnia Zalewu Włocławskiego, do którego przed laty milicyjni oprawcy wrzucili księdza Popiełuszkę. „Pomóż, księżo Jerzy” – westchnął w duchu i obrócił się do porucznika.

– Widzisz moją kurtkę? Wisi przy drzwiach. Mam w kieszeni piersiówkę. Chlapijmy za powodzenie!

– Dobry pomysł.

Kordian wypiął się z pasów i zrobił parę kroków we wskazanym kierunku.

– Warto się ochłodzić – Molski rozsunął drzwi i nim Kordian się zorientował, co major zamierza, gwałtownie położył śmigłowiec na boku. Łęcki schwycił się kurtki, ale wieszak nie wytrzymał i razem z nią wyleciał w noc.

„Podobno byłeś kiedyś mistrzem w skokach z wieży – pomyślał Molski – oby ci się ta umiejętność przydała!” Pewnie wyrównał lot maszyny. Od zderzenia z cysterną dzieliło go kilkanaście sekund.

EPILOG

Skończenie opowieści we właściwym momencie należy do wyjątkowo cennych umiejętności. Można by naturalnie opowiedzieć jeszcze, że spadając z nieba niczym Ikar, Kordian trafił dokładnie w miejsce, w którym jezioro pod Włocławkiem jest najgłębsze, i że parę minut później wyłowił nawet majora Molskiego, ten bowiem też wyskoczył, ale dopiero w momencie kiedy było wiadomo, że kolizja helikoptera z cysterną jest pewna.

Mniej więcej w tym samym momencie w turońskim szpitalu z ponadtygodniowej śpiączki ocknął się Ojciec Dyrektor i poprosił o coś do zjedzenia, ponieważ poczuł się niezwykle głodny...

Pióro dobrego epika potrafiłoby także odmalować radość, jaka zapanowała w Turoniu, i konsternację w Warszawie, a później, zgodnie z regułami historycznego fresku, opisać „polską jesień roku 2020”, błyskawiczną drogę do wolności i suwerenności. Ciągu zdarzeń nie skończyły przecież wybory i ustanowienie nowej władzy w Warszawie. Po raz kolejny zostało uruchomione wielkie europejskie domino, kończące z paranoją politycznej poprawności.

Można by również pokusić się o skrótowy opis dalszych losów naszych bohaterów. Były one z całą pewnością inne, niż w najśmielszych snach mogli marzyć przed tygodniem.

Kordian i Emilia doczekali się szóstki wspaniałych dzieci, Janosik

Glizda Kościeliski został deputowanym, a Michałko – wiceministrem łączności i infrastruktury. Mnichem nie został. Jego przesadny afekt do świętej ikony wyparował z czasem, choć przez dziesięć lat wytrwale pozostawał starym kawalerem.

Patrycja Osierdzie w wieku dwunastu lat uzyskała dyplom magistra Wyższej Szkoły Języków Obcych, ale nie poprzestała na tym – studiowała na rozmaitych kierunkach nauki odległe od siebie jak gwiazdne mgławice. Przez cały czas mailowała zawzięcie z Michałkiem, nie tając swego gorącego afektu, co dość długo powodowało, że Księdzów umierał ze strachu, bojąc się oskarżenia o pedofilię. Umówili się jednak, że spotkają się twarzą w twarz, kiedy Patrycja osiągnie pełnoletność. A biorąc pod uwagę, że wyrosła na dziewczynę nadzwyczajnie atrakcyjną, Michałko coraz częściej łapał się na tym, że nie może doczekać się owej chwili.

Jarosław Indykiewicz, zgodnie z zapowiedzią, do polityki nie wrócił – pozostał niekwestionowanym autorytetem politycznym, mentorem, rektorem Akademii Politycznej w Warszawie, wspaniałej kuźni kadr na całą ponownie jednoczącą się Europę.

Bo sen o jedności w wielości, o kontynencie Ojczyzna, takim jakim wyśnili go ojcowie założyciele (de Gasperi, Schuman czy Adenauer), liderze gospodarczym świata, ziścił się, ale na zupełnie innych zasadach, niż próbowała to robić biurokracja brukselska. Wrócono do źródeł i do doświadczeń z epoki, w której Stary Kontynent podbijał świat swoją wewnętrzną różnorodnością, oryginalnością, konkurencyjnością.

I znów zaczęło się w Polsce. Kraj uwolniony z gorsetu idiotycznych regulacji prawnych – wybrana jeszcze we wrześniu konstytuanta unieważniła całe dotychczasowe prawodawstwo, po czym ograniczyła się do dziesięciu przykazań i krótkiej, ledwie półtora raza dłuższej od amerykańskiej konstytucji – skoczył do przodu niczym azjatycki tygrys i w następnych latach zdumiewał dwucyfrowym przyrostem PKB.

Moczypies cieszył się władzą bardzo krótko, a po wyborach, podobnie jak wielu niedawnych luminarzy, stanął przed Trybunałem Stanu. I tym razem ojczyzna nie była tak przesadnie wyrozumiała jak wobec autorów stanu wojennego. O dyktatora umysłów Michasia Adamika upomniał się doktor Alzheimer, o Jerzego Turbana – grabarz. A wkrótce potem nastaly czasy nowych wspaniałych ludzi, których istnienia dziś nawet nie podejrzewamy...

Ale co my mewy o przyszłości.

Przecież mogło się nie udać.

Helikopter mógł się minąć z cysterną, w wybuchu mogło zginąć wielu turonian, w tym spora część ludzi z ośrodka, która nie zdążyła się ewakuować. W tej wersji Janusz Moczypies oskarżyłby o zamach Książka Bogusława i Ronalda Ducka, a sam, przy pomocy takich ludzi jak Limoniak i Rosenholtz, rychło ogłosiłby się królem Polski.

Obie te możliwości walczyły w głowie Kordiana, zanim zetknął się z powierzchnią sztucznego zbiornika. I na koniec dopadł go jeszcze ten wiersz:

Nieście mnie, chmury, nieście, wiatry, nieście, ptacy... Polacy!

A jak będzie naprawdę? Pożyjemy, zobaczymy.

KONIEC

Wawer, lipiec 2011 – styczeń 2012